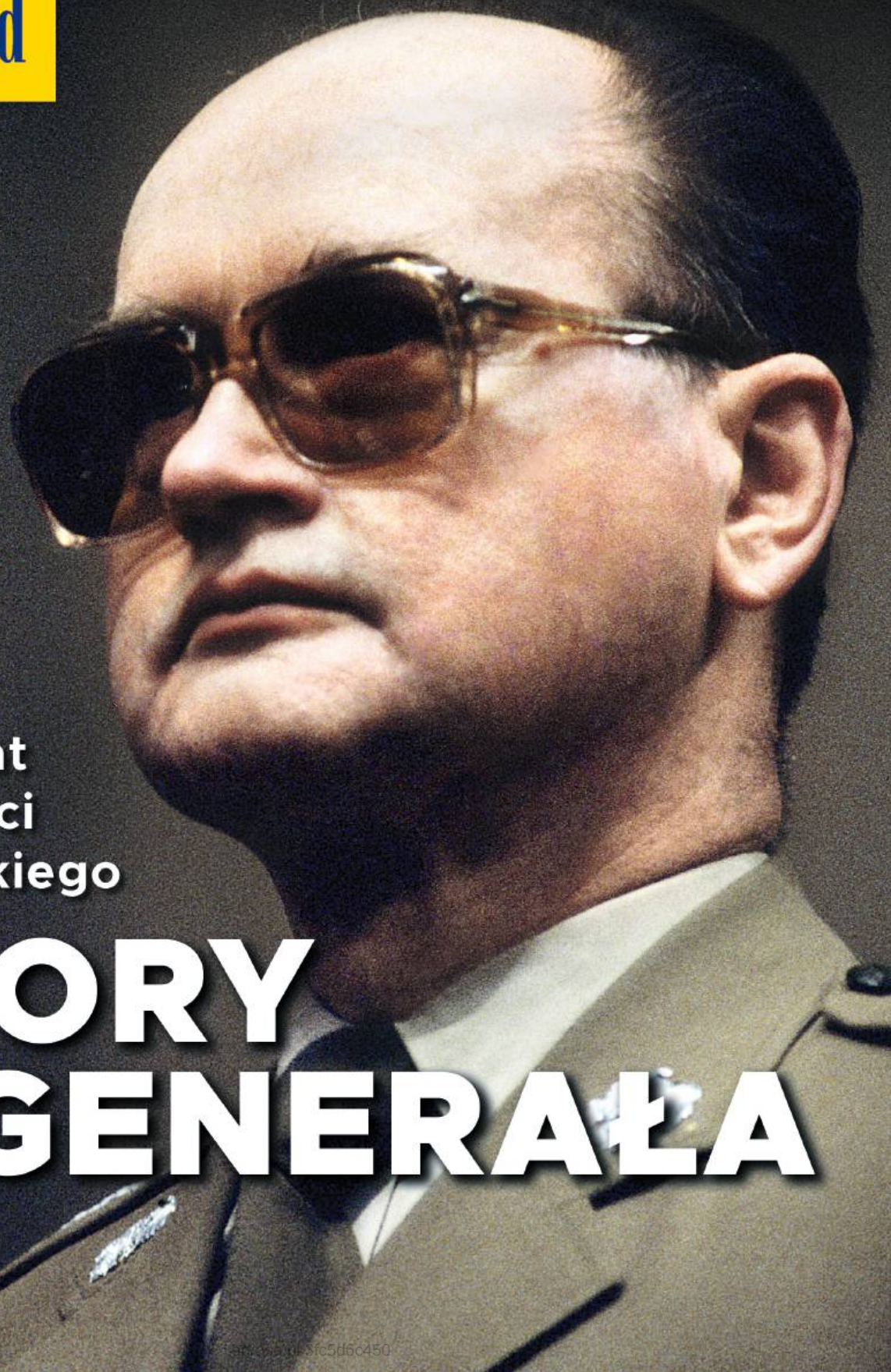




Mija 10 lat
od śmierci
Jaruzelskiego

SPORY O GENERAŁA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299





MFF w Locarno

Nagroda First Look



reżyseria Lukas Nathrath

KOLACJA POŻEGNALNA

Zabawna opowieść o przyjęciu z piekła rodem



w kinach od 24 maja





Ruch oporu PiS

Chcieć a móc. W takim klinczu znalazła się koalicja rządząca. Jej wyborcy, którzy mieli dość patologicznych rządów dojrzałej zmiany, spodziewali się szybszych i głębszych zmian. A z tym jest różnie. Nie da się tego rządu oceniać jedną miarą. Między ministerialnymi prymusami a maruderami jest coraz większa różnica. I musi coś z tym zrobić premier Tusk. Nie wątpię, że ci, którzy trafili do rządu, chcą dobrze. Ale dobre chęci ludzi bez wystarczających kompetencji nie wystarczą. Rządzenie państwem to nie szkoła, w której spokojnie można się tego uczyć. Tytuł ministra czy wiceministra jeszcze nikogo nie zrobił mądrym. Za to przemądrzałym zadufkiem bardzo często. Połączenie braku umiejętności z sodówką i z łażeniem po mediach, by pleść banialuki, dotuje wyborców. I ośmiesza rząd. Korzystają z tego tabuny polityków PiS, którzy uznali, że skoro przez pół roku nikt im nie dobrał się do skóry, to najgorsze mają za sobą. Nie mają. I nie mogą mieć. Z perfidnym zabetonowaniem układów mamy do czynienia we wszystkich resortach. I jedni ministrowie systematycznie te miny detonują, stawiając sprawy na nogach, a nie na głowie, a drudzy błędzą jak dzieci we mgle i tracą czas. I z tymi, którzy sobie nie radzą, trzeba się rozstać. Wiem, że to koalicja i kto mógł, powypychał swoich ludzi do ministerstw, nie patrząc na interesy

państwa. Ale wiem też, że z takim balastem nikt tego państwowego wozu nie pociągnie. A przynajmniej nie tak sprawnie, jak tego chcą wyborcy.

PiS miało osiem lat, by zbudować piramidę powiązań rodzinnych, towarzyskich i politycznych. I nawet gdy eliminuje się poszczególne ogniwa, to głębiej są kolejne i kolejne. Końca nie widać.

A po przegranych wyborach mamy dobrze zorganizowany i zdeterminowany pisowski ruch oporu. Okopali się i tak pozabezpieczali fasadowymi instytucjami, że trzeba dużych umiejętności, by się poruszać na tym polu minowym.

Jak sobie z tym radzić? Dać więcej kompetencji ludziom spoza polityki. Fachowcom, którzy wiedzą, jak mądrze i skutecznie modernizować Polskę. Na butę, beczelność i powszechną amnezję w szeregach dojrzałej zmiany trzeba odpowiedzieć konsekwentną realizacją zapowiadanych zmian. A wtedy poczucie bezkarności polityków PiS zmieni się w panikę i strach przed odpowiedzialnością.

Fundacja Oratio Recta

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

BAKOWSKI



**Bądź z nami
na Międzynarodowych
Targach Książki w Warszawie**



**23-26 maja
(czwartek-niedziela)**

**PRZEGLĄD serdecznie zaprasza
na nasze stoisko nr L11
w namiocie L2 przed PKiN**

**Czekamy z nowymi książkami
i rabatami targowymi!**



**Wstęp wolny
Spotkaj się z naszymi autorami**

Więcej informacji na s. 17

W NUMERZE

KRAJ

- 8 **Spory o Generała**
Kluczowy polityk czasu wielkiej zmiany
- 14 **Hucpa #naStart?**
Znów źle pomyślany program mieszkaniowy
- 18 **Kaczyński już nie rządzi na Podlasiu**
„Zdradzony” marszałek województwa
- 22 **Chemii nie było i nie będzie**
Dlaczego Azoty szorują po dnie
- 50 **Polska Wietnamem Europy**
Od straganów po wielkie biznesy

OPINIE

- 24 **Paweł Siergiejczyk**
Lewica bez historii, historia bez lewicy

HISTORIA

- 28 **Legenda Monte Cassino**
Bitwa ważna, ale propagandowo

ZAGRANICA

- 32 **Podzieleni jak nigdy**
A skutkiem zamach na Słowacji
- 34 **Wieczny delfin**
Macrona sny o światowym przywództwie
- 38 **Stawka większa niż aborcja**
Korespondencja z USA

KULTURA

- 42 **Dzikie pola polskiego filmu**
– rozmowa z Januszem Kijowskim
- 46 **Culturalia**
- 48 **CREDO. Tożsamość / ludzie / miejsca**
Jacenty Dędek fotografuje częstochowian
- 66 **Katarzyna Karpowicz. Różany wianek**

OBSERWACJE

- 53 **Foki z Wyspy Prądów**
Na odludnych obrzeżach Europy

PSYCHOLOGIA

- 56 **Co cię nie zabije, to cię urodzi**
Lekcje z trudnych doświadczeń

ZDROWIE

- 60 **Znów poczuć zapach kawy**
– rozmowa z prof. Radosławem Gawlikiem

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 **Jerzy Domański**
Ruch oporu PiS
- 21 **Jan Widacki**
Edukacyjna fikcja
- 27 **Andrzej Szahaj**
Żaźnowanie
- 31 **Roman Kurkiewicz**
Czy wolno strzelać do demokracji?
- 37 **Tomasz Jastrun**
Schabowy i ziemniaki
- 47 **Wojciech Kuczok**
Dysharmonia wyższych sfer



38
ZAGRANICA

STAWKA WIĘKSZA NIŻ ABORCJA

Korespondencja z USA

48
KULTURA

CREDO. TOŻSAMOŚĆ / LUDZIE / MIEJSCA

Jacenty Dędek
fotografuje
częstochowian



56
PSYCHOLOGIA

CO CIĘ NIE ZABIJE, TO CIĘ URODZI

Lekcje z trudnych doświadczeń

Projekt okładki: Iza Mierzejewska



✉ Dzień Zwycięstwa?

„Z okazji Dnia Zwycięstwa odbędą się zapewne uroczystości rocznicowe z udziałem najważniejszych osób w państwie”, przewidywał red. Paweł Dybicz w komentarzu „Historia bez zwycięzców” (PRZEGLĄD nr 19). Nic z tych rzeczy. Najwyższe władze państwowe nie obchodziły żadnego Dnia Zwycięstwa. 8 maja złożono kwiaty przed Grobem Nieznanego Żołnierza z okazji „79. rocznicy zakończenia II wojny światowej w Europie”.

Zaledwie drugi albo i trzeci garnitur rządzących wziął udział w uroczystości zorganizowanej przez Urząd ds. Kombatanów i Osób Represjonowanych. Pocieszające jest jedynie to, że jego nowy szef Lech Parell w przemówieniu nie zapomniał o żołnierzach Wojska Polskiego ze Wschodu i na równi z polskimi cmentarzami wojennymi pod Tobrukiem czy na Monte Cassino wymienił też Lenino. Jeszcze niedawno takie słowa zapewne by nie padły.

Krzysztof Bojanowski

f Podziel się pan głowicą

Serwowana przez polityków prawicy (to także Koalicja) propaganda strachu jest nieznośna. Skrajni zrobili z Podlasia poligon, a demokraci to podbijają. Rząd puszcza fake newsy o podsłuchach. BBC to powieła... Handlarze strachem, gdy już lud nie zwraca uwagi na przerzucanie ludzi przez mur. A do tego trzeba przecież mobilizować zachodnich sojuszników. Dlatego Tusk robi tu autorytaryzm przedwojenny?

Wojtek Sańko

f Nam strzelać nie kazano

Gdyby Ukraina wystrzeliwała od 10 do 20 tys. pocisków dziennie, to Władawostok na pewno zostałaby zdobyty. To tylko działanie propagandowe, aby z podatnika wyciągnąć kasę na armię, ile się da. Wojskowi zawsze gadają o swoich potrzebach, a życie cywilów to dla nich inna bajka. Anglosasi wywołali tę wojenkę na Ukrainie, bo wiedzieli, że dobrze na tym zarobią. Zarabiają, a skoro taki kraj jak Polska nie ma mocy produkcyjnych, to wiadomo, że będzie musiał kupić. Nietrudno zgadnąć, gdzie te zakupy zostaną zrobione. Po socjalizmie w kraju mieliśmy solidny przemysł zbrojeniowy, ale zachciało nam się Zachodu i NATO, więc usłyszeliśmy: wasze musi zostać zlikwidowane, bo musi być tylko nasze. Jak zwykle, raz idziemy wolniej, raz szybciej, ale zawsze pod górkę.

Andrzej Kościański

Krótko przed zmianą ustrojową w Bolechowie pod Poznaniem trwała budowa fabryki amunicji o nazwie Pressta. Zakład zamaszty w swoich założeniach. Gotowy w sporej części. Jednak nadchodzące nieuchronnie przemiany spowodowały zaniechanie tej inwestycji. Ot, historia płata psikusy. A to niby my tym wszystkim zarządzamy – załatuje tu Wolandem. Być może podane tu przeze mnie informacje są nieprecyzyjne, jednak znam tylko takie z opowiadań.

Tadeusz Żyła

ZDJĘCIE TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski

Wejście w błyskach fleszy. Mateusz Morawiecki przed sejmową komisją ds. wyborów kopertowych. Warszawa, 16 maja 2024 r.



W tegorocznym rankingu World Press Freedom **Polska znalazła się na 47. miejscu**, za Włochami. W pierwszej dziesiątce są: Norwegia, Dania, Szwecja, Holandia, Finlandia, Estonia, Portugalia, Irlandia, Szwajcaria i Niemcy. USA uplasowały się na 55. miejscu.

Jerzy Baczyński już od 30 lat jest redaktorem naczelnym tygodnika „Polityka”. Zbudował tak dobry zespół pisma, że doceniają go czytelnicy i szanują inne opiniotwórcze media. Gratulujemy.

Danuta Wałęsa nie zasługuje na status opozycjonisty. Tak orzekł Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, którym przez osiem lat (2016-2024) kierował polityk PiS Jan Józef Kasprzyk. Podobnie oceniła ją powołana przez pisowskiego wojewodę Dariusza Drelicha Pomorska Rada Konsultacyjna. Decyzja jest prawomocna. A Danuta Wałęsa nie zamierza występować z kolejnym wnioskiem. Wśród wielkiej gromady pisowskich nie-szczęść Jan Józef Kasprzyk plasuje się bardzo wysoko.

13 kwietnia odnawialne źródła energii zaspokajały w 63% zapotrzebowanie Polski na energię elektryczną.

Prezydent Duda hojnie rozdaje Order Orła Białego, najwyższe polskie odznaczenie. Nadał już 98 takich orderów, kierując się sobie tylko znaną logiką i sympatiami politycznymi. Z prestiżu Orła Białego nie za dużo zostało.

Od marca 2018 r. inflacja w Polsce wzrosła o 44,5%, co oznacza, że w ciągu sześciu lat ceny wzrosły o prawie 50%.

W Ukrainie do wojska mogą być, podobnie jak w Rosji, powoływani więźniowie, z wyjątkiem sprawców najcięższych zbrodni (których Rosjanie powołują). Od początku wojny zmobilizowano już w Ukrainie prawie 11 tys. osób mających sprawy sądowe.

Według sondażu CNN (18-23 kwietnia) poparcie dla prezydenta Bidena spadło z 45% w styczniu do 43%. Trumpa popiera 49% respondentów.

Po bydgoskim Zachemie zostały setki hektarów skażonej ziemi zagrażającej Brdzie i Wiśle. Do rzetelnego przebadania jest ok. 4 tys. ha. Koszt oczyszczenia całego terenu może sięgać 2,5 mld zł.

W podparyskim Suresnes 18 piekarzy upiekło **najdłuższą bagietkę świata. Miała 140,5 m**, a zużyto na nią spore ilości czterech tradycyjnych składników: 90 kg mąki, 60 l wody, 1,2 kg soli i 1,2 kg drożdży.

W 2023 r. zarejestrowanych w Polsce było **1,9 mln motocykli**. Prowadzący je motocykliści spowodowali **1947 wypadków, w których zginęło 189 osób**. Tendencja jest ponura, bo wypadków i ofiar śmiertelnych coraz więcej.

Przeciętna pensja Polaków w Norwegii to 43 tys. koron. Gorzej zarabiają tylko Afrykanie. Norwegowie zarabiają średnio 58 tys. koron, a mieszkańcy Ameryki Południowej 48 tys. (**Norweskie Biuro Statystyczne SSB**).

37% polskich nastolatków odczuwa głęboką samotność, a 43% młodych dorosłych uważa, że żyje w permanentnym smutku (**badanie Indicator**).

PRZEBŁYSKI

Hucpiarz przed komisją

Gdy głupekowato chichoczący Mikołaj Pawlak stał się przed komisją śledczą w sprawie Pegasus, przypominały się najgorsze praktyki z czasów, gdy PiS obsadziło go w roli rzecznika praw dziecka.

Przyszedł w towarzystwie adwokata, pośmiał się nerwowo i poszedł sobie. Prawdziwe pisowskie panisko. Butne i bezkarne. Jak w czasach, gdy u ministra Ziobry rządził poprawczakami. Albo gdy jako adwokat brał udział w unieważnianiu małżeństw kościelnych. Gorszego rzecznika dzieci nigdy nie miały. Pawlak zajęty udziałem w uroczystościach kościelnych nigdy nie zajął się dziećmi – ofiarami księży pedofilów.

Porównajcie tego hucpiarza z obecną rzecznik. Monika Horna-Cieślak nie musi chodzić z adwokatem.



Nitras, odpuść te błonia

Na błoniach PGE Narodowego, czyli największego stadionu w Polsce, ma powstać Muzeum Techniki i Historii Naturalnej. To bardzo sensowny pomysł. Połączenie muzeum techniki ze środowiskiem. Wykorzystanie tego, co jest w magazynach: minerałów, zbiorów paleontologicznych i zoologicznych, które są gdzieś pod Puszcą Kampinoską. Zamiast marnować to, co jest niedostępne, w centrum stolicy powstanie nowoczesne i łatwo dostępne muzeum. Popierają to instytuty Polskiej Akademii Nauk, które chcą przekazać swoje zbiory. Ministerstwo Glinńskiego trzy lata temu przygotowało koncepcję, przekazało działkę, zatrudniło Roberta Supła, który budował Muzeum Polin. Ma być takie cudęńko jak Muzeum Historii Naturalnej w Londynie. Ma być. Ale minister Nitras i urzędnicy z ratusza chcą ten teren przejąć dla sportu. Mamy dla nich prosty komunikat. Odwalcie się od muzeum.

Cyrk Rutkowskich

Łukę po tradycyjnych cyrkach wypełnia cyrk nowego typu. Cyrk Rutkowskich. Były detektyw Krzysztof, żona byłego detektywa Maja i 10-letni syn, też Krzysztof. Nie tak dawno Rutkowski leżał na stacji benzynowej skutą przez służby. A dziś? Wygląda jak klaun. A jak się odezwie, to jest jeszcze gorzej. Mądrzejsi rodzice chronią wizerunki dzieci. Niestety, Krzysztof junior nie ma takiego fartu, na okrągło pokazuje go plotkarskie gazetki. Szmira z tandetą pod rękę. Ale na bogato. Synek na pierwszą komunię dostał bmw E36 za 200 tys. zł. A rodzice? Po pięciu latach od ślubu cywilnego zrobili sobie ślub kościelny. I pokazali smakoszom tandety, że bezguście nie ma granic.





PYTANIE TYGODNIA

Czy polityk skuteczny to polityk cyniczny?

DR WOJCIECH PESZYŃSKI,

politolog, UMK

Cynizm nie jest we współczesnej polityce regułą, którą można wszystko wytłumaczyć. Nie tylko on wpisuje się dziś w politykę. Oczywiście tempo, jakie narzuca nienazarta medialna bestia, sprawia, że trzeba być jako polityk lotnym i używać chwytliwych haseł. To jednak nie oznacza, że praktyka skracania i upraszczania przekazu zawsze będzie skuteczna. Czasem trzeba podjąć bardzo konkretne kroki i pokazać sprawczość. Należy też pamiętać, czym kierują się wyborcy. Większość osób w pierwszej kolejności patrzy na to, kto do jakiej partii przynależy.

DR MILENA DRZEWIECKA,

psycholożka społeczna, Uniwersytet SWPS

Nie każdy cynik będzie skuteczny w polityce i nie każdy skuteczny polityk musi być cyniczny. Natomiast w sferze percepcji obywateli faktycznie często wiążą ludzi władzy z cynizmem, arogancją itp. Niektórzy politycy zapracowali sobie na takie skojarzenia sami, inni przez współpracowników. Roger Stone, który doradzał m.in. Donaldowi Trumpowi, mówił np.: „Zła sława jest lepsza niż żadna”. Ja powtarzam, że jeśli chcesz poznać lidera, spójrz na jego/jej otoczenie. Cynicy często odpowiadają za „brudną robotę”. Bo czym jak nie cynicznym zagranem

w kampanii prezydenckiej Lecha Kaczyńskiego z 2005 r. był tzw. dziadek z Wehrmachtu? Ale tę kampanię firmował nie sam Kaczyński, lecz Jacek Kurski. Cynizm zdecydowanie łatwiej wykorzystać przy autokratycznej władzy. W demokracji są, a przynajmniej powinny być, niezależne instytucje z mediami włącznie, które hamują cyniczne i narcystyczne zapędy. W końcu polityka w arystotelesowskim wydaniu ma na celu realizację wspólnego dobra. Wspólnego, nie indywidualnego.

WIESŁAW GAŁĄZKA,

ekspert ds. wizerunku i kampanii wyborczych

Dzisiaj przez mocne zaangażowanie się Kościoła katolickiego w życie polityczne i działania takich partii jak Prawo i Sprawiedliwość czy Konfederacja cynizm stał się wręcz moralnością. Niestety, wydaje się, że wyborcy mają świadomość tego, że politycy nie mogą być inni. Nie oddają się więc głębszej refleksji nad życiem politycznym. Co zaś się tyczy polityków, to widzą oni, że cynizm daje największą skuteczność w podejmowanych działaniach. Należy ubolewać nad tym, że cynizm stał się obecnie normą i przeszliśmy nad tym do porządku dziennego.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

SPORY O GENERAŁA

Robert Walenciak

Mija 10 lat od śmierci gen. Jaruzelskiego. Generał nie żyje, ale wciąż pisze swoją historię. Po prostu w miarę upływających lat patrzymy na niego inaczej. Więcej wiemy o polskiej historii i polityce. Więcej rozumiemy. Możemy go porównywać z następcami.

Gdy patrzymy na życie Wojciecha Jaruzelskiego, co najmniej trzy pytania narzucają się od razu. Pierwsze: jak to się mogło stać, że chłopak z ziemiańskiej rodziny, z północnego Mazowsza, uczeń gimnazjum o. Marianów, wychowany w wierze katolickiej i w nurcie endeckim, został komunistycznym generałem? Jaka przemiana w nim nastąpiła?

Pytanie drugie: co takiego się stało, że potem przeszedł drogę wręcz odwrotną? Miał w rękach wielką władzę, był symbolem ustroju i oto stał się pierwszym reformatorem, a potem destrukтором systemu, któremu jeszcze w 1988 r. Zbigniew Brzeziński wróżył długie lata trwania.

I pytanie trzecie, dotyczące w równym stopniu jego, jak i dzisiejszej Polski: jak to jest, że na tle następców, dzisiejszych polityków, którzy rządzą Polską, Jaruzelski jawi się jako człowiek innego formatu? Innej klasy? Inaczej myślący o polityce i powinnościach polityka? To ważne pytania.

Piętno odcisnęły na nim najmłodsze lata. Szlachecki dworek i gimnazjum na warszawskich Bielanach. Jaruzelski – najśtywniejszy wychowanek marianów! A wychowali go w poczuciu dyscypliny (bardzo mu się to przydało – mówił po latach – w szkole oficerskiej w Riazaniu) i obowiązku. Służyć Bogu i Polsce! „Głównym celem i hasłem każdego harcerza musi być służba Bogu i Ojczyźnie”, pisał Wojtek w szkolnej gazetce. Bóg w czasie wojny z jego głowy wywieńtrzał, ale Polska i – co podkreślał – obowiązek służenia jej pozostały.

W wywiadach, wspomnieniach o tamtych latach, gdy do tej nowej

Polski powoli się przekonywał, mówił jasno i otwarcie. Widział w niej szansę, doceniał, że pozwoliła milionom na awans społeczny, że przeorała niesprawiedliwą strukturę społeczną. Z czasem uznał, że taka, jaka jest, powstała w wyniku wyłonionego po wojnie układu sił, w tych warunkach, jakie były, najlepiej chroni substancję narodową (tego określenia używał). Ochrona substancji, żeby nie lała się polska krew – to był potężny motyw jego działań. Ale gdy dojrzał możliwości zmiany, okienko historii...

Służba Polsce – to jedna jego powinność. Druga to odpowiedzialność. Ta cecha wyróżniała Jaruzelskiego, naznaczyła i jego życie, i jego działania: odpowiedzialność, poczucie obowiązku. Podczas jednej z rozmów pytałem go o to i był tym pytaniem zdziwiony. Jego odpowiedź była prosta: przecież od jakości wykonanego zadania zależało życie żołnierzy, więc jak można zadanie wykonać niestaranie?

Odpowiedzialność to cecha, która wyróżniała Jaruzelskiego, naznaczyła i jego życie, i jego działania.

Wojsko okazało się dla niego drugą rodziną, miejscem, które go ukształtowało. Nie bez powodu prosił, by na jego grobie umieścić napis: „Wojciech Jaruzelski. Żołnierz”. Miał rację. Jego zalety jako polityka, i równocześnie wady, wynikały z tego, że niemal nie znał cywilnego życia.

Prowadził politykę jak batalię. Był ostrożny. Bo wojska nie można rzucać niefrasobliwie do walki. Dokładnie przygotowywał kolejne działania, zawsze uwzględniał różne warianty rozwoju sytuacji. Bo różne rzeczy mogą się zdarzyć i generał musi wiedzieć, jak ma zareagować. By nie przegrać. A to wymuszało na nim realistyczne podejście do rzeczywistości.

To były zalety generała-polityka. A wady? Wiadomo, o sprawach gospodarczych miał – delikatnie

mówiąc – wojskowe pojęcie, partyjne gry były poza jego horyzontem zainteresowań, nie czuł tego zupełnie, wypadał sztucznie podczas spotkań ze zwykłymi ludźmi, również z dziennikarzami – bo miał tendencję do odpowiadania długo i wyczerpująco.

Jednocześnie stawiał przed stanem oficerskim szczególnie wymagania. Pisze o tym Monika Jaruzelska w książce „Rodzina”, wspominając jedną z rozmów z ojcem. Mówił jej: „Kiedys to napisał prof. Janusz Reykowski, bardzo mądry człowiek, którego zresztą znasz. Spróbował odpowiedzieć na dwa ważne pytania. Dlaczego kapitalizm uzyskuje sukcesy ekonomiczne, ze wszystkimi jego deformacjami oczywiście. A dlaczego socjalizm, z jego bardzo szlachetną ideą sprawiedliwości społecznej, przegrywa? Otóż każdy człowiek ma motywację: jest motywacja prospołeczna i motywacja egocentryczna. I która przeważa? Na ogół egocentryczna. Chyba że ktoś jest księdzem

lub oficerem. Wtedy ta prospołeczna może przeważać, prawda? Myślę, że u mnie często ta prospołeczna przeważała, ale w większości jednostek jednak egocentryczna, szczególnie w dzisiejszych czasach”.

Chyba że ktoś jest księdzem lub oficerem... Ustawił więc sobie poprzeczkę, jako dowódca, minister, a potem dyktator, bardzo wysoko. Co warte wspomnienia, w 1988 r. uczestniczył w spotkaniu z młodzieżą w „Teleexpressie”. Miałem wtedy okazję zapytać go w kuluarach, jaki polityk stanowi dla niego wzór Odpowiedział, że gen. de Gaulle. De Gaulle! Ten, który uratował dwukrotnie Francję. Jakaż to nieoczywista w tamtych czasach odpowiedź! I jak wiele mówi.

Człowiek tak ukształtowany nie może dobrze się czuć w świecie



Wizyta prezydenta Francji Charles'a de Gaulle'a w Warszawie, przy Grobie Nieznanego Żołnierza, 1967 r.

polityków – osób giętkich, niespecjalnie przywiązanych do prawdy, patrzących na życie publiczne w kategoriach gry. Bo dla niego wszystko było obowiązkiem i miało służyć ojczyźnie.

Monika Jaruzelska o tych cechach osobowości ojca mówi otwarcie: „To było poczucie odpowiedzialności, obowiązku, ale też nieumiejętność czerpania z życia nawet drobnych przyjemności. Te cechy wychodziły i z jego katolickiego wychowania, i z czasów Syberii, i z wojska”. I dodaje: „To było takie polskie, z romantyzmu wyniesione... Że spotykają nas kolejne ataki, a my musimy zacisnąć zęby i nieść ten krzyż... I trwać”.

Generał mówił o tym wielokrotnie. Tłumaczył to również córce, gdy rozmawiali o liście, który wysłał zaraz po wojnie, w czerwcu 1945 r., do matki i siostry, wciąż przebywających na Syberii. Pisał w nim: „Pozostałem takim, jakim byłem, rozumiejąc jednak obowiązek pracy i służby względem Polski, jaka ona by nie była i jakich ofiar by od nas nie żądała”. Tłumaczył i puentował: „Sądzę, że stało się to dewizą na całe życie – ważne, jakiej Polsce służysz, ale nie mniej ważne, jak jej służysz”. Doceniano to.

Okrążył Stół, bezkrwawe przekazanie władzy, wielka zmiana ustrojowa – bez niego to by się nie zdarzyło. Był

moment, że był kluczowym politykiem w wielkim procesie zmiany geopolitycznej – i nie zawiódł. To przyniosło mu szacunek i uznanie.

Dwa razy spotkał się z papieżem. Po latach Jaś Gawroński, eurodeputowany włoskiej centroprawicy i dziennikarz, w liście do „Corriere della Sera” napisał, że Jan Paweł II uważał Wojciecha Jaruzelskiego za patriotę. „Za moją tezę o niewinnym Jaruzelskim przemawiają rozmowy, jakie przeprowadziłem z Janem Pawłem II; w ich trakcie wypowiadał się o generale z wielkim szacunkiem, nazywając go nawet kiedyś patriotą – podkreślił Gawroński. – Poza tym papież Wojtyła okazał to przekonanie, przyjmując dwa razy Jaruzelskiego, kiedy nie było takiej potrzeby (w 1991 r. w Warszawie, podczas IV pielgrzymki do Polski, oraz w roku 1992 w Rzymie, kiedy Jaruzelski przyjechał zaprezentować włoskie wydanie swej książki), gdy generał nie był już prezydentem, lecz zwykłym emerytem”.

Z Jaruzelskim emerytem spotkał się także George Bush. Do ich spotkania jako dwóch prezydentów nie doszło – Jaruzelski odwołał przygotowywaną na jesień 1990 r. wizytę w związku z wnioskiem o skrócenie kadencji. W odpowiedzi George Bush stwierdził: „Prezydent Jaruzelski

zasługuje na wielki szacunek za rolę, jaką odegrał wraz z rządem premiera Mazowieckiego w działaniach na rzecz umocnienia gospodarki i umocnienia demokracji”. Obaj już jako byli prezydenci spotkali się w Warszawie, w czerwcu 1997 r. Bush przybył do Polski z żoną, na zaproszenie prezydenta Kwaśniewskiego. Polski prezydent podjął gościa lunchem w Pałacu Prezydenckim. Później do pałacu przyjechał Wojciech Jaruzelski, który odbył półgodzinną rozmowę z George'em Bushem. Do tego spotkania doszło na życzenie byłego prezydenta USA. Po powrocie do Stanów Bush przesłał Jaruzelskiemu list datowany na 4 lipca, dzień amerykańskiego święta narodowego: „Drogi generale Jaruzelski, drogi przyjacielu, było mi bardzo miło spotkać się z Panem w Warszawie. Najpierw byłem zaniepokojony Pańską operacją oka, ale kiedy powiedział mi Pan, że wszystko się dobrze rozwija, poczułem się w związku z tym dużo lepiej”.

Generał cieszył się też szacunkiem za wschodnią granicą. 9 maja 2005 r. na zaproszenie prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego wziął udział w delegacji państwowej na uroczystości z okazji 60. rocznicy zakończenia II wojny światowej w Moskwie. W 2010 r. przyjął zaproszenie rosyjskie na uroczystości z okazji 65. rocznicy zakończenia II wojny. W związku z tym w marcu 2010 r. został zaproszony do składu delegacji polskiej przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Nie polecili razem, bo przed 9 maja był 10 kwietnia...

Po śmierci prezydenta Kaczyńskiego w katastrofie smoleńskiej Jaruzelski 9 maja uczestniczył w delegacji państwowej na uroczystości rocznicy zakończenia wojny na zaproszenie wykonującego obowiązki prezydenta RP Bronisława Komorowskiego. 24 listopada 2010 r. na jego zaproszenie wziął udział w posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego w Pałacu Prezydenckim.

Ale to wszystko nie oznacza, że jego polityczna emerytura upływała w spokoju. W 1991 r., w 10. rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, posłowie KPN złożyli wniosek o pociągnięcie jego autorów do odpowiedzialności. Wniosek badała sejmowa ▶

► Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej. Po pięciu latach pracy zawiosowała o niestawianie generała przed Trybunałem Stanu. Sejm głosami SLD i PSL wniosek przyjął.

W roku 1996 r. ruszył proces Grudnia '70. Z kolei w 2008 r. na wniosek prokuratorów IPN ruszył proces autorów stanu wojennego. Jaruzelski był jednym z dziewięciu oskarżonych. Parę miesięcy później pojawił się pomysł odebrania emerytur członkom WRON. Tym ruchom towarzyszyła kampania zniesławiających kłamstw.

Działania te wywołały falę społecznego oburzenia. „Bronię Generała Jaruzelskiego! – pisał na naszych łamach Aleksander Kwaśniewski. – Polska prawica, tym razem w barwach PO, w barwach rządu Donalda

demokratycznych przemian, które zaowocowały Okrągłym Stołem i zmianami w Europie. Wytaczany Generałowi proces uznajemy za akt zemsty ludzi, którym obce są cywilizowane normy życia i regulacje prawne”.

Pod apelem jako pierwsi podpisali się Aleksander Kwaśniewski i Jerzy Domański, redaktor naczelny PRZEGŁĄDU. Obaj zaprosili Polaków, by również składali podpisy. Odzew przeszedł wszelkie oczekiwania. Podpisały się dziesiątki tysięcy Polaków, paczki z podpisami przychodziły do redakcji przez wiele miesięcy.

Ataki rodzimej prawicy go nie złały. Przyzwyczajony do pracy, do codziennego wertowania setek stron raportów i dokumentów, nie pozwolił sobie popaść w gnuśność. Walczył

Barbórki do kopalni Wujek. Tej samej, w której w grudniu 1981 r. zabito dziewięciu górników. Prezydent Jaruzelski złożył kwiaty pod drewnianym krzyżem upamiętniającym ofiary. Wpisał się do księgi pamiątkowej: „Płynęły przez śląską ziemię potoki polskiej krwi. Tej, która tu została razem przelana, mogliśmy uniknąć. Niech pamięć o niej będzie przestrogą dla żywych i hołdem dla Ofiar”. Uroczystość przebiegała w atmosferze powagi i nie zakłóciła jej grupa działaczy KPN krzyczących pod kopalnianą bramą. Zresztą tego samego dnia Solidarność z Wujka wydała oświadczenie: „Stanowczo odcinamy się od nieodpowiedzialnego, wręcz prowokacyjnego zachowania się członków KPN, którzy zakłócili Pana pobyt w naszej kopalni, i wyrażamy Panu z tego powodu nasze ubolewanie”.

Jest jeszcze jeden moment jego krótkiej prezydentury, zapomniany, a wart refleksji. To wystąpienie noworoczne, które dobrze odzwierciedla filozofię polityczną Jaruzelskiego. „Był to czas szczególny – mówił o mijającym 1989 r. – Gęsty od wydarzeń i szybkich zmian. Czas przełomowy. To, co przez dziesięciolecia i lata wydawało się nierealne, niemożliwe, stało się faktem. Nie chcę upraszczać przeszłości. Były sprawy bolesne, krzywdy, wzajemne oskarżenia. Nie raz groziła konfrontacja, nierzadki był duch gniewu, wciągał nas wir walki. Trzeba było przerwać ten zakłęty krąg, wznieść się ponad nieufność, uprzedzenia, urazy. Musieliśmy wszyscy dojrzeć do dialogu, do kompromisu. Szliśmy do siebie z daleka, z różnych często stron. Szliśmy mozolnie, po wyboistej drodze. Wbrew wszelkim przeciwnościom prowadziła ona do realizmu politycznego, do porozumienia, do demokracji. Choć nie jest to zbyt częste w naszych dziejach – Polak okazał się mądry przed szkodą”.

11 maja 2014 r. gen. Wojciech Jaruzelski przeszedł rozległy udar mózgu, wskutek którego został częściowo sparaliżowany i utracił zdolność samodzielnego oddychania.

Zmarł 25 maja 2014 r. o godz. 15.24 w Warszawie.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Okrągły Stół, bezkrwawe przekazanie władzy, wielka zmiana ustrojowa – bez niego to by się nie zdarzyło.

Tuska, zdecydowała się na polityczną dintojrę. Tak odbieram pomysł zabrania emerytur członkom Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, atak na gen. Wojciecha Jaruzelskiego, chyba nieprzypadkowo skorelowany z rozpoczętym procesem autorów stanu wojennego. Tu trzeba mocnych słów i stanowczego protestu!”.

W PRZEGŁĄDZIE wydrukowany został „APEL w sprawie gen. Jaruzelskiego”: „My, niżej podpisani, protestujemy przeciwko hańbiącemu traktowaniu przez IPN i jego prokuratorów byłego prezydenta RP, Wojciecha Jaruzelskiego, nieuznawaniu patriotycznej drogi życiowej Generała, podważaniu jego zasług dla

o pamięć. Pisał książki, w których wyjaśniał swoje decyzje, polemizował, przysięgał wyłożyć się do rozpraw.

Walka o pamięć... Wiosną 1990 r., już jako prezydent RP, miał złożyć wizytę w Związku Radzieckim, ale postawił warunek: pojedzie, jeśli zostaną ujawnieni sprawcy zbrodni katyńskiej. Innymi słowy, jeśli Związek Radziecki wreszcie do zbrodni się przyzna. I oto 13 kwietnia 1990 r. prezydent ZSRR Michaił Gorbaczow podczas spotkania z Wojciechem Jaruzelskim przyznał oficjalnie, że zbrodnię katyńską popełniło NKWD. Gorbaczow przeprosił naród polski za zbrodnię, następnie przekazał dwie teczki z nazwiskami niemal 10 tys. zamordowanych oraz inne dokumenty. Dzień

później, 14 kwietnia, Wojciech Jaruzelski przybył do Lasu Katyńskiego. Również w 50. rocznicę zbrodni. Oddał honory wojskowe ofiarom, zgodnie z przedwojennym regulaminem – pochylił głowę, a na dźwięk trąbki z sygnałem Wojska Polskiego uklęknął przed mogiłami.

Hołd, ważny, składał też w grudniu 1989 r. Wtedy przyjechał na obchody

KTO SZUKA PRAWDY, ZNAJDZIE JĄ U WALENCIAKA

Ostatnia tajemnica stanu wojennego

Książka PRZEGŁĄDU
dostępna TYLKO
jako E-BOOK



Kup na sklep.tygodnikprzeglad.pl



Z córką Moniką w Chinach, 1985 r.



Spacer z matką, Warszawa, 1933 r.



Prywatna audyencja u papieża Jana Pawła II, Watykan, 13 stycznia 1987 r.



Wojciech Jaruzelski i George Bush, spotkanie w Nieborowie pod Warszawą, 27 września 1987 r.



Na obradach X Zjazdu PZPR z Michaiłem Gorbaczowem, Warszawa, 29 czerwca 1986 r.



Przed rozmowami Okrągłego Stołu. Od lewej: Lech Wałęsa, gen. Wojciech Jaruzelski, Bronisław Geremek i Mieczysław Rakowski, 6 lutego 1989 r.



Zaprzysiężenie na prezydenta, Warszawa, 19 lipca 1989 r.



Oficjalna wizyta w Hiszpanii. Od lewej: król Juan Carlos, Barbara Jaruzelska, Wojciech Jaruzelski i królowa Sophia, czerwiec 1990 r.



Podczas rozmowy z Jerzym Kisielewskim gen. Jaruzelski pokazywał dokumenty Stasi świadczące o planowanej inwazji sowieckiej na Polskę w 1981 r. Warszawa, 20 grudnia 2001 r.



Z wizytą u przewodniczącego ChRL Deng Xiaopinga, Pekin, 29 września 1986 r.

CZYTAJCIE KSIĄŻKI ISKIER



23-26 maja Pałac Kultury i Nauki
i Plac Defilad od strony „KINOTEKI”

**STOISKO
B2**



MIĘDZYNARODOWE
**TARGI KSIĄŻKI
W WARSZAWIE**

SOBOTA, 25 MAJA

12.00–13.00

Jan Gondowicz

Flirt z Paralipomeną. Mitologie

13.00–14.00

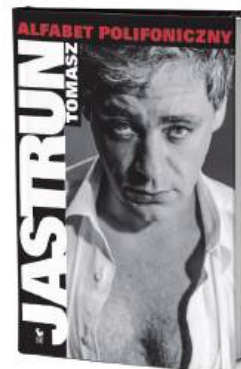
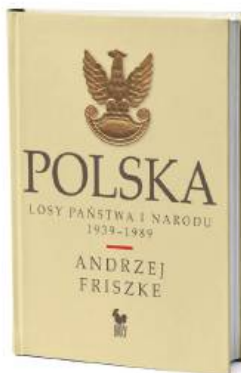
Marek Węcowski

Tu jest Grecja! Antyk na nasze czasy

14.00–15.00

Andrzej Friszke

*Polska. Losy państwa
i narodu 1939–1989*



NIEDZIELA, 26 MAJA

12.00–13.00

Maciej Kłociński

Orkiestra uliczna z Chmielnej

13.00–14.00

Tomasz Jastrun

Alfabet polifoniczny



Zeskanuj

ZAJRZYJ NA:

www.iskry.com.pl



Wydawnictwo Iskry



wydawnictwoiskry



**Kolejny rząd
i kolejny program
mieszkaniowy,
który nie zadziała**

Hucpa #naStart?

Kornel Wawrzyniak

W mediach poruszenie. Rozżalony minister rozwoju i technologii lamentuje na antenie Radia Zet, że na program „Kredyt mieszkaniowy #naStart” wylewa się fala hejtu. Minister Krzysztof Hetman stwierdza wręcz, że jest to akcja zorganizowana. Jeszcze kilka uwag pod adresem nowego programu mieszkaniowego i odbiorcy usłyszą, że to co najmniej atak rosyjskich hakerów. A może program po prostu zbiera zasłużone cięgi, bo jest co krytykować? Ale zacznijmy od początku.

Co program, to problem

Rząd Donalda Tuska ogłosił w kwietniu nowy program „Mieszkanie #naStart”. Ma on zastąpić dotychczasowy „Bezpieczny Kredyt 2%”, który, jak wynika z wielu analiz, więcej spowodował szkód, niż przyniósł pożytku. Okazuje się, że „BK2%” był jednym z głównych czynników drastycznego wzrostu w ciągu roku cen mieszkań. Według portalu Zametr.pl, który monitoruje ceny na rynku

mieszkaniowym, wzrost w poszczególnych miastach jest bardzo wysoki. Metr kwadratowy w Gdańsku między 2022 a 2023 r. podrożał o 18%, w Łodzi o 14%, w Katowicach i Toruniu o 11%, w Olsztynie o 9%. W Warszawie był to skok o 23%, jednak granice absurdu przekroczono w Krakowie, gdzie metr kwadratowy rok do roku zdrożał o 31%. Zdaniem autorów „Mieszkania #naStart” poprzedni program „BK2%” ze szkodą wpłynął na podaż na rynku mieszkaniowym.

Bank PKO BP przedstawił ciekawą analizę, z której wynika, że „Bezpieczny Kredyt 2%” nie spełnił m.in. celu, jakim było wsparcie rodzin z dziećmi: „Wśród wnioskujących było trzy razy więcej singli, niż jest przy innych kredytach mieszkaniowych. W największych aglomeracjach wnioski singli stanowiły 74% wszystkich wniosków”. Na dodatek z danych zebranych przez Grupę BIK wynika, że 40% kredytobiorców korzystających z programu „BK2%” miało zdolność kredytową pozwalającą na zaciągnięcie kredytu tej samej wysokości bez rządowej dopłaty.

– Od ponad roku ogłoszenie z moim mieszkaniem wisi w sieci.

Zainteresowanie było niewielkie, gdyż jest to mała miejscowość, a ja sprzedaję nietypowe mieszkanie, bo mało pokoi, a metraż duży. W takim miejscu to wada, bo mieszkań ponad 70 m szukają rodziny z dziećmi. Jednak po ogłoszeniu programu z tanimi kredytami ludzie oszaleli. Pokazywałem mieszkanie kilka razy w tygodniu. Cena z 330 tys. skoczyła dzięki sytuacji na rynku do pół miliona i szybko poszło. Sprzedałem jej 26-latkę, która skorzystała z „BK2%”. Mieszkanie spona jej ojciec, lokalny biznesmen – opowiada pan Mirosław spod Poznania.

Historia pokrywa się z danymi PKO BP. „Średni wiek osoby, której państwo pomoże przez 10 lat spłacać dług wobec banku, to nieco ponad 30 lat. Podczas gdy w przypadku innych kredytów mieszkaniowych jest to ok. 38 lat. Na uwagę zasługuje fakt, że aż 45% osób, które wystąpiły o »BK2%«, to młodzi ludzie, między 25. a 29. rokiem życia”, czytamy w raporcie banku.

O pisowskim programie „Mieszkanie+” nawet nie ma co wspominać. Najwyższa Izba Kontroli w 2022 r. określiła jego efekty jako fiasko.

Ze 100 tys. mieszkań, które miały zostać oddane do użytku w 2019 r., powstało zaledwie 15 tys. W 2021 r. pod koniec października 20,5 tys. było dopiero w budowie.

Nowy program nie wygląda jednak jak remedium na problemy, które stworzył jego poprzednik, „BK2%”. Eksperti obawiają się, że może on nawet podbić wzrost cen. Ciekawą

banki, deweloperzy i firmy budowlane. Zyskają też osoby, które już mają mieszkania, bo bańka będzie rosła. Jak wskazywała na antenie TOK FM dr Alina Muzioł-Węclawowicz, każdy kolejny program przyczyniał się do eksplozji cen. Naiwnością byłoby sądzić – uważa ekspertka ds. polityki mieszkaniowej – że tym razem może być inaczej.

„Bezpieczny Kredyt 2%” był jednym z głównych czynników drastycznego wzrostu w ciągu roku cen mieszkań.

ilustracją takich przypuszczeń jest sytuacja z warszawskiego Ursusa. Internauci zauważyli, że tuż po ogłoszeniu przez rząd nowego programu cena jednego z mieszkań w tej dzielnicy wzrosła w ciągu doby o 140 tys. zł. Portal Zametr.pl podał inny przykład – mieszkanie w Sosnowcu zaraz po ogłoszeniu programu zdrożało o 16%. Również w kwietniu analitycy z Otodom.pl wskazywali, że Polacy zaczęli masowo rezerwować nowe lub dopiero budowane mieszkania. Oczywiście możemy utrzymywać, że to przypadek. Patrząc jednak na konstrukcję programu, można to też potraktować jako sygnał pogłębiania się kryzysu mieszkaniowego.

Komu rząd chce zrobić dobrze?

„Mieszkanie #naStart” mimo wielu obostrzeń jest bardzo opłacalne dla większości osób. Kryteria dochodowe mają stanowić swego rodzaju bezpieczniki, dzięki którym program nie stanie się drugim „BK2%”. Dochód jednoosobowego gospodarstwa ma się mieścić w 7 tys. zł miesięcznie, dwuosobowego w 13 tys., trzyosobowego w 16 tys. Jednak to żadne zabezpieczenie. Nie ma bowiem zasady, że jeśli kryterium dochodowe zostanie przekroczone, wniosek o kredyt jest odrzucany. Według wyliczeń niektórych ekspertów wzięcie kredytu z pomocą „MNS” przestaje się opłacać gdzieś przy zarobkach rzędu 32 tys. zł miesięcznie w gospodarstwie jednoosobowym. Mamy więc limit, który jest, bo jest. Ekonomista dr Adam Czerniak twierdzi, że na programie „Mieszkanie #naStart” zyskają

Według raportu NIK z 2022 r. brak stabilności mieszkaniowej jest jednym z najistotniejszych problemów w Polsce, wpływającym na wybory rodzinne, zawodowe, a także w sferze jakości i komfortu życia Polaków. Szacunki mówiły, że na koniec 2019 r. deficyt mieszkań wynosił 641 tys., co oznacza, że ok. 1,9 mln osób w Polsce zamieszkiwało niesamodzielnie. Dane z marca 2024 r. pokazują, że luka mieszkaniowa powiększyła się już do prawie miliona lokali.

Według NIK największy problem mają gospodarstwa domowe, które nie mogą uzyskać zdolności kredytowej pozwalającej na zakup lokum. Stąd największy absurd naszej rzeczywistości, ponieważ mieszkań w Polsce jest o ponad 800 tys. więcej niż gospodarstw domowych. Problem

40% korzystających z programu „BK2%” miało zdolność kredytową pozwalającą zaciągnąć kredyt tej samej wysokości bez rządowej dopłaty.

w tym, że większość to mieszkania, które wynajmuje się m.in. studentom. Jeszcze inna teoria mówi, że skoro Polska się wyludnia, to luka mieszkaniowa sama zniknie za 10-15 lat. Złośliwie można więc stwierdzić, że wystarczy trochę cierpliwości i za lekko ponad dekadę można będzie kupować mieszkania po dzisiejszych cenach, jak już spadną.

Fliper #naStart

Prawdopodobnie większość czytelników, którzy mieszkają w blokach,

znajduje od czasu do czasu w swojej skrzynce na listy wiadomość mającą wyglądać na napisaną odręcznie przez młode małżeństwo, które koniecznie chce kupić mieszkanie w tym budynku. Czasem dołączony jest rysunek, którego styl każe myśleć, że zrobiło go kilkuletnie dziecko pary. Świarki podpisane są często imionami, np. Adam i Ania. Oni oczywiście desperacko chcą kupić mieszkanie sąsiadki, dlatego w skrzynce znajdujemy i po pięć ulotek w tygodniu, a parze myślą się imiona i czasem staje się Kasia i Tomkiem. Wszystko przez to, że w okolicy jest uniwersytet lub inne przedszkole, a trzyletnia córeczka jest przecież bardzo utalentowana.

Tak naprawdę nasza młoda para z dzieckiem to jedna osoba. Ambitny fliper, który lubi pieniądze. Fliper to osoba, która wyszukuje nieruchomości w atrakcyjnych cenach, najlepiej zaniżonych, aby sprzedać je potem z zyskiem. Jeszcze lepiej, jeśli mieszkanie czy dom nie wymagają większego wkładu finansowego. A nawet jeśli wymagają, fliper po prostu przyszczędzi i postawi na dobre pierwsze wrażenie.

Część zmian w nowej ustawie wygląda jak ukłon właśnie w kierunku fliperów. A na pewno osób, które będą chciały gładko wejść w ten rynek dzięki korzystnemu kredytowi. Zmianą, na którą przede wszystkim

należy zwrócić uwagę, są zasady dotyczące partnerów biorących kredyt. W programie „MNS” nie trzeba pozostawać w związku małżeńskim. Kredyt po prostu można wziąć w dwie osoby, i to w każdej konfiguracji płci. Jedynym warunkiem jest to, aby stosunek spłaty pozostawał w układzie pół na pół. Można to traktować jako małą rewolucję obyczajową: oto nie faworyzuje się związków heteronormatywnych i otwiera na inne relacje czy sytuacje życiowe. Chciałoby się wierzyć, że tak jest, jednak ta sama zasada stanowi furtkę dla ▶

► szalejących w ostatnich latach fliperów, bo skoro nie ma ograniczeń, to kredyt na preferencyjnych warunkach może wziąć i dwóch wspólników, którzy dopiero wchodzą w ten biznes.

Sceptycyzm czytelników może być w tym miejscu zrozumiały – mają wyobrazić sobie sytuację, w której np. dwóch świeżo upieczonych maturzystów bierze kredyt, aby wejść w biznes obrotu

mieszkanie, czy tym, którzy chcą mieć kolejne.

Biednemu zawsze wiatr w oczy

„Mieszkanie #naStart” zakłada, że im więcej dzieci w rodzinie, tym bardziej preferencyjne warunki wzięcia kredytu. Policzymy koszty dla czteroosobowej rodziny. Według byłego ministra edukacji Przemysława Czararka PiS zostawiło Polskę jako

700 tys. zł. Przy kredycie 0,5% na 30 lat sama rata za mieszkanie wyniesie 1954,17 zł. Nie uwzględniliśmy w tym żadnych opłat za media. Łądujemy więc dość daleko od wyliczeń z tabelki GUS. Sęk w tym, że naszej rodzinie według założeń „Mieszkania #naStart” przysługuje dopłata tylko do 500 tys. zł. To oznacza, że pozostałe 200 tys. zł jest oprocentowane zgodnie z warunkami zawartymi w umowie z bankiem. Koszty zakupu i spłaty mieszkania znowu wzrastają.

Pojawia się zasadne pytanie, czy ów program w ogóle można sklasyfikować jako pomoc mieszkaniową. Należy to nazwać co najwyżej dopłatą do kredytów, które znowu najbardziej opłacą się singlom. Taki ruch ze strony rządu jest albo bezzasadnością, albo świadomym pompowaniem bańki mieszkaniowej i zasilaniem banków. Pomocą mieszkaniową można nazwać tzw. lex Kukucki – ustawę, której głównym założeniem jest zwiększanie limitów wydatków budżetowych na budownictwo społeczne i komunalne. Do 2030 r. ma tym sposobem trafić do gmin 50 mld zł, za które ma powstać nawet 20 tys. mieszkań rocznie. Tyle że to gminy muszą się zgłosić do funduszu dopłat i mieszkania wybudować. Tymczasem ceny lokali będą rosły za sprawą równoległego projektu „Mieszkanie #naStart”. Można zatem przypuszczać, że skutki bezsensownych decyzji polityków

Na programie „Mieszkanie #naStart” zyskają banki, deweloperzy i firmy budowlane. Zyskają też osoby, które już mają mieszkania, bo bańka będzie rosła.

mieszkaniami? Jednak warto zauważyć, że o fliperach jest od miesięcy bardzo głośno. Co gorsza, w ostatnim czasie media, m.in. TVP pod nowym zarządem, zapraszają do programów śniadaniowych osoby, które promują ten sposób zarabiania na życie i opowiadają o wszystkich tego plusach. Korzystne zasady kredytowania i szum medialny nieskażony głębszą refleksją to zaś idealne warunki, aby niektórym młodzianom chętnym na tzw. hajs zaświtała w głowie wizja, gdzie wystartować z zarobieniem pierwszego miliona.

I kolejny ukłon w stronę „biznesmenów”: od teraz osoby będące w związku małżeńskim mogą wziąć kredyt jako single. Wystarczy podpisać rozdzielną odpowiedzialność i skorzystać z programu osobno. Każde z małżonków może więc kupić mieszkanie oddzielnie. Ale to nie koniec korzyści. W poprzednich programach nie można było wynajmować mieszkania z dopłatami. Teraz na czas wynajmu są one wstrzymywane, a po trzech miesiącach od jego zakończenia wracają. Jeśli małżeństwo z rozdzielną odpowiedzialnością ma dwa mieszkania, może jedno wynajmować i tutaj rzeczywiście dopłaty ustają, ale mieszkając w drugim, para ta cały czas będzie korzystać z preferencyjnych warunków spłaty nieruchomości, którą zamieszkuje. Pytanie, komu służy taka sytuacja. Tym, którym nie starcza na pierwsze

krainę miodem i mlekiem płynącą, dlatego w 2023 r., przy założeniu, że oboje rodzice pracują za minimalne wynagrodzenie, budżet domowy wynosi 7,4 tys. Mamy jeszcze dodatkowy tysiąc na dwójkę dzieci z programu 500+. Łącznie 8,4 tys. Należy jednak zapytać, ile taka rodzina wydaje na życie. Według danych GUS przeciętne miesięczne wydatki na osobę w gospodarstwach domowych osiągnęły w 2022 r. wartość 1475 zł i były wyższe nominalnie o 15,2%, a realnie o 0,7% od wydatków z 2021 r. Najwyższy udział w tych wydatkach – 26,7% – mają koszty związane z zakupem żywności i napojów bezalkoholowych. W drugiej kolejności największe wydatki

Na koniec 2019 r. deficyt mieszkań wynosił 641 tys., co oznacza, że ok. 1,9 mln osób w Polsce zamieszkiwało niesamodzielnie.

wiążą się z użytkowaniem gospodarstwa domowego i związanymi z tym nośnikami energii – przeciętnie 19%. To oznacza, że z czarnkowego 8,4 tys. 1596 zł idzie na mieszkanie, a jeśli dodamy do tego przeciętne koszty zakupów spożywczych, naszej rodzinie zostaje mniej niż 1 tys. zł na cokolwiek ekstra. Te wyliczenia to jednak czysta teoria.

Zakładając, że nasza czteroosobowa rodzina chce kupić mieszkanie o powierzchni 75 m kw. w Rzeszowie, według strony Zametr.pl musi się przygotować na wydatek rządu

po raz kolejny odbiją się na najbardziej potrzebujących. Mieszkania będą, ale pewnie znowu droższe. To zaś przełoży się na decyzje wielu osób o zakładaniu rodziny. Droższe mieszkania to mniejsze mieszkania. Trudno wychowywać dziecko w mikrokawalerce. Plus tego jest taki, że za sprawą owej bezsensownej polityki luka mieszkaniowa rzeczywiście zniknie, bo będzie się rodziło coraz mniej dzieci.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

PRZEGLĄD na Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie



23-26 maja 2024 r., stoisko nr L11 w namiocie L2
plac Defilad przed Kinoteką, od strony Alej Jerozolimskich

Zapraszamy po dedykacje
i książki w promocyjnych cenach!

**STOISKO
L 11**

Spotkaj się z naszymi autorami:

piątek, 24 maja

- godz. 15.00-16.00 – Robert Walenciak, „Modzelewski. Buntownik”
- godz. 16.00-18.00 – Tomasz Turowski, pakiet „Zabij pożyczonym mieczem”
Tom I – „Oko smoka” (dostępny tylko jako e-book)
Tom II – „Chichot hieny”
Tom III – „Wzrok Cerbera”

sobota, 25 maja

- godz. 15.00-16.00 – Paweł Dybicz, „Życie pełne historii” **PREMIERA!**

niedziela, 26 maja

- godz. 13.00-14.00 – Jerzy Domański, tygodnik PRZEGLĄD

**Bądź
z nami!**

**Wstęp na targi
jest bezpłatny**



sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Kaczyński już nie rządzi na Podlasiu

Kompromitacja na cały kraj



Waldemar Staszynski

Białystok, 7 maja 2024 r. Szef podlaskich struktur PiS, były wicepremier Jacek Sasin, i ubiegający się o reelekcję marszałek Artur Kosicki dumnie wkroczyli na obrady pierwszej sesji nowo wybranego sejmiku województwa podlaskiego, by spełnić wolę Jarosława Kaczyńskiego i przedłużyć rządy PiS na Podlasiu na kolejne pięć lat. A tu naci. Kompromitacja na cały kraj.

Władzę w województwie przejęli ludzie z nadania prezydenta Białegostoku Tadeusza Truskolaskiego i jego syna Krzysztofa, szefa podlaskiej PO, oraz wiceministra rolnictwa Stefana Krajewskiego (PSL) do spółki z Markiem Malinowskim i Wiesławą Burnos, członkami zarządu poprzedniej kadencji, którzy wcześniej reprezentowali PiS. Na dwoje radnych popłynęła fala hejtu. Sam Sasin nazwał ich „zdrajcami PiS”. Wyzywani zdrajcami się nie czują, bo – jak mówią – zawiedli się na rządach Kosickiego w poprzednich latach.

Opinia publiczna jest w tej sprawie podzielona.

Sasin zawalił, Kaczyński go chwali

W szeregach podlaskiego PiS wrze. Już po 15 października 2023 r., kiedy się okazało, że drużyna pod wodzą Sasina i Kosickiego na Podlasiu zdobyła w wyborach dwa

Z pisowską rodziną też najlepiej wychodzi się na zdjęciu? Po lewej byłego marszałka województwa Artura Kosickiego „zdraycy” Wiesława Burnos i Marek Malinowski, po prawej Stanisław Derehajło z Porozumienia i Marek Olbryś.

SOP – a korzystał z tego przywileju, nawet gdy wyleciał z rządu.

Co ciekawe, mandat senatorski przypadł w okręgu bezpośrednio kontrolowanym przez byłego marszałka podlaskiego. Z kolei przy układaniu listy do Sejmu – jak mówią anonimowo byli kandydaci – chcieli dać szansę „swoim” kosztem kariery np. posłów Kazimierza Gwiazdowskiego i Mieczysława Baszki, zepchniętych na odległe miejsca, zdaniem komentatorów politycznych nieproporcjonalnie do ich zasług w lokalnej polityce. W przypadku tego drugiego plan się powiódł.

Wracając do Sasina, warto wspomnieć o jego wpisie na portalu X kilka godzin przed rozpoczęciem sesji podlaskiego sejmiku. Rano 7 maja napisał on, że „o 12.00 będzie miał dobre informacje”. Tyle że wpis po południu zniknął, gdy na marszałka został wybrany Łukasz Prokorym z PO. Zniknął też błyskawicznie

Kiedy drużyna pod wodzą Sasina i Kosickiego na Podlasiu zdobyła dwa mandaty mniej, działacze partii domagali się rozliczenia odpowiedzialnych za kampanię.

mandaty mniej niż w poprzedniej kadencji parlamentu, działacze partii domagali się rozliczenia odpowiedzialnych za kampanię. Najgłośniej grzmieł Dariusz Piontkowski, były minister edukacji, i Jarosław Zieliński, były wiceminister spraw wewnętrznych. Ten ostatni ponoć za swój występ w TVN 24 został pozbawiony rządowej limuzyny i ochrony

z Białegostoku Sasin, bo – jak mówił rozgoryczeni z PiS – śpieszył się do prezesa przekazać „dobre informacje”, czyli zmasować z siebie ewentualną winę, wymyślić wytłumaczenie kolejnego blamażu na Podlasiu. A jeśli w statystyce sukcesów byłego wicepremiera uwzględnimy przegrane wybory kandydata jego partii na prezydenta Białegostoku, ▶

Nowe książki PRZEGLĄDU

Andrzej Romanowski w rozmowie z Pawłem Dybiczem opowiada o swej drodze naukowca, publicysty i polityka – od dzieciństwa w kulcie wuja, Jana Bytnara „Rudego”, po tytuły i stanowiska uniwersyteckie. Przyznaje się do zmiany poglądów, mówi, za co ceni gen. Jaruzelskiego, czym zaskoczyła go londyńska emigracja i co ważne są mity narodowe. Wspomina spotkania z Eugeniuszem Kwiatkowskim, Giedroyciem i Nowakiem-Jeziorańskim, Miłozem i Michnikiem, a nawet Terleckim, Rokitą i... Rydzykiem.

Lektura pasjonującej rozmowy pozwala zrozumieć Polskę i Polaków. Szczególnie gdy nasze własne losy to przeplatają się, to zderzają z wielką historią, o której uczą w szkole.

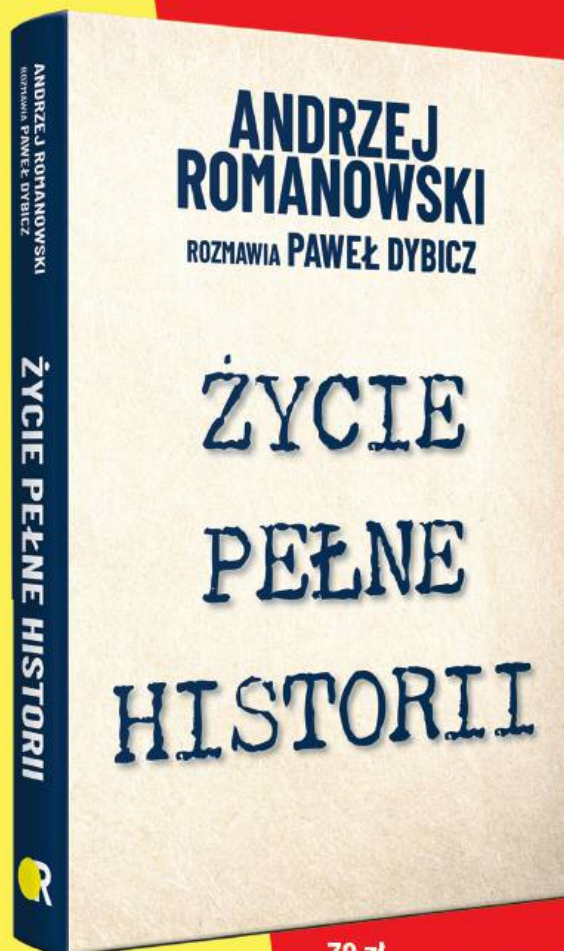
Aleksander Kwaśniewski

Prof. Romanowski w porywającym wywiadzie rzece piętnuje szkodliwą niechęć do uznawania naszych błędów i win, która prowadzi wprost do fałszowania historii.

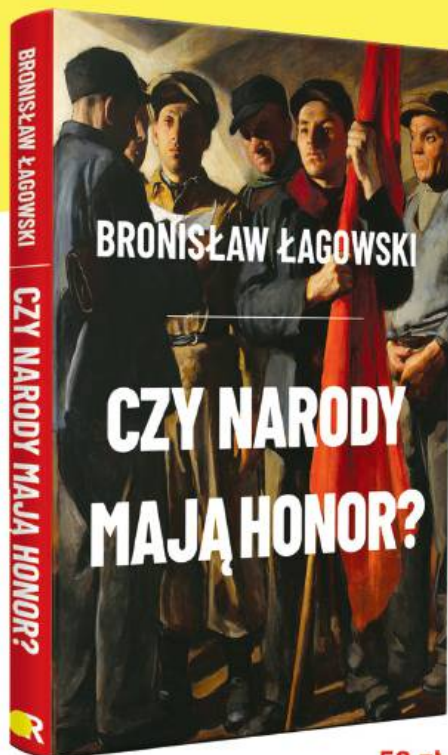
Jacek Majchrowski

Red. Dybicz daje materiał poglądowy na temat nieoczywistych losów polityczno-kulturalnej formacji, której urodzenie przypadło na lata 50.

Bronisław Łagowski



79 zł



58 zł

Czy narody mają honor?

Polska, zamiast przyjąć wielki program narodowej pracy organicznej, szuka sposobów zaimponowania Niemcom i Francji w przesuwaniu kraju na możliwie wysokie miejsce w rankingu zbrojeń.

Historia Polski obarczona była fatalizmem zacofania; obecnie do fatalizmu dołącza świadomy wybór polityczny. Polska nad miarę zbrojna musi być Polską zacofaną.



Zamów książki na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

► być może jest to rekord w bastionie Prawa i Sprawiedliwości.

Na razie Jacek Sasin na Podlasie będzie wracał, bo ma tu biuro poselskie i ponoć – jak się plotkuje na lokalnych salonach PiS – pomaga przy budowie rodzinnego domu w Supraślu. Jego pozycja polityczna na razie nie jest zagrożona, bo prezes Kaczyński go broni.

Czy wsparcie wodza partii wystarczy, by eksminister aktywów państwowych poradził sobie z kolejnym wyzwaniem, jakim jest zażegnanie gigantycznych sporów personalnych w podlaskich strukturach?

Doty partyjne są sceptyczne i podkreślają, że wybory do Parlamentu Europejskiego mogą być gwoździem do politycznej trumny Sasina, bo zakończą się prawdopodobnie utratą jednego mandatu (teraz są dwa w okręgu warmińsko-mazursko-białostockim – Karol Karski i Krzysztof Jurgiel).

Smuta w kręgach disco polo

O tym, że PiS straci władzę na Podlasiu, szeptano już dwa tygodnie przed sesją sejmiku. Rozmawialiśmy z elitą podlaskiego PiS i osobami blisko związanymi z byłym marszałkiem Arturem Kosickim (fanem muzyki disco polo). Zdecydowana większość w to nie wierzyła. Ale byli

Tymczasem w środowisku radnych PiS trwała zakulisowa walka o stołki w zarządzie województwa. I coraz więcej złych wiadomości płynęło do urzędującego marszałka, bo chętnych na jego stanowisko miało być wielu, choćby Marek Olbrys (wicemarszałek podlaski), który otrzymał najwięcej głosów spośród radnych PiS.

Coś zaczęło się sypać. Im bliżej było wyborów, tym bardziej

w poszukiwaniu „zdrajców z PiS” przeprowadził portal Nasze Podlaskie, który ślady nikczemnego czynu odkrył w Brukseli i ustalił, że za wszystkim stoi europoseł Krzysztof Jurgiel.

Anonimowy autor pisze m.in. (pisownia oryginalna): „Za zdradę dwóch radnych na dzisiejszej sesji odpowiedzialny jest były minister rolnictwa i obecny europoseł PiS Krzysztof Jurgiel. Nie znalazł się on na listach wyborczych do parlamentu europejskiego co skutkuje końcem jego kariery politycznej”.

Cały tekst przestaliśmy Krzysztofowi Jurgielowi z prośbą o komentarz, tylko dlatego, że jest on rozsyłany do członków PiS i szeroko komentowany w województwie. W rozmowie telefonicznej polityk poinformował nas, że sprawa jest mu znana i podjął kroki prawne przeciwko portalowi, dodając, że informacje zawarte w tekście są nieprawdziwe.

Z kolei nasze śledztwo ustaliło, że współwłaścicielem LOK-Media Sp. z o.o. w Warszawie (wydawca portalu Nasze Podlaskie) jest Maciej Jan Samsonowicz, który zasiada we władzach Polskiego Klubu Sermierczego, gdzie Romualda Wąsik, żona byłego wiceministra spraw wewnętrznych Macieja Wąsika, pełni funkcję sekretarza zarządu. Mąż pani Romualdy jest jedynką do PE w okręgu warmińsko-mazurskim i podlaskim. Skąd atak na Jurgiel, który nie startuje do europarlamentu? Kolejna tajemnica na szczytach władzy PiS.

Zobaczmy, czy po 9 czerwca, czyli po wyborach do europarlamentu, na Podlasiu dotrze polityczne tsunami, które wywróci kariery wielu prominentnych polityków partii Jarosława Kaczyńskiego. Bo – jak podkreślają szeregowi działacze – co z tego, że wygrywamy wybory, skoro tracimy władzę.

16 maja Krzysztof Jurgiel został zawieszony w prawach członka PiS.

Waldemar Staszyski



nerwowo robiło się w białostockim wieżowcu przy ulicy Marii Skłodowskiej-Curie 14 – w siedzibie Urzędu Marszałkowskiego Województwa Podlaskiego. Kosicki nie był już żelaznym kandydatem i stopniowo tracił poparcie radnych PiS. Czy o tym wiedział? Czy Sasin sondował szanse swojego kandydata na marszałka w rozmowach z radnymi w cztery oczy? Kto, kogo i dlaczego zdradził? Być może odpowiedzi na te pytania

Najgłośniej grzmieł Dariusz Piontkowski, były minister edukacji, i Jarosław Zieliński, były wiceminister spraw wewnętrznych.

i tacy, którzy spuszczaali głowy, co oznaczało, że liczyli się z suflowanym przez nas czarnym scenariuszem. Z niedowierzaniem do naszych informacji odnosiła się kadra kierownicza urzędu marszałkowskiego. Możliwe, że ich szef zapewniał, że wszystko będzie po staremu. A jeśli dodać, że Kosicki w podobnym tonie wypowiadał się w lokalnych mediach, kreśląc optymistyczne scenariusze, to trudno się dziwić, że urzędnicy ulegli jakieś hipnozie – był dla nich carem i bogiem.

zna tylko Jarosław Kaczyński, który słowo zdrada odmienia przez wszystkie przypadki.

Warto wrócić do wpisu Sasina z 7 maja. Były wicepremier, jeden z najbliższych ludzi Kaczyńskiego, został jak Himilbach z angielskim – podobnie jak Kosicki. Jednak rzeźbiony aktor to aktor, wiedział, kiedy trzeba się wycofać. Może dlatego, że nie miał okazji tańczyć w rytmach disco polo?

Tymczasem nawalanka wewnętrzpartyjna trwa. Śledztwo

Z Galicji



Jan Widacki

Edukacyjna fikcja

Zaczyna się w szkole podstawowej. Jak sądzę, ok. 90% dzieci uczęszcza do szkół publicznych, do prywatnych - ok. 10% (co najwyżej). W tych drugich klasy są mniej liczne, nauka dostosowana do ucznia, uczenie języków obcych lepsze. Tyle że to kosztuje. Na taką szkołę stać najbogatszych rodziców. Czynnikiem nieco łagodzącym tę różnicę jest zapewne to, że bogaci rodzice, których stać na prywatne szkoły, niekoniecznie utrzymują w domu klimat intelektualny. Szkoła, choć płatna, i to niemało, nie we wszystkim domowe zaległości nadrobi. Ale i tak równość szans najmłodszych jest fikcją.

Później szkoła średnia. Tu kolejny problem i kolejna fikcja. W dużych miastach licea z definicji są lepsze. To pokazują rankingi. Pozycję szkoły w rankingu oblicza się zasadniczo wedle dwóch kryteriów: liczby olimpijczyków i procentu przyjęć na studia. Na ogół jednak nie wspomina się, że do tych „najlepszych” liceów, z reguły w dużych miastach, uczęszcza młodzież ze środowisk wielkomiejskich, w dodatku z bogatych rodzin. Takich, które stać na opłacenie korepetycji. Wedle mojej wiedzy, zapewne niepełnej, ale to da się zbadać i tym samym zweryfikować, w tych liceach procent uczniów pobierających korepetycje jest bardzo wysoki. Tak więc efekty – procent olimpijczyków i przyjęć na studia – są dziełem nie tylko szkół, ale i opłacanych przez rodziców korepetytorów. Aby ranking liceów był mniej więcej obiektywny, powinien uwzględniać nie tylko liczbę olimpijczyków i przyjęć na studia, lecz także liczbę pobierających płatne korepetycje. Oczywiście tego nie tylko się nie robi, ale nawet nie da się zrobić. Praktyka tajnego nauczania, jak twierdzą złośliwi, jest częścią polskiej tradycji, podobnie jak zakonspirowanie tego nauczania, którym trudnią się najczęściej po godzinach pracy słabo wynagradzani nauczyciele liceów, którzy w ten sposób dorabiają, w tajemnicy przed swoimi dyrektorami i fiskusem.

Absolwenci liceum dostają się później na studia. Ci najlepsi, którzy wspólnym wysiłkiem szkoły i korepetytorów, czasem dodatkowo wspartym pracą własną i swoimi zdolnościami, dostają się na studia na uczelnie publiczne, mogą studiować za darmo! Oferta studiów publicznych, znaczy się darmowych, jest szeroka. W takim Krakowie socjologię np. można studiować na trzech czy nawet czterech uczelniach publicznych, w tym, kto by się tego spodziewał, na Akademii Górniczo-Hutniczej. Z prawem jeszcze lepiej! Na Uniwersytecie Jagiellońskim (tam nieprzerwanie co najmniej od 1400 r.), ale również na Uniwersytecie Ekonomicznym, a nawet na... Uniwersytecie Pedagogicznym, od pewnego czasu zwanym

Uniwersytetem Komisji Edukacji Narodowej. Związek tego uniwersytetu z Komisją Edukacji Narodowej nie wydaje się wprawdzie dość oczywisty, podobnie jak z kształceniem prawników, ale nie czepiajmy się. Trzeba dodać, że część najzdolniejszych, a przy tym tych najbogatszych maturzystów wybiera studia za granicą. Jeśli je skończą i wrócą do Polski, mają zapewnione miejsce w elicie.

Kto nie dostanie się na uczelnię publiczną, bez trudu (choć za pieniądze!) dostanie się do którejś ze szkół niepublicznych. Są one różne. Od akademickich, czyli uniwersytetów i akademii, po różne szkółki o wątpliwym poziomie. Tam w ofercie kandydat znajdzie nie tylko wszystkie te kierunki, które są prowadzone na uniwersytetach, ale i takie, których nie ma nie tylko tam, ale nawet na żadnym uniwersytecie na świecie! Jak absolwent dobrze poszuka, to na pewno coś dla siebie znajdzie. Na przykład „psychokryminalistykę” albo inną „psychologię śledczą”. Albo coś, czego nazwa brzmi równie intrygująco i równie nie wiadomo co znaczy. Najatrakcyjniejsze

Mamy wysoki odsetek ludzi z wyższym wykształceniem, a mimo to słabo wyedukowane społeczeństwo.

nazwy kierunków studiów oferują rozmaite niepubliczne „wyższe szkoły kosmetycznej i bezpieczeństwa narodowego”. Nazwy tak frapujące, że zdobywające akceptację Państwowej Komisji Akredytacyjnej, która wprawdzie nie zawsze wie, o co chodzi, ale zatwierdza. Kolejna fikcja. Mamy w efekcie jeden z najwyższych w Europie odsetków młodzieży studiującej i wysoki odsetek ludzi z wyższym wykształceniem, a mimo to słabo wyedukowane społeczeństwo i najlepsze uniwersytety w czwartej czy piątej setce rankingowej.

Z tego kilka nauk dla lewicy. Zwróćcie uwagę, że już począwszy od nauczania podstawowego, różnicuje się szanse dzieci na dalszą karierę, pogłębiając podziały społeczne, żeby nie powiedzieć klasowe. Dzieci z bogatszych rodzin mają łatwiejszy start do zawodowego życia i do kariery. Podziały społeczne pogłębiają się.

Nauka druga adresowana do lewicy, która zarządza aktualnie szkolnictwem wyższym: coś ten system kontroli poziomu uczelni, poziomu jej badań naukowych i dydaktyki, szwankuje. Najdelikatniej mówiąc. A może cały system kontroli z założenia jest zły? Kazus Collegium Humanum, mającego pozytywne oceny wszystkich ciał kontrolujących, obnaża jego słabość. Czy lewica ma tu jakieś pomysły? Czy w ogóle zauważa problem? ■

Chemii nie było i nie będzie

Grupa Azoty w roku 2023 straciła 3,29 mld zł, a jej zadłużenie wzrosło do 9,9 mld. I co? I nic.

Grzegorz Rudnik

W roku 2021 zakłady wchodzące w skład Grupy Azoty skonsumowały 2,3 mld m sześć. gazu ziemnego. Stanowiło to 15% rocznego krajowego zużycia. Azoty to największy w Polsce koncern chemiczny. Drugi producent nawozów azotowych w Europie. Na naszych oczach jednak niegdyś chluba polskiej chemii tonie jak legendarny „Titanic”. I nie ma w tym ani godności, ani romantyki. Są układy i układziki, puste obietnice, nietrafione inwestycje i spora kasa dla prominentnych działaczy PiS.

O wszystkim decydują kadry

Dla premiera Morawieckiego oraz liderów PiS Władimir Putin i rosyjska agresja na Ukrainę są prezentem. Argumentem, którym można wytłumaczyć każdy skandal i niepowodzenie, rozgrzeszyć niemal każdego.

Pisowscy menedżerowie powoływani przez kolejnych ministrów, z szefem resortu aktywów państwowych Jackiem Sasinem na czele, zwykli z powierzzonego ich pieczy majątku czerpać nie tyżeczką ani nawet nie żołnierską chochlą, lecz potężną tyżką koparki. Firmy, którymi kierowali, mogły iść na dno. Byłe im było dobrze.

Przykładem „dobrej zmiany” jest były prezes Grupy Azoty Tomasz Hinc. Jego kariera to klasyka. W marcu 2016 r., po zwycięskich wyborach, pan Tomasz przesiadł się z fotela dyrektora oddziału Totalizatora Sportowego na fotel wiceprezesa zarządu naszego największego koncernu chemicznego. Jego apanaże imponująco wzrosły. Ze śmiesznych 26 tys. w totku do znacznych 51,5 tys. w Azotach. Skąd to wiemy? Hinc był szczecińskim radnym i musiał składać

oświadczenia majątkowe, które są jawne. W 2016 r. ów lokalny polityk z właściwą legitymacją w kieszeni zarobił 643 tys. zł. W kolejnym nie było gorzej. Dolce vita skończyło się w 2018 r., gdy premier Morawiecki powołał go na stanowisko wojewody. Na dwa lata. W grudniu 2020 r. nasz państwowiec wrócił do Azotów jako prezes grupy. Odwołano go dopiero w lutym 2024 r. Dziennikarze jednego z portali internetowych oszacowali, że Hinc zarobił w tym czasie niemal 5 mln zł, awansując do wąskiego grona „milionerów dobrej zmiany”.

A że w ostatnich latach firmie, którą kierował, szło gorzej... Cóż, kto by się tym przejmował. Wiadomo, Putin, wojna w Ukrainie itd. Nasz bohater zawsze jednak wykazywał się hojnością. Na przykład w 2022 r. odprowadził w formie składek na partyjne konto PiS 43 tys. zł. Odszedł, zostawiając

I pomyśleć, jak imponujące były plany oskarżonych. W latach 2011-2016 nasi chcieli kupić złoża fosforytów w Senegal. Rzecz jasna, nie bezpośrednio, ale z wykorzystaniem tamtejszej inżynierii finansowej. By Zakłady Chemiczne w Policach mogły kupić złoża fosforytów, w transakcji miała uczestniczyć spółka założona m.in. przez lokalnego polityka, wprawdzie bez doświadczenia w poszukiwaniu minerałów, za to z dobrymi układami.

W realizowanym scenariuszu Grupa Azoty Zakłady Chemiczne Police SA miała nabyć akcje innej senegalskiej spółki, o dumnej nazwie African Investment Group SA, która z kolei władała złożami fosforytów wraz z prawami do ich wydobycia. Spółeczka senegalskiego polityka miała im pomóc w interesach. Ma się rozumieć, nie za darmo.

Azoty, niegdyś chluba polskiej chemii, szorują po dnie.

Grupę Azoty w złym stanie. Straty za 2023 r. przekroczyły 3 mld zł, dziś nawet świąteczka w tunelu nie widać. Jego następcą Adam Leszkiewicz zapowiada porządk, lecz bez przekonania. Wie, że koncern, który niegdyś był perłą polskiej chemii, leży na łopatkach. I ciągnie się za nim kilka przykrych afer.

Skandal goni skandal

13 maja br. przed Sądem Okręgowym w Szczecinie miał się rozpocząć proces 26 osób oskarżonych o doprowadzenie do niekorzystnego rozporządzenia mieniem Grupy Azoty Zakłady Chemiczne Police SA w kwocie ponad 87 mln zł oraz wyrządzenie przez to szkody w wielkich rozmiarach, m.in. poprzez oszustwa i poświadczanie nieprawdy.

Łatwo się domyślić, jaki był finał. Nasi nabrali się na stary numer. Kiedyś oferowano frajerom kopalnie złota lub diamentów, a dziś fosforyty, złoża litu albo ropy naftowej. Fosforytów w tej części Senegalu nie było.

Tym razem sprawa trafiła na wokandę i jest szansa, że winni poniosą karę. Lecz nie był to koniec nieszczęść Grupy Azoty. W kolejce porażek czeka inwestycja, która rozmiarami przyćmiła słynny przekop Mierzei Wiślanej oraz budowę elektrowni węglowej w Ostrołęce. Budowa zakładu Polimery Police pochłonęła 7 mld zł. Projekt był flagowym przedsięwzięciem całej grupy i chlubą rządu Mateusza Morawieckiego. Miał zapewnić Polsce przewagę w segmencie tworzyw sztucznych i wzmocnić naszą niezależność surowcową.



W czerwcu ub.r. premier Morawiecki z wielką pompą i zgodnie ze starym rytuałem „klapa, rąs, buźka, goździk” dokonał uroczystego otwarcia zakładu w Policach. Wspominał coś o naszej przyszłości i mocarstwowości.

A w listopadzie, tuż po wyborach, Grupa Azoty poinformowała o konieczności spisania na straty ponad 1 mld zł, co postawiło pod znakiem zapytania dalsze istnienie Grupy Azoty Polyolefins, właściciela fabryki. Grupa Azoty dodała, że budowniczowie Polimerów, koreańska firma Hyundai Engineering, poprosili o półroczne przedłużenie prac oraz dodatkowe 39 mln euro. W tym miejscu zasadne jest pytanie, co właściwie otwierał Morawiecki. Czy aby nie kolejną „potiomkinowską wioskę”?

Krępujące informacje na temat budowy zakładu Polimery Police zbiegły się z komunikatem zarządu o zawarciu porozumienia o finansowaniu Grupy Azoty z konsorcjum 13 banków do 27 lutego 2024 r. Ma to m.in. umożliwić „wypracowanie długoterminowego planu restrukturyzacji grupy”. I pomyśleć, że w maju 2023 r. prezes Grupy Azoty Tomasz Hinc w rozmowie z dziennikarzem Polskiej Agencji Prasowej snuł plany budowy małych reaktorów atomowych na terenie dużych zakładów należących do grupy.

W sejmowym exposé premier Donald Tusk wspominał o korupcji, do jakiej mogło dojść w trakcie prac przygotowawczych związanych

z inwestycjami w małe reaktory jądrowe. A budować je chcieli wszyscy – PKN Orlen z Hitachi, Zygmunt Solorz z Koreańczykami i oczywiście Grupa Azoty. Premier się wzburzył, pokrzyczał, postraszył, po czym sprawa rozeszła się po kościach. Dlaczego jednak Donald Tusk wspominał o korupcji w kontekście wyżej wymienionych spółek? Być może ktoś z jego otoczenia przypomniał mu, jak w 2017 r. CBA zatrzymało przewodniczącego rady nadzorczej Grupy Azoty Marka G. w związku z podejrzeniem o uczestnictwo w praktykach korupcyjnych.

Puławskie Azoty

Głównymi produktami należących do Grupy Azoty Zakładów Azotowych Puławy są nawozy sztuczne – mocznik oraz saletra amonowa. Rocznie w Puławach można wyprodukować ponad 2 mln ton tych nawozów.

Atak Rosji na Ukrainę sprawił, że ceny gazu ziemnego w Europie pobiły wszelkie rekordy, co oznaczało, że ceny nawozów sztucznych także znacząco wzrosną. Gdy tak się stało, rolnicy z obawy przed przyszłymi stratami zrezygnowali z zakupów. Doprowadziło to do wstrzymania produkcji w kilku zakładach w Europie Zachodniej.

Ponieważ rolnictwo na naszym kontynencie bez nawozów sztucznych nie istnieje, w grudniu 2022 r. Komisja Europejska czasowo zgodziła się na bezcłowy wwóz mocznika i amoniaku z państw trzecich na

terytorium Unii Europejskiej. Rychło zatem nawozy produkowane w Kazachstanie i oczywiście w Rosji zaczęły podbijać europejskie rynki. Okazało się, że mocznik i saletra amonowa ze Wschodu są tańsze i wysokiej jakości. Rolnicy, w tym Polacy, zaczęli kupować u pośredników reprezentujących nowych graczy.

Zakłady w Puławach nie były w stanie wytrzymać tej konkurencji. W ubiegłym roku zatrzymano na jakiś czas produkcję. Straty szły w setki milionów złotych. Pojawił się pomysł, by upadającą firmę przejął Orlen, co byłoby dziwne, gdyż płocki gigant ma już swoją „nawozową nogę” – włocławski Anwil, także produkujący nawozy azotowe.

Co gorsza, od dawna wiadomo było, że Zakłady Azotowe Puławy przynoszą wysokie straty, nikt jednak się nie spodziewał, że aż tak duże. W komunikacie zarządu spółki z 30 kwietnia br. podano, że za cały 2023 r. puławskie Azoty „zanotowały historyczną stratę netto na poziomie 621,5 mln zł”. Niejako przy okazji dodano, że „poprzednie władze spółki nie potrafiły znaleźć efektywnej odpowiedzi na kluczowe problemy. Zabrakło przede wszystkim kompleksowych działań naprawczych i restrukturyzacyjnych”.

Teraz nadszedł na nie czas. Przyjdzie sprzedać część majątku i znaleźć inwestora, który dołoży coś do chwiejącego się interesu. Czy to się uda?

Coraz więcej osób rozumie, że puławskie Azoty oraz inne firmy działające na styku przemysłu i rolnictwa przeżywają trudne chwile. Z powodu wojny, embarga, zamkniętych granic. Producenci maszyn rolniczych ze wschodnich województw utracili, jak się wydaje trwale, rynki: białoruski, rosyjski, a w pewnym sensie również kazachski. Mówili o tym dziennikarze w marcu, w trakcie kieleckich targów Agrotech.

Nawet jeśli dziś cena nawozów sztucznych jest względnie niska, to w polskim rolnictwie od dawna brakuje stabilizacji. Przekonania, że ceny nawozów sztucznych, środków ochrony roślin, oleju napędowego, węgla i energii elektrycznej niewiele się zmienia. Dlatego czekają nas kolejne marsze i protesty. ■

Lewica bez historii, historia bez lewicy

Dlaczego mimo kolejnych zmian organizacyjnych i personalnych, a nawet pokoleniowych, nie ma miejsca na lewicę w pierwszej lidze polskiej polityki?

Paweł Sergiejczyk

Polska lewica poniosła klęskę. Nie tylko klęskę w wyborach samorządowych roku 2024 – ta jest widoczna gołym okiem. I nie powinna być dla nikogo zaskoczeniem, skoro od 20 lat lewica ponosi same porażki, w żadnych wyborach nie potrafiąc osiągnąć progu 15% głosów (ostatnio nawet 10%), i to w sytuacji, gdy dwa największe ugrupowania – PiS i PO – mają wyniki co najmniej dwa razy lepsze. Mimo kolejnych zmian organizacyjnych i personalnych, a nawet pokoleniowych, najwyraźniej nie ma miejsca na lewicę w pierwszej lidze polskiej polityki. Dlaczego?

Prawica w III RP wygrała bitwę o historię, a nawet całą wojnę, którą rozpoczęła jeszcze w latach 90. Momentem przełomowym było utworzenie IPN.

Większość starających się odpowiedzieć na to pytanie szuka wytłumaczenia w błędnej taktyce i strategii dzisiejszych ugrupowań lewicowych. To zapewne prawda, ale nie cała. Aby zrozumieć słabość dzisiejszej lewicy, trzeba się zastanowić nad przyczynami dominacji prawicy. Bo to, że w Polsce od dwóch dekad dominuje prawica, jest faktem bezspornym, choć nadal słabo uświadamianym. Polska prawica po 1989 r. została zbudowana na dwóch fundamentach: antykomunizmie i politycznym klerykalizmie. Antykomunizm oznacza oczywiście nie walkę z ideologią komunistyczną,

która już od kilku dziesięcioleci jest martwa, lecz zanegowanie państwowości polskiej z lat 1944-1989 i osiągnięć narodu polskiego w tym okresie. Klerykalizm polityczny zaś to wykorzystywanie Kościoła i wiary katolickiej do celów politycznych, a także wewnętrzne upolitycznienie samego Kościoła i ścisłe powiązanie go z państwem rządzonym przez prawicę. Warto podkreślić, że taki antykomunizm i klerykalizm nie mają nic wspólnego z normalnym, zdrowym konserwatyzmem, który we wszystkich krajach naszej cywilizacji opiera się na poszanowaniu państwa, religii i ciągłości historycznej jako fundamentów ładu społecznego. O polskiej prawicy można więc

zdominowało polskie elity i dużą część społeczeństwa?

Wojna, nie bitwa

Otóż prawica w III RP wygrała bitwę o historię. Nawet nie jedną bitwę, lecz całą wojnę, którą rozpoczęła jeszcze w latach 90. W tej wojnie momentem przełomowym było utworzenie na przełomie stuleci Instytutu Pamięci Narodowej. Powstała w ten sposób potężna instytucja, mająca monopol na dostęp do esbeckich teczek i ich interpretowanie i dysponująca gigantycznymi środkami finansowymi oraz bazą materialną, o jakich nie mogły choćby pomarzyć akademickie ośrodki zajmujące się badaniem historii. Od samego początku IPN został zdominowany przez kadrę o wyraźnie prawicowych przekonaniach i z każdym rokiem dominacja ta narastała – do tego stopnia, że już nie Armia Krajowa i nie powstanie warszawskie stały się wyznacznikiem oficjalnego patriotyzmu, lecz Narodowe Siły Zbrojne i rzekome powstanie antysowieckie z lat 1944-1963 (takie daty IPN uparczywie promuje jako okres walki „żołnierzy wyklętych”).

W IPN-owskiej narracji nie ma oczywiście miejsca na ludzi o lewicowych poglądach, również po stronie opozycji w PRL. Na przykład powstanie Komitetu Obrony Robotników całkowicie przypisano Antoniemu Macierewiczowi i Piotrowi Naimskiemu, podczas gdy rola Jacka Kuronia czy Jana Józefa Lipskiego jest dziś całkowicie przemilczana. Co dopiero mówić o działaczach PPR i PZPR

– tymi, owszem, IPN się zajmuje, ale wyłącznie jako funkcjonariuszami „narzuconego Polsce reżimu komunistycznego”. Każda zaś decyzja podjęta w strukturach władzy PRL (obojętnie jakiego szczebla) może zostać zakwalifikowana przez IPN-owską prokuraturę jako „zbrodnia komunistyczna”. Natomiast Kościół wyrasta w tej optyce na główną ofiarę reżimu, a duchowni – zarówno hierarchowie, jak i zwykły kler parafialny i zakonny – przedstawiani są niemal

pogodzili się z przykazaniem, że „im wolno mniej”, sformułowanym swego czasu przez Ewę Milewicz w „Gazecie Wyborczej”. Dlatego próby formułowania lewicowej wizji najnowszych dziejów Polski podejmowali jedynie nieliczni historycy starszego pokolenia, tacy jak prof. Antoni Czubiński z Poznania. Zasięg oddziaływania ich prac był jednak po 1989 r. bardzo ograniczony, a większość tych autorów znajdowała się już u schyłku życia

Lewica to „partia bez historii”, a jeśli już, to ze złą historią, czyli „zbrodniczą komuna”. Wszystkie inne partie mają nad nią wyższość moralną, której nie ukrywają.

na równi z „żołnierzami wyklętymi”. O losach ludzi innych wyznań bądź bezwyznaniowych w PRL niczego się nie dowiemy – tak oto historyczny klerikalizm uzupełnia historyczny antykomunizm, za nic mając prawdę historyczną.

Z punktu widzenia prawicy setki milionów złotych wydawane od ćwierćwiecza na IPN okazały się najlepszą inwestycją. IPN-owską wizję historii powtarza się bowiem bezrefleksyjnie w podręcznikach szkolnych i tysiącach innych publikacji książkowych czy prasowych, w licznych filmach, serialach oraz programach wszystkich telewizji, a także w internecie, który jest dzisiaj głównym źródłem wiedzy historycznej, szczególnie dla młodych pokoleń Polaków. Dzięki temu myślenie antykomunistyczno-klerykalne stało się normą w naszym społeczeństwie i poszczególne odłamy prawicy mogą już tylko licytować się na radykalizm: kto bardziej konsekwentnie potępia PRL i czci „żołnierzy wyklętych”, kto ma większe prawo do „dziedzictwa” Jana Pawła II, prymasa Wyszyńskiego i ks. Popiełuszki.

Nurt historii ludowej

W tej licytacji lewica oczywiście nie ma czego szukać. Ale też nigdy nie próbowała podjąć rywalizacji z prawicą na polu historii. Tak było od początku III RP, gdy ludzie rozwiązanej PZPR najwyraźniej

– w przeciwieństwie do „młodych wilków” z IPN, którzy dopiero rozpoczynali kariery naukowo-medialne.

Nic dziwnego, że w epoce dominacji IPN-owskiej wersji historii tylko nieliczni historycy mają odwagę uczciwie, *sine ira et studio*, opisywać losy lewicy i jej rolę w dziejach Polski. Wśród tych nielicznych czołowe miejsce zajmuje prof. Andrzej Friszke, który po wielu ważnych publikacjach poświęconych takim postaciom jak Adam i Lidia Ciołkoszowie czy Jacek Kuroń i Karol Modzelewski zajął się historią polskich komunistów w okresie międzywojennym.

Niknie fenomen polskiej lewicy, która w XX w. aż trzykrotnie była czynnikiem sprawczym zasadniczej przemiany ustrojowej: w 1918 r., w latach 1944-1945 i wreszcie w 1989 r.

To prawda, że w ostatnich latach modny stał się u nas nurt „historii ludowej”, zapoczątkowany ważną książką prof. Adama Leszczyńskiego. Nurt ten stanowi jednak mniej czy bardziej udaną kopię „historii ludowej” uprawianej od dawna w krajach zachodnich, których dzieje układały się inaczej niż nasze. Dlatego kolejne książki z tej dziedziny wywołują nie raz wrażenie sztuczności, skoro ich autorzy za wszelką cenę starają się utożsamić los chłopów pańszczyźnianych w Rzeczypospolitej z czarnymi niewolnikami za oceanem.

W tych naśladowczych usiłowaniach niknie gdzieś fenomen polskiej lewicy, która w XX w. aż trzykrotnie była czynnikiem sprawczym zasadniczej przemiany ustrojowej: w 1918 r., gdy miała największy udział w odrodzeniu państwa polskiego jako republiki demokratycznej, w latach 1944-1945, gdy na gruzach zniszczonej wojną i okupacją Polski zbudowała państwo w nowych granicach i na nowych zasadach społeczno-gospodarczych (państwo co prawda niesuwerenne, ale we wszystkich aspektach polskie, szczególnie po przełomie październikowym 1956 r.), i wreszcie w 1989 r., gdy dominujący po obu stronach sporu politycznego ludzie o lewicowych biografiach wspólnie doprowadzili do przywrócenia demokracji i odzyskania suwerenności państwowej.

Te trzy przełomowe momenty w najnowszej historii Polski symbolizują nazwiska najważniejszych polityków XX w.: Józefa Piłsudskiego, Władysława Gomułki i Wojciecha Jaruzelskiego. Wszyscy trzech byli ludźmi lewicy, wszyscy też mieli skomplikowane biografie, obfitujące w momenty zwycięstw, klęsk i tragedii, także w wymiarze ogólnonarodowym. I wszyscy poznali na własnej skórze, czym jest Rosja, a mimo to starali się uzyskać od niej jak najwięcej. Żaden człowiek prawicy ani Kościoła w minionym stuleciu nie

osiągnął dla Polski więcej. A jednak Gomułka i Jaruzelski nie mogą liczyć na dobrą pamięć, z Piłsudskiego zaś uczyniono jedną z ikon prawicy, kompletnie fałszując jego lewicową biografię.

Fałszowanie historii w duchu prawicowym dotyczy zresztą i wcześniejszych epok. Przecież cały długi wiek XIX – od insurekcji kościuszkowskiej po I wojnę światową – to czas, w którym konsekwentnie niepodległościowe stanowisko zajmowali tylko ludzie o przekonaniach demokratycznych i socjalistycznych, ▶

► a polska prawica (konserwatyści, później również endecy) oraz duchowieństwo szły na ugodę z zaborcami. Dziś jednak nie mówi się o postępach, wręcz rewolucyjnych przekonaniach inicjatorów i przywódców naszych powstań narodowych, za to eksponuje się przykłady religijności niektórych. Szczególnie dotyczy to powstania styczniowego, które przecież rozpoczęli „czerwoni” z bardzo lewicowym programem, lecz obecnie zwraca się uwagę głównie na pobożność Romualda Traugutta i niektórych późniejszych świętych i błogosławionych, którzy w tym powstaniu brali udział. Do złudzenia przypomina to eliminowanie lewicowych wątków z dziejów Solidarności i pokazywanie Sierpnia 1980 r. jako narodowo-katolickiego zrywu przeciw „bezbożnej komunie”.

Przeszłość kontra przyszłość

Kwintesencją prawicowej wizji dziejów była wypowiedź poślanki Marii Kurowskiej z Suwerennej Polski, która 12 grudnia ub.r. podczas debaty nad utworzeniem obecnego rządu przypomniała Donaldowi Tuskowi, że „Polska to jedyny taki kraj w świecie, który wziął się z chrztu świętego. Dzięki temu, że Mieszko I, władca Polan, przyjął chrzest, to potem inne plemiona do niego dołączały, wszystkie pozostałe, które wtedy były na terytorium Polski, i stała się wielka Polska. Fundamentem tej Polski była wiara w Boga, wiara w Jezusa Chrystusa, a podstawą tego jest miłość Boga i miłość ludzi. Dzięki temu nasza historia jest taka niezwykła. Chodzi o to, że gdy trzeba było bronić

tę Europę, w której pan sprawował swoje piękne funkcje, to... Proszę zauważyć, że gdy nawałnica turecka szła na Europę, to my ją odgoniliśmy. Jan III Sobieski obronił. Gdy bolszewicka szła na Warszawę i na Europę, też obroniliśmy Europę”.

W takim sposobie przedstawiania historii nie ma rzecz jasna miejsca na lewicę, ale też nie ma miejsca na żadną refleksję nad przemianami społecznymi, które dokonywały się w Polsce. A przecież to właśnie

Trzeba zatem postawić zasadnicze pytanie: dlaczego lewica po 1989 r. oddała prawicy historię walkowerem? Dlaczego nie podjęto żadnej próby tworzenia instytucji, która mogłaby zrównoważyć wpływy IPN? Czy kolejne generacje liderów ugrupowań lewicowych (wśród których byli i są historycy, np. prof. Tomasz Nałęcz czy dr Adrian Zandberg) uznały, że przeszłość nie jest ważna i trzeba się skupić na wizji przyszłości? Jeżeli tak, to popełniono

Józef Piłsudski, Władysław Gomułka i Wojciech Jaruzelski symbolizują trzy przełomowe momenty w najnowszej historii Polski. Ale Gomułka i Jaruzelski nie mogą liczyć na dobrą pamięć, z Piłsudskiego zaś zrobiono ikonę prawicy.

XX w. – ten wiek lewicy, który rozpoczął się rewolucją 1905 r., a zakończył wejściem Polski do Unii Europejskiej w 2004 r. – był stuleciem gigantycznej przemiany socjalnej: ze społeczeństwa w ogromnej większości chłopskiego, świeżo wyzwolonego z pańszczyzny, niepiśmiennego, o słabej identyfikacji narodowej i państwowej, staliśmy się nowoczesnym narodem, nieźle wykształconym, w większości miejskim, przemysłowym, a dzisiaj już postprzemysłowym. Ta przemiana była historycznym osiągnięciem kolejnych wersji polskiego państwa: najpierw II Rzeczypospolitej, potem Polski Ludowej, wreszcie III Rzeczypospolitej. Ale nie nastąpiłaby, gdyby nie lewicowe elity, dla których demokratyzacja i awans społeczny milionów rodaków były celem najważniejszym.

zasadniczy, historyczny właśnie błąd. Bo prawica wykorzystała politykę historyczną, by zapewnić sobie i Kościołowi miejsce „jedynie słusznej strony” w polskich dziejach i zarazem dokonać moralnej delegitymizacji strony lewicowej.

Nic dziwnego zatem, że ogromna większość polskich wyborców nie chce głosować na listy lewicy. Nie dlatego, że nie podziela jej poglądów na państwo, gospodarkę czy aborcję. Powód jest głębszy: lewica to „partia bez historii”, a jeśli już, to ze złą historią, czyli „zbrodnicza komuna”. I wszystkie inne partie mają nad nią wyższość moralną, której zresztą nie ukrywają. A skoro lewica w Polsce nie ma swojej historii, to dalsza historia Polski spokojnie może się potoczyć bez lewicy.

Paweł Siergiejczyk

PRENUMERATA POCZTOWA PRZEGLĄDU

Jeden egzemplarz w prenumeracie 7,50 zł

● **97,50 zł – III KWARTAŁ**

● **195 zł – III, IV KWARTAŁ**

Zamówienia są przyjmowane do 25 maja 2024 r. w placówkach pocztowych lub u listonoszy albo drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl





Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Przyznam się do uczucia, które od dłuższego czasu mnie nie opuszcza. Jest nim zażenowanie. Przypomnijmy: to wstyd za innych, którzy powinni się wstydić tego, co mówią lub robią, ale się nie wstydzą. Czasami tłumaczę sobie owo zażenowanie moim wiekiem. Oto typowy starszy pan, któremu nic dziś się nie podoba, bo kiedyś wszystko było lepsze. No dobrze, faktycznie uważam, że kiedyś sporo rzeczy było lepszych (np. muzyka, film czy literatura). A teraz zdradzę źródła swojego zażenowania. Przede wszystkim to jakość polskiej polityki i klasy politycznej. Twierdzę, że polityka polska od bardzo dawna jest mialką, a poziom intelektualny i etyczny klasy politycznej niski. Co do polityki, to nie ma w niej ani wizji, ani odniesienia do kluczowych kwestii filozoficznych i moralnych. Dominuje bieżąca nawałanka.

Najlepiej polski. Ale nic nie rozumiem z tego, co mówią aktorzy. Mamrotanie na ekranie. No to może internet? Wchodzę na popularne serwisy internetowe – jest trochę polityki, ale więcej plotek. Najczęściej na temat celebrytów bezwstydnie sprzedających swoją prywatność albo równie bezwstydnie upokarzających innych (jak pewna pani, co to podobno naprawia polskie restauracje, roztaczając nimb miłości do samej siebie, ewidentnie przez nią samą podzielanej).

Idiotyzm zjawiska celebryctwa jest widowym znakiem zidiocenia ludzkości. Przez wieki uznawaliśmy w kulturze zachodniej i nie tylko w niej (Chiny!), że na uznanie zapracowali sobie ci, którzy mają jakieś zasługi (artystyczne, naukowe, religijne, polityczne, ekonomiczne), dzisiaj wystarczyć widzialność. Jeszcze w XX w. młodzi ludzie chcieli

Zażenowanie

Co do klasy politycznej, mój Boże... Przed nami wybory do europarlamentu. Dziwne kandydatury krewnych i znajomych królika, niektóre ewidentnie nepotyczne (i to na lewicy), inne zadziwiająco zlokalizowane (posłanka z Torunia deklarująca jeszcze niedawno niezwykle energicznie chęć zmiany Polski w trakcie pracy w Sejmie oraz swoją miłość do miasta Kopernika, a teraz kandydująca do PE z Poznania), jeszcze inne ewidentnie niefortunne (była prezydentka miasta, pod boki której działała mafia reprivatyzacyjna) czy na koniec porzucenie posad ministerialnych po kilku miesiącach, aby wystartować po stosowne apanaże. To wszystko kpiny z wyborców, ich inteligencji i poczucia przyzwoitości. W powietrzu rozchodzi się zapach brukselskich knajpek i dobrego wina, a deklaracje, że do polityki nie idzie się dla pieniędzy, całkowicie tracą wiarygodność. Tak jak niegdyś słuszne oskarżanie PiS o stosowanie politycznej korupcji (intratne stanowiska w zamian za zmianę barw partyjnych) w sytuacji uprawiania jej dziś przez KO (sejmiki wojewódzkie). W ten sposób psuje się demokrację, a cynizm staje się nieomal otwartą ideologią całej klasy politycznej.

By odpocząć od wielkiej polityki, szukam w gazecie informacji o moim ukochanym Toruniu. Jest! Oto rządzący miastem 22 lata prezydent nie chce opuścić swojego gabinetu po przegranych wyborach. A wybrany prezydent nie widzi w tym nic dziwnego i zadowala się swoim byłym gabinetem wiceprezydenta. I jak tu nie czuć zażenowania? Może rozrywka przyniesie wytchnienie? Kabaret? Próbuje oglądać w telewizorze i znowu zażenowanie. Dowcip lata nisko, a wykonawcy najwyraźniej są przekonani, że nawiązania do własnego upojenia alkoholowego będą Polaków śmieszyć zawsze (w przerwach „numerów” reklamy, kierujące się chyba zasadą, że im głupsze, tym lepsze). Może więc film?

być naukowcami i artystami, mężami stanu i przywódcami ludzkości, dziś chcą być influencerami. Czyli nie znać się porządnie na niczym, ale sprawiać wrażenie, że się zna na wszystkim. W ten sposób kanały komunikacji internetowej, zamiast dźwigać ludzkość na wyższy poziom intelektualny i moralny, sprowadzają ją do poziomu pouczanego dziecka, które samo nie wie, jak jeść zupę.

Nie chcąc znaleźć się w tej sytuacji, sięgam po poważną prasę, a tam... sami psychoterapeuci i coache, trenerzy osób i nauczyciele uważności. Zapotrzebowanie na ich usługi to kolejny argument na rzecz zdiocennienia ludzkości. Nie twierdzę, że psychoterapia nie jest wielu ludziom od czasu do czasu potrzebna, sam od lat kształcę przyszłych psychologów. Ale tu przecież chodzi o coś innego. O komercjalizację ludzkich lęków i niezadowolenia z siebie, powodowanych głównie przez z gruntu wadliwy system społeczny, a nie przez jakieś słabości jednostki. To kolejny obszar ekspansji kapitalizmu, który masowo produkuje ofiary, aby potem równie masowo sprzedawać im lekarstwo.

Zdegustowany powyższymi obserwacjami wyjeżdżam na wieś. Kontakt z naturą to wszak najlepsze lekarstwo na nasze smutki, co wiadomo już przynajmniej od czasów Jana Jakuba Rousseau. I już, już mam odetchnąć pełną pierśią, gdy nagle widzę spoconych inwestorów chcących za wszelką cenę wybudować spa w pięknym i chronionym zakątku naszego kraju. Oto mieszkańcy wielkiego i bogatego miasta Polski, przekonani, że im wszystko wolno, bo mają furę pieniędzy. Którzy nie spoczną, aż nie zamienią całego kraju w jedną wielką maszynkę do zarabiania pieniędzy. To już udało się zrobić z naszymi miastami polskim deweloperom, ich faktycznym władcom, teraz pora na kolejny krok, polską naturę. Wszak tyle jeszcze pięknych miejsc do zniszczenia. Polscy „biznesmeni”, do dzieła! ■

Legenda Monte Cassino

Bitwa miała wyłącznie znaczenie polityczno-propagandowe, a jej celem było pokazanie światu, że polski żołnierz walczy i ginie u boku zachodnich aliantów

Paweł Siergiejczyk

Bitwa o Monte Cassino od pierwszego dnia po jej zakończeniu stała się narodową legendą Polaków. Już w momencie zdobycia klasztoru wzgórze jeden z żołnierzy 2. Korpusu Polskiego, przedwojenny poeta i aktor Feliks Konarski, napisał pieśń o „czerwonych makach na Monte Cassino”, do której muzykę stworzył Alfred Schütz – kompozytor i pianista pochodzenia żydowskiego, który wraz z Henrykiem Warsem kierował orkiestrą towarzyszącą polskim żołnierzom na szlaku od Iranu do Italii. A rok później, tuż po zakończeniu wojny, ukazała się trzutomowa książka „Bitwa o Monte Cassino” autorstwa znakomitego reportera i korespondenta wojennego Melchiora Wańkowicza. Jej pierwsze, bogato ilustrowane wydanie pojawiło się jeszcze we Włoszech, natomiast po powrocie Wańkowicza do kraju w 1956 r. książka mogła liczyć na kolejne edycje w masowych nakładach, a z czasem także na skróconą wersję, zatytułowaną „Szkice spod Monte Cassino”. Dzięki Wańkowiczowi i duetowi Konarski/Schütz bitwa stała się elementem „polityki historycznej” zarówno powojennej emigracji, jak i w Polsce Ludowej.

Z legendarnymi bitwami jest w Polsce kłopot. Ich daty i miejsca stanowią swoisty szkielet ojczystej historii, konsekwentnie utrwalany przez liczne wydawnictwa i muzea (z Muzeum Wojska Polskiego na czele), a przede wszystkim przez literaturę piękną, malarstwo, pieśń i film. Szkolna i pozaszkolna edukacja historyczna opiera się na takich „słupach milowych” jak Cedynia, Psie

Pole, Płowce, Grunwald, Chocim, Jasna Góra, Wiedeń, Racławice, Raszyn, Olszynka Grochowska – no i na kolejnych bitwach z okresu II wojny światowej. Kłopot polega na tym, że właściwie żadne z tych starć (może poza bitwą warszawską w sierpniu 1920 r.) nie zmieniło losów Polski ani nawet nie wpłynęło znacząco na poprawę lub pogorszenie sytuacji naszego państwa. Polska nie stała się potęgą dzięki jakimkolwiek zwycięstwom ani też nie upadła z powodu jakiegokolwiek klęski (kampanię wrześniową 1939 r. należy traktować jako całość, której przebieg zdeterminowały czynniki zewnętrzne – brak pomocy aliantów zachodnich i sojusz niemiecko-sowiecki – a nie takie czy inne działania polskiej armii).

Zdobycie ruin najstarszego benedyktyńskiego klasztoru w Europie było zwycięstwem. Niestety, bitwa kosztowała 2. Korpus 923 zabitych, a łącznie z zaginionymi i rannymi – 4199 ludzi.

Wiedzą o tym wszyscy profesjonalni historycy, a jednak pozostają bezradni wobec mitotwórczej roli bitew w naszej historii. Polacy bowiem kochają historię militarną, miejsca bitew i nazwiska wodzów znają lepiej niż postacie swoich królów i przywódców państwa, nie mówiąc już o rozumieniu długotrwałych procesów politycznych, społecznych czy gospodarczych, które przecież zawsze mają o wiele większy wpływ na losy państw i narodów niż nawet najbardziej krwawe starcia zbrojne.

Opuszczony klasztor

Nie inaczej było z bitwą o Monte Cassino, która dziś – po 80 latach – należy już do „żelaznego kanonu”

polskiej tradycji patriotycznej. Dzięki temu wzgórze wyrosła również legenda dowódcy 2. Korpusu. Pisał o tym wiele lat po wojnie emigracyjny publicysta Wacław A. Zbyszewski: „Po Piłsudskim generał Anders był i jest najpopularniejszym wodzem polskim w XX w. Nie będzie przesadą porównać go z księciem Józefem. Jak książę Józef, stał się Anders dla nas i dla świata symbolem wierności Polski swoim przymierzeniom, pomimo wszystkich naszych zawodów i żalów. Poza tym dla wielu – niestety, nie wszystkich naszych wygnańców i katorżników w Rosji – generał Anders był prawdziwym Mojżeszem, który ich wyprowadził z domu niewoli. Był to wreszcie wódz zwycięski. Nazwisko

jego – tak samo jak jego grób – jest na zawsze związane ze zwycięstwem na Monte Cassino. Że to zwycięstwo nie przyniosło sukcesu politycznego, to już nie Andersa wina. Zapisał on, obok naszych lotników w Wielkiej Brytanii, najpiękniejszą kartę w historii tak tragicznej dla nas wojny” (W.A. Zbyszewski, „Gawędy o ludziach i czasach przedwojennych”, Warszawa 2000, s. 54-55).

Ta charakterystyka gen. Władysława Andersa wymaga pewnych uzupełnień. To prawda, że zdobycie ruin najstarszego benedyktyńskiego klasztoru w Europie było zwycięstwem. Jednym z nielicznych, jakie przyszło świętować żołnierzom polskim podczas II wojny światowej, a z pewnością najbardziej



Czołg M4 Sherman pod dowództwem por. Edwarda Budzianowskiego. Monte Cassino, 13 maja 1944 r.

spektakularnym – dlatego tak inspirującym artystów. Niestety, też bardzo krwawym: bitwa kosztowała 2. Korpus 923 zabitych, a łącznie z zaginionymi i rannymi – 4199 ludzi (co stanowiło odpowiednio 2,1% i 9,1% stanu osobowego). Straty niemieckie były czterokrotnie mniejsze, co nie powinno dziwić, gdyż klasztor nie został zdobyty w walce, lecz oparty, gdy Niemcy opuścili go po sześciu dniach zaciętej obrony, na osobisty rozkaz naczelnego dowódcy wojsk we Włoszech, feldmarszałka Alberta Kesselringa.

Skala strat potwierdziła obawy ówczesnego naczelnego wodza, gen. Kazimierza Sosnkowskiego, który w dramatycznej rozmowie z gen. Andersem ostro skrytykował jego zgodę na brytyjską propozycję podjęcia przez Polaków czołowego uderzenia na klasztor. Zgodę taką dowódca 2. Korpusu wydał bez zasięgania opinii Sosnkowskiego, który po latach wspominał, że powiedział wówczas Andersowi, iż uważa „jego samowolny postępek za naruszenie dyscypliny wojskowej, przy tym bardzo niebezpieczne i wysoce szkodliwe na wygnaniu; powiedziałem mu dalej, że dysponowanie krwią polską w ciężkiej walce politycznej

o przyszłość i prawa naszego narodu należy do władz zwierzchnich Rzeczypospolitej; że pomijanie tych władz na rzecz obcych ośrodków dyspozycji ułatwia tym ostatnim wygrywanie ambicji jednostek dla swoich własnych celów, które przecież mogą pozostawać w sprzeczności z naszymi celami narodowymi, jak tego dowiodła konferencja w Teheranie” (cyt. za: Paweł Wieczorkiewicz, „Historia polityczna Polski 1935-1945”, Warszawa 2005, s. 360).

Gen. Sosnkowski nie zdecydował się jednak na wyciągnięcie konsekwencji dyscyplinarnych wobec gen. Andersa, a na zmianę planów było już za późno. Po bitwie zaś legenda zwycięskiego dowódcy stała się „narodową świętością”, co zresztą naczelnny wódz także przewidział, zarzucając dowódcy 2. Korpusu we wspomnianej rozmowie: „Pióropusz biały Panu się śni”. Ostatecznie to sam Sosnkowski kilka miesięcy później stracił stanowisko wskutek naciśku Anglików, a obowiązki naczelnego wodza przejął właśnie Anders. Od tej pory aż do śmierci w 1970 r. był on najważniejszą postacią polskiej emigracji – znacznie ważniejszą niż wszyscy kolejni prezydenci i premierzy „rządu londyńskiego” – ale też

symbolem nadziei dla wielu Polaków w kraju, którzy naiwnie wierzyli, że gen. Anders „wróci na białym koniu” i uwolni Polskę od komunistów.

Anders i Berling

Dowódca 2. Korpusu został pochowany wśród swoich żołnierzy 26 lat po bitwie, w jej rocznicę. Trudno się dziwić, że jeden z najpiękniejszych polskich cmentarzy wojskowych do dziś jest stałym punktem wycieczek turystów zwiedzających Włochy. Nie dziwi zarazem brak jakiegokolwiek refleksji nad sensem śmierci ponad tysiąca pochowanych tam żołnierzy. Ale czy warto było poświęcać ich życie w fatalnie przygotowanej operacji, której efektem okazało się zajęcie opuszczonych ruin? Ostatecznie i tak decydującą rolę w zmuszeniu Niemców do wycofania się z Monte Cassino miało sprawne oskrzydlenie ich linii obronnej, którego dokonał Francuski Korpus Ekspedycyjny pod dowództwem gen. Alphonse’a Juina. Ale o tym w Polsce się nie mówi, gdyż Polacy mają święcie wierzyć w to, że okazali się dzielniejsi i skuteczniejsi niż Brytyjczycy, Amerykanie i inni alianci razem wzięci. No i w to, że zwycięstwo ►

► żołnierzy gen. Andersa odegrało kluczową rolę w wyzwoleniu Rzymu dwa tygodnie później – bo wiadomo: Rzym to dla Polaków miasto szczególne.

Nie ma u nas również refleksji nad sprawą podstawową: nawet gdyby uznać Monte Cassino za bezdyskusyjny sukces polskich żołnierzy, byłby to sukces bez większego znaczenia dla losów całej wojny. Wystarczy bowiem otworzyć wydany w latach 90. w Polsce „Mały oksfordzki słownik historii świata w XX wieku” (przygotowany przez autorów z najważniejszej brytyjskiej uczelni), by się dowiedzieć, że kampania włoska z lat 1943-1945, „prowadzona w niesprzyjających warunkach terenowych i bez polotu ze strony większości dowódców alianckich, nie miała większego wpływu na przebieg II wojny światowej”.

Nawet gdyby uznać Monte Cassino za bezdyskusyjny sukces polskich żołnierzy, byłby to sukces bez większego znaczenia dla losów całej wojny.

W rzeczywistości zatem bitwa pod Monte Cassino miała wyłącznie znaczenie polityczno-propagandowe, a jej celem było pokazanie światu, że polski żołnierz walczy i ginie u boku zachodnich aliantów. Przypomnijmy, że było to w maju 1944 r., a więc siedem miesięcy po bitwie pod Lenino, w której udział Polaków (w równie wysokim stopniu okupiony krwią) miał podobny charakter, tyle że tam chodziło o pokazanie polsko-radzieckiego braterstwa broni. Trzeba to powiedzieć wprost: zarówno żołnierze gen. Andersa, jak i żołnierze gen. Berlinga ginęli nie po to, by realnie osłabić potęgę niemiecką (bo na to nie mieli szans), lecz by na ich krwi dało się zbudować legendę, która posłuży decyzjom politycznym dotyczącym miejsca Polski w powojennej Europie.

A skoro tak, to krew przelana pod Lenino odegrała rolę nieporównanie ważniejszą niż ta spod Monte Cassino. Na legendzie armii dowodzonej przez gen. Berlinga – a także na kadrach z tej armii – zbudowano bowiem Polskę Ludową w granicach ustalonych w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Polskę niesuwerenną, zależną

od Moskwy, rządzoną przez jej ludzi, ale jedyną Polskę, która mogła zaistnieć po wojnie. Natomiast legenda armii gen. Andersa służyła tęsknocie za Polską niepodległą, taką jaka była przed wojną i o jakiej marzono na emigracji. Można po ludzku zrozumieć tę tęsknotę, lecz nie sposób twierdzić, że miała ona jakkolwiek wpływ na losy milionów Polaków mieszkających między Odrą a Bugiem. A to tu – nie zaś w Londynie czy gdziekolwiek indziej – rozgrywała się walka o przyszłość naszego narodu.

Powróćmy jeszcze do mitu samego dowódcy 2. Korpusu, konsekwentnie budowanego w powojennym ćwierćwieczu przez niego samego i tyłu jego zwolenników. Miał rację cytowany wyżej Zbyszewski, że „dla wielu – niestety, nie wszystkich naszych wygnańców

kolejne pomniki, nazywa się jego imieniem ulice i szkoły, a pomniki Berlinga są niszczone, on sam zaś w IPN-owskiej narracji funkcjonuje jako zdrajca i kolaborant?”

A przecież to właśnie gen. Berling o wiele bardziej zasłużył na miano Mojżesza, bo nie tylko wywiódł tysiące Polaków „z domu niewoli”, ale i doprowadził ich do „ziemi obiecanej”, czyli do Polski w nowych granicach. Natomiast duża część tych, którzy opuścili Związek Radziecki z gen. Andersem, już nigdy do kraju nie wróciła, pozostając ze swoim wodzem na emigracji. Kto zatem bardziej Polsce się przysłużył: ten spod Monte Cassino czy może jednak ten spod Lenino?

Nie są to łatwe pytania, lecz w końcu należy zacząć je stawiać. II wojna światowa nie była bowiem dla Polaków jakąś przygodą militarną, o której można potem opowiadać ciekawe anegdoty. W latach 1939-1945 rozstrzygały się sprawy najważniejsze: czy naród polski będzie w ogóle istniał (co w przypadku zwycięstwa III Rzeszy wcale nie było oczywiste), a jeśli tak, to czy będzie miał znowu własne państwo (na co nie zanosilo się w pierwszych latach wojny). Dlatego każdą aktywność polskich polityków i dowódców, ale też zwykłych Polaków w tym czasie należy oceniać z punktu widzenia tych spraw najważniejszych. Czy krwawa ofiara pod Monte Cassino w jakikolwiek sposób pomogła sprawie polskiej? Być może w sposób pośredni – przypominając aliantom zachodnim i ich społeczeństwom, że Polacy zasługują na własne państwo, skoro tak bohatersko walczą. Nie wolno jednak zapominać, że w maju 1944 r. Armia Czerwona była już na wschodnich terenach II Rzeczypospolitej i zbliżała się do linii Curzona, czyli nowej granicy ustalonej przez Stalina z aliantami w Teheranie. Żadne zwycięstwo wojsk gen. Andersa na froncie włoskim – ani na żadnym innym w Europie czy poza nią – nie mogło tego zmienić. Powojenny kształt Polski był już wtedy przesądzony. Kwestią otwartą pozostawał wpływ Polaków na ich przyszłe państwo.

Paweł Siergiejczyk

i katorżników w Rosji – gen. Anders był prawdziwym Mojżeszem, który ich wyprowadził z domu niewoli”. Miał też pewnie rację Stanisław Cat-Mackiewicz, gdy pisał tuż po wojnie, że w armii gen. Andersa „przeważają ludzie ze wschodu Polski, a więc element najbardziej patriotyczny i najwartościowszy naszego narodu”. Tacy również najliczniej spoczywają na cmentarzu pod Monte Cassino, jak i w ogóle na całym szlaku kampanii włoskiej.

Trudne pytania

Dlaczego jednak nie chce się dzisiaj pamiętać, że drugim Mojżeszem dla tysięcy zesłańców i sybiraków okazał się gen. Zygmunt Berling, który wraz z Wandą Wasilewską – oczywiście za zgodą Stalina – otworzył im drogę powrotu do ojczyzny? Dlaczego nie chce się pamiętać, że ci, którzy ginęli pod Lenino, a potem na całym szlaku do Berlina, także byli Polakami z Kresów Wschodnich, którzy przeszli stalinowską gehennę początku lat 40.? Dlaczego Andersowi stawia się w III Rzeczypospolitej

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Zamach na premiera Roberta Ficę, poważnie zranionego przez przeciwnika politycznego, 71-letniego poetę ze słowackiej prowincji, każe zadać sobie kilka pytań, które wykraczają poza słowacką skrajnie spolaryzowaną scenę polityczną (co jest właściwie bez dyskusji – za sprawą Ficy i jego formacji politycznej).

Gdybyśmy mieli okazję opisać postać zamachowca przed zamachem, byłby to zapewne portret kogoś zupełnie innego niż chwilę i kolejne dni, tygodnie, miesiące po oddaniu kilku strzałów do urzędującego premiera republiki. Poeta, były pracownik firmy ochroniarskiej, założyciel (bez większego powodzenia i sukcesu) organizacji wspierającej działania bez przemocy, człowiek, który przeciwstawił się polityce tzw. skrajnego prawicowego populizmu à la Orbán w wykonaniu Ficy i jego koalicji. Nazwalibyśmy

broń palną. Kto i dlaczego decyduje się na zamach, kiedy ma poczucie, że do wyrażenia jego przekonań politycznych nie wystarcza karta do głosowania i konieczna jest pistoletowa kula – pozostaje do ustalenia i rozpoznania, co być może obejrzymy podczas procesu sądowego.

Fico jest obarczany bezpośrednią odpowiedzialnością za brutalizację i skrajną polaryzację słowackiej polityki. Trudno nie pamiętać, że w 2018 r. podał się do dymisji po skandalu związanym z zabójstwem dziennikarza Jána Kuciaka. Według doniesień „The Slovak Spectator” Kuciak badał możliwe przestępstwa podatkowe m.in. osób związanych z partią Smer, której przewodniczącym jest premier Robert Fico, oraz ewentualne powiązania z mafią. Ale co tam mafia słowacka i faszyzujący premier, co tam poeci strzelający w imię wolnych mediów. Najważniejsze

Czy wolno strzelać do demokracji?

go reprezentantem opozycji demokratycznej, wolnościowej, proukraińskiej – wzorcowym przedstawicielem oporu przeciwko wszystkiemu, co uosabia premier Fico. Ale już w dniu zamachu pojawiały się informacje o jego rasistowskich wypowiedziach o Romach i, co ważniejsze, o rzekomych kontaktach z paramilitarną, prorosyjską organizacją Slovenski Branci (SB).

I tu jest pies pogrzebany. Czy zamachowcem może być obrońca wolności mediów (Fico forsuje właśnie formę przejęcia i zdominowania mediów publicznych) i przeciwnik prawicowego skrajnego populisty? Czyli, mówiąc jeszcze ogólniej, czy to bardziej „nasz”, raczej „dobry” zamachowiec, czy jednak jest to zły zamachowiec, bo nie ma dobrych. Tak reaguje zresztą niemal cały establishment słowackiej polityki, apelując o zgodę narodową, pojednanie, zasypanie rowów polaryzacji. Wszak Juraj C. strzelał do demokratycznie wybranego przywódcy kraju. Czyli strzelał do demokracji? A na to nie może być zgody.

Któryś z polskich komentatorów napisał, że atak na Ficę jest atakiem na fundamenty europejskich wartości. To chyba jest punkt, co do którego warto się pospieszyć, rozbrajając czy demontując pewne nieuargumentowane mity na temat samej istoty ustroju demokratycznego. Demokracja, jak każdy inny system rządów sporych społeczności, jest systemem zorganizowanej (w bardziej lub mniej ucywilizowany sposób) przemocy. Filarem tej przemocy jest prawo i cały system odpowiedzialności za jego naruszanie. Na mniejszą skalę to przecież premiera ochrania 24 godziny na dobę specjalistyczna służba policyjna, naprzeciwko której stanął „amator”, choć z posiadaną legalnie licencją na

w tej całej historii jest jednak to, że tak szybko udało się potwierdzić wszystkowskayaśniającą hipotezę, czyli tzw. rosyjski ślad, rosyjskiego łącznika itd. Wszystko ostatnio jest tak tłumaczone i jest tylko kwestią czasu, kiedy padnie rytualny „Putin” – wszechsprawca. Pożar wietnamskiej hali na Marywilskiej w Warszawie? Ruski ślad niewykluczony, czyli potwierdzony. Spłonęło 10 autobusów miejskich w Bytomiu? Techniki wojny hybrydowej. Okrucieństwo Sił Obronnych Izraela? Emigracja rosyjskich Żydów z ich „putinowskim” okrucieństwem. O sędzim Szymdycie nie wspominając, sam Łukaszenka powiedział, że poinformował Władimira Władimirowicza o sędzim z Polski. A zorze nad Polską? Sami rozumiecie... A proces Donalda Trumpa? Na rękę komu jest? I tak kiedyś legendarne wszechwyjaśnienia dzisiaj mamy pod jedną postacią. A zupa za gorąca? A koleje się spóźniają? Nie można wykluczyć hybrydowych zakusów i ataków. Wiadomo kogo. I wiadomo, co trzeba koniecznie zrobić, oczywiście po zapłaceniu USA. Dobrze mieć wyjaśnienie wszystkiego, co się dzieje, i jak cudownie, że jest to jedno wyjaśnienie, jedno źródło, jedna przyczyna.

Panputinizm rozkwita jak tysiąc kwiatów. A spróbuj stęknąć tylko, że nie podzielasz tego przeświadczenia, że wszystkie drogi prowadzą do Moskwy... No strach się bać! Jest przyczyna? To należy zaakceptować, powielać, nie drążyć. I jest spokój. Do czasu. Ale kto go tam wie, co nam jeszcze wywinie. U nas w Warszawie to nawet teraz tramwaj na ulicy Gagarina jeździ, a nie jeździł. Komu jeszcze trzeba jakiegoś dowodu? Demokracja...

Podzieleni jak nigdy

Polaryzacja słowackiego społeczeństwa doprowadziła do zamachu na życie premiera

Łukasz Grzesiczak

U południowych sąsiadów aż kipi od politycznych emocji. Zeszłorocznym wrześnieowym wyborom parlamentarnym towarzyszyły podejrzenia o fałszerstwa oraz fake newsy generowane za pomocą sztucznej inteligencji, którymi na ostatniej prostej kampanii, tuż przed ciszą wyborczą, uderzono w Michała Šimečkę, lidera Progresywnej Słowacji i największego politycznego oponenta Roberta Ficy. Wybory prezydenckie sprzed kilku tygodni przedstawiano jako starcie Zachodu i Wschodu, liberalnego kandydata Ivana Korčoka i Petera Pellegriniego, który w oczach demokratów mógł co najwyżej przesunąć ostatecznie Słowację w strefę wpływów rosyjskich.

Kolejny zresztą raz słowackie wybory przedstawiono jako cywilizacyjne starcie, w którym decyduje się przyszłość narodu, a nie jako decyzję

zaatakowaną przez Rosję. Sama „bratysławska kawiarnia” postrzega siebie jako demokratów, jej przeciwnicy widzą w niej bardziej, że posłużę się polskim odpowiednikiem, „łże-elitę”. Druga strona to „karczma”, czyli mieszkańcy mniejszych miejscowości, częściej gorzej wykształceni, mniej progresywni, mniej majątni, nieraz społecznie wykluczeni. Tradycyjne prorosyjskie nastawienie słowackiego społeczeństwa sprawia, że to wyborcy, którzy nie chcą prowokować Rosji. Boją się też, że wsparcie Ukrainy uderzy ich po kieszeni.

Jakby tego było mało, „bratysławska kawiarnia” uważa, że Robert Fico ma na rękach krew dziennikarza śledczego Jána Kuciaka i jego narzeczonej Martiny Kušnírovej zamordowanych w 2018 r. Zdaniem sporej części tych wyborców miejsce Ficy jest w więzieniu. Obecny premier tłumaczył, że jego polityczni przeciwnicy przez niemal całą kadencję mieli pełnię władzy

witać się z czekającymi na niego ludźmi, padło (jeśli ufać aktualnym informacjom mediów) pięć strzałów. Kule trafiły go w brzuch i lewą rękę, czemu przyglądała się zaskoczona najwyraźniej ochrona premiera. Jej zachowanie było przedmiotem szerokiej krytyki w mediach. Niektórzy dziennikarze zwracali także uwagę na zmiany, które zaszyły w tej służbie po przejęciu władzy przez Ficę – miało dojść do jej upolitycznienia, a kierowanie nią powierzono osobom bez większego doświadczenia w tym zakresie.

W sferze domysłów

Cały rząd przebywał w Handlovej na posiedzeniu wyjazdowym, które wraz z ponownym objęciem fotela premiera przez Ficę wróciły do łask. Lider partii Smer wykorzystuje je do spotkań z lokalnymi działaczami partyjnymi. Jest to również sposób na budowanie poparcia wśród działaczy rządzących w regionach. Poza tym Fico o wiele lepiej czuje się wśród wyborców „karczm” na prowincji niż w zetknięciu z „bratysławską kawiarnią”. Ta bowiem, odkąd znów objął władzę,

Niektórzy współpracownicy premiera próbują zbić kapitał polityczny na ataku i o radykalizację nastrojów oskarżają partię demokratyczne.

o wyłonieniu rządu. Stawką miała być sama demokracja. To jeszcze bardziej podzieliło społeczeństwo, zmobilizowało poszczególne elektoraty. Ivan Korčok w drugiej turze dostał więcej głosów niż Zuzana Čaputová w 2019 r., kiedy wygrywała wybory prezydenckie, ale wyraźnie przegrał z Peterem Pellegrinim.

Karczma i kawiarnia

Słowacy są podzieleni jak być może nigdy. Po jednej stronie „bratysławska kawiarnia”, czyli wykształceni mieszkańcy dużych miast: Bratysławy i Koszyc – progresywni, liberalni, prounijni i chcący wspierać Ukrainę

w parlamencie i w pałacu prezydenckim, więc fakt, że nie został skazany, dowodzi jego niewinności.

Teraz do tej politycznej układanki należy dołączyć zamach na życie Ficy. Kiedy piszę te słowa, minister środowiska Tomáš Taraba ogłosił, że operacja, przeszło czterogodzinna, przeprowadzona w szpitalu w Bańskiej Bystrzycy, skończyła się sukcesem. Jego życie – jak przekazał właśnie współpracownik szefa rządu – nie jest już zagrożone.

Ale jeszcze kilka godzin temu nie było to takie oczywiste. Kiedy Robert Fico opuścił budynek domu kultury w niewielkiej miejscowości Handlová w województwie trenczyńskim i zaczął

organizuje protesty w obronie niezależności mediów publicznych czy przeciwstawia się wprowadzeniu ustawy, która wzorem Rosji będzie traktować organizacje pozarządowe wspierane pieniędzmi z zagranicy jako zagranicznych agentów.

Policjanci od razu zatrzymali osobę, która – wszystko na to wskazuje – strzelała do Ficy. Początkowo pojawiły się spekulacje, że napastnik był narodowości ukraińskiej. Ministerstwo spraw wewnętrznych zaprzeczyło. Zamachowiec to 71-latek Juraj C. z miejscowości Levíce, oddalonej o niecałą godzinę jazdy od Handlovej. Mimo głosów krytyki niektóre media szybko podały jego personalia i opublikowały



Do zamachu doszło w niewielkiej miejscowości Handlová.
Nz. zatrzymanie sprawcy.

zdjęcie pochodzące z mediów społecznościowych. Ilustrowało wiersz jego autorstwa (w tym momencie post nie jest już dostępny). Okazało się, że sprawcą jest poeta, współtwórca lokalnego klubu literackiego. Wcześniej pracował jako ochroniarz w centrum handlowym. Miał pozwolenie na broń. Dlaczego zaatakował premiera? Ta sprawa pozostaje niejasna, dziennikarze chwytają się szczegółów, które mogą pomóc zrozumieć, co zaszło, jednak na razie przeważają domysły.

Słowacka telewizja Markiza opublikowała krótkie video, z którego wynika, że napastnik przeciwstawiał się działaniom władzy: „Nie zgadzam się z polityką rządu. Likwidowane są media. Po co atak na RTVS (słowackie media publiczne – przyp. ŁG)”. Serwis Aktuality.sk rozmawiał z synem mężczyzny. Ten stwierdził, że jego ojciec nigdy otwarcie nie zapowiadał ataku lub likwidacji polityka. Wedle przekazanych przez niego informacji 71-latek nie był też leczony psychiatrycznie. Serwis Aktuality.sk zapytał, czy mężczyzna żywił nienawiść wobec szefa partii Smer. „Nie głosował na niego. To wszystko, co potrafię w tej sprawie powiedzieć”, tłumaczył syn prawdopodobnego napastnika.

To stawia w niezwykle kłopotliwej sytuacji słowacką demokratyczną opozycję, która ostro atakowała działania Roberta Ficy w sprawie próby przejęcia mediów publicznych, założenia knebla mediom i organizacjom pozarządowym czy prorosyjskiego (antyukraińskiego) kursu, który obrała Słowacja. Opozycja odwołała zaplanowany na wieczór kolejny protest w obronie mediów publicznych. Na Słowację docierają gesty solidarności z premierem Ficą, także ze stolic, gdzie jeszcze niedawno głośno mówiono o jego bojkocie. Słowaccy demokraci, w tym Zuzana Čaputová, nawołują do spokoju i solidaryzują się z zaatakowanym premierem. Jednocześnie niektórzy bliscy współpracownicy Ficy próbują zbić kapitał polityczny na ataku z 15 maja i o radykalizację nastrojów na Słowacji oskarżają partie demokratyczne.

Fake newsy

W sieci pojawiły się fake newsy na temat zamachu. Pierwsze, wbrew oficjalnej informacji opublikowanej przez słowackie MSW, mówiły, że napastnik był Ukraińcem. Popularność zyskuje nieprawdziwa informacja, że

71-latek był związany ze słowackim publicystą i liberalnym dziennikarzem Martinem Milanem Šimečką. Prywatnie to ojciec Michala Šimečki, lidera partii Progresywna Słowacja. W rzeczywistości na zdjęciu sprzed lat jest mężczyzna jedynie podobny do dziennikarza.

We wpisach sympatyków Smeru można przeczytać, że napastnik był wręcz zwolennikiem Progresywnej Słowacji, czyli największej opozycyjnej partii demokratycznej, z której wywodzi się prezydentka Zuzana Čaputová. Za miesiąc na fotelu prezydenta zastąpi ją Peter Pellegrini. W internecie bez trudu można znaleźć nagranie sprzed siedmiu lat, w którym Juraj C. zapowiadał stworzenie Ruchu Przeciw Przemocy.

Z drugiej strony media obiegrała wiadomość, że węgierski dziennikarz śledczy Szabolcs Panyi związany z serwisem VSquare poinformował, jakoby 71-latek był w przeszłości związany z prorosyjską grupą Slovenskí Branci. Dziennikarze przypominają także ksenofobiczne i antyromskie wpisy Juraja C. W tym momencie trudno wyrokować o ich prawdziwości.

l.grzesiczak@tygodnikprzeglad.pl



WIECZNY DELFIN

Emmanuel Macron bardzo chciał się stać niekwestionowanym przywódcą kontynentu, ale sam się ograniczał

Mateusz Mazzini

Kierunek rozwoju, zwłaszcza w polityce zagranicznej, wydawał się naturalny. Dwukrotne piastowanie urzędu prezydenta Francji niejako predestynowało Macrona do kierowniczej roli w całej Europie. Zawsze przecież do niej aspirowali poprzedni prezydenci, nawet jeśli tak naprawdę żadnemu to się nie udało, nawet de Gaulle'owi. A jego i Macrona nie ma co porównywać, szczególnie w kwestii ich kontynentalnych aspiracji. Ojciec założyciel V Republiki, do dzisiaj z rozrzewnieniem wspominany przez sporą część prawicowego elektoratu, miał pecha sprawować władzę w czasach postaci wybitnych, a warunki jego przywództwa też nie należały do łatwych. Rodziła się Europejska Wspólnota Gospodarcza, Europa znajdowała się w cieniu

Ameryki, w dodatku francuskie imperium kolonialne przechodziło do przeszłości w sposób brutalny, drogi, przy trudnych do przewidzenia konsekwencjach. Konkurencja do tytułu lidera Starego Kontynentu była zatem olbrzymia.

Macron w porównaniu ze słynnym poprzednikiem miał autostradę do sukcesu. Prezydenturę rozpoczął w 2017 r., czyli w okresie, gdy mógł bez ryzyka atakować NATO i proobronnościowych polityków (a pośrednio także Amerykę), bo mało kto wierzył w powrót wojny do Europy. I robił to, nazywając sojuszną strukturą „z martwym mózgiem”. Unia Europejska była już w fazie stagnacji, cierpiąc na kryzys przywództwa, a Wielka Brytania, tradycyjny rywal Paryża, właśnie ze Wspólnoty zaczynała wychodzić. Na dodatek jedyna poważna rywalka, Angela Merkel, od lat postrzegana jako głos

Europy na światowych forach dyskusyjnych, w 2021 r. sama usunęła mu się z drogi. Wydawało się więc, że Emmanuel Macron, wieczny delfin, wreszcie zostanie namaszczone. Tymczasem w siódmym roku jego prezydentury, kiedy władzę będzie sprawował jeszcze najwyżej przez trzy lata, o jednoznacznym przywództwie na Starym Kontynencie nie może być mowy. Jest aktywny, czasami aż zanadto, nieustannie wychodzi z nowymi inicjatywami, próbuje grać na Francję – najczęściej poprzez granie na siebie – ale wciąż wielu partnerów, konkurentów, nawet postronnych obserwatorów nie widzi w nim lidera. Co poszło nie tak?

Polityka ekumeniczna

Nawet podchodząc sceptycznie do modnej ostatnio psychologizacji polityków i wręcz sprowadzania

wszystkiego do ich osobowości i życiowych doświadczeń, nie da się ukryć, że największym przeciwnikiem Emmanuela Macrona był on sam. Sophie Pedder, brytyjska dziennikarka pisząca na tematy europejskie dla tygodnika „The Economist”, zauważa, że francuski prezydent zawsze cechował się niczym niezachwianą, nawet przesadzoną wiarą we własne możliwości. Uważał siebie za człowieka zdolnego robić rzeczy dla innych nieosiągalne. Cała Europa widziała przykład tej wiary, kiedy upokorzony posadzeniem po drugiej stronie sześciometrowego stołu Macron usiłował namówić na Kremlu Władimira Putina, żeby ten zaniechał agresji wobec Ukrainy. Mało kto jednak pamięta dziś, że podobną metodę stosował wobec Donalda Trumpa, gdy ten był prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Bruno Tertrais, francuski politolog związany z paryską Fundacją Badań Strategicznych, stawia nawet tezę, że obecność Trumpa w Białym Domu była Macronowi w pewien sposób na rękę, bo ten był pierwszym od dekad naprawdę izolacjonistycznym amerykańskim prezydentem. Z europejskiego punktu widzenia oznacza to mniej więcej tyle, że Trump w sprawy Starego Kontynentu się nie mieszał, bo zwyczajnie nimi gardził. Marginalizacji uległa europejska odnoga NATO, do której Macron i tak, podążając śladami de Gaulle’a, zawsze podchodził chłodno. Pole zostało oddane bez walki, Paryż mógł wreszcie wyjść z kłopotliwego, niewygodnego cienia Waszyngtonu i sam dyktować europejską strategię międzynarodową.

Początki Macrona w Pałacu Elizejskim, dzisiaj trochę zapomniane, były naznaczone niejednym takim ryzykownym, wręcz kuriozalnym zwrotem w polityce zagranicznej. Władimir Putin był przecież pierwszym gościem, który przyjechał go odwiedzić po wygranych wyborach w 2017 r. Teraz wielu wypomina to francuskiemu prezydentowi, bo ten wybór odebrano w Europie jako wskazówkę, kto dla Paryża będzie w nowej kadencji najważniejszym sojusznikiem. Lucy Williamson, paryska korespondentka BBC, pisała

wówczas, że Macron w swojej polityce zagranicznej reprezentuje podejście „ekumeniczne”, i trudno nie zgodzić się z tą tezą, patrząc na jego pierwszą kadencję.

Momentami wyglądało to tak, jakby francuski przywódca chciał rozwiązać wszystkie konflikty na świecie, najlepiej w jak najkrótszym czasie. Tureckiemu prezydentowi Recepowi Erdoğanowi oferował mediacje w sprawie Kurdów, a kilka lat później, w 2021 r., kiedy płonęły lasy Amazonii, chciał posłać do ich gaszenia francuskich żołnierzy z ich sprzętem z sąsiadującej z Brazylią Gujany Francuskiej. Reakcja na tę propozycję była jednym z najboleśniejszych policzków, jakie kiedykolwiek wymierzono Macronowi. Ówczesny prezydent Brazylii, narodowy populistą Jair Bolsonaro, odrzucił zarówno pomoc wojskową

Wydawało się, że francuski przywódca chciał rozwiązać wszystkie konflikty na świecie, najlepiej w jak najkrótszym czasie.

i logistyczną, jak i europejskie pieniądze, które francuski lider zebrał dla Amazonii, pielgrzymując naprędce po innych stolicach. Bolsonaro mówił wtedy, że skoro pożary dzieją się na terytorium Brazylii, jest to sprawa dotycząca brazylijskiej racji stanu i nikt nie będzie się w nią wtrącał, a już na pewno nie prezydent sąsiedniego terytorium. Z Pałacu Elizejskiego dochodziły wówczas informacje, że Macron mocno wzięto to do siebie, gdyż był przekonany, że ochrona Amazonii będzie łatwym zwycięstwem wizerunkowym, nawet przy niechętnym mu Bolsonaro. Tak się nie stało, a francuski prezydent musiał po raz kolejny przyjąć do wiadomości, że na arenie międzynarodowej nic nie zostanie mu podane na srebrnej tacy tylko z racji reprezentowania nieco już przebrzmiałej potęgi.

Jednocześnie przesadzona byłaby opinia, że w pierwszych latach prezydentury nic Macronowi się nie udało, zwłaszcza patrząc na ten okres z dzisiejszego punktu widzenia. Krytyka NATO miała bowiem plusy. Szukając alternatyw dla

amerykańskocentrycznego sojuszu, usiłował zmobilizować Europę do wyjścia z obronnościowego letargu i zbudowania własnych zdolności w tym zakresie. To on jako pierwszy na poważnie zaczął mówić o unijnej armii czy europejskich siłach szybkiego reagowania, czym zjednał sobie całkiem sporo sojuszników, choć pewnie nie takich, na jakich liczył. W tym zwrocie, który polegał na zaprzestaniu oglądania się na Amerykę w kwestiach militarnych, wspierali go chociażby Grecy pod przywództwem premiera Kiriakosa Mitsotakisa. Argument za tą inicjatywą zawsze był ten sam, ale trudno odmówić mu podstaw.

Cztery lata Trumpa powinny być nas czegoś nauczyć, zdawał się mówić Macron pozostałym europejskim przywódcom. Dzisiaj to hasło powtarza praktycznie cały kontynent,

zarówno środowiska polityczne, jak i analitycy, dyplomaci czy eksperci od wojskowości. Uczciwość nakazuje przypomnieć, że Emmanuel Macron, mniejsza o to z jakich pobudek, na ten deficyt w Europie już dawno zwracał uwagę.

Niejasna doktryna Macrona

Jeśli więc przeanalizować te mione siedem lat z punktu widzenia ambicji francuskiego prezydenta oraz tego, co z nich wyszło, można dość do wniosku, że Macron był swoim własnym przekleństwem. Bo nawet jeśli jakaś „doktryna Macrona” rzeczywiście istniała, trudno precyzyjnie określić, na czym polega, poza tym, że stawia w centrum głównego lokatora Pałacu Elizejskiego. Innymi słowy, do teraz nie wiadomo, co Macron w polityce zagranicznej chciał osiągnąć. Inna sprawa, że te cele zmieniały się na przestrzeni lat, i to w dość szybkim tempie. Czy Emmanuel Macron chciał dominować w Europie, czy robiąc to, stworzyć na kontynencie ▶

► zwarte supermocarstwo? Trudno powiedzieć.

Podobnie niejasne było jego podejście do samej Unii Europejskiej – raz chciał ją wzmacniać, kiedy indziej omijać. Ten drugi przykład jest akurat dla doktryny Macrona dość reprezentatywny, bo polityk ów ewidentnie wziął sobie do serca powiedzenie, że silna dyplomacja polega na graniu na wielu fortepianach jednocześnie. Dlatego w ostatnim czasie interweniował, gdy Parlament Europejski głosował nad nowym unijnym paktem migracyjnym. Jako założyciel, dziś honorowy przewodniczący partii Renaissance, największego liczbowo komponentu liberalnej frakcji Renew Europe, próbował zablokować zbyt restrykcyjną jego zdaniem, a momentami łamiącą prawa człowieka regulację. Europejska odłona portalu Politico opisywała wówczas, że w przededniu głosowania Macron dzwonił nawet do Donalda Tuska, prosząc polskiego premiera o przekonanie deputowanych Europejskiej Partii Ludowej, by ci wstrzymali się chociaż od głosu. Niewiele wskórał, ale pokazał, że unijna rzeczywistość instytucjonalna jest dla niego ważna.

Tak samo zresztą jak wszystkie inne. Kiedy w pierwszej połowie

2022 r., a więc kilka miesięcy po inwazji Rosji na Ukrainę, sprawował w imieniu Francji przewodnictwo w Radzie Unii Europejskiej, zaproponował powołanie nowej inicjatywy – Europejskiej Wspólnoty Politycznej. Jej pierwszy szczyt odbył się 6 października 2022 r. w Pradze, ustalono zasadę, że będzie organizowany raz na pół roku, naprzemiennie przez państwo unijne i kraj spoza wspólnoty. Za pierwszym razem obecne były 44 głowy krajów europejskich. I to tyle, bo nikt, chyba nawet sam Macron, nie potrafiłby przekonująco wytłumaczyć, po co ta Europejska Wspólnota Polityczna została powołana. Teoretycznie powodem była rosyjska agresja i konieczność wypracowania

wojsk francuskich z tego regionu, na wyraźną prośbę gospodarzy, albo tuż przed nim. W dodatku w tych krajach coraz mocniej rozpychają się teraz Rosjanie i Chińczycy, co dla Macrona jest policzkiem. Mimo to cały czas próbuje i ambicji ani chęci do działania nie można mu odmówić.

Kilka miesięcy temu wprowadził w osłupienie większość europejskich polityków i ekspertów, deklarując – choć w zawołany sposób – gotowość wysłania francuskich żołnierzy na Ukrainę. Nie precyzował przy tym, w jakim charakterze mieliby tam przebywać, co jedni uznają za dyplomatyczno-strategiczny majstersztyk, a drudzy za gafę, nieprze-myślany ruch. Po raz kolejny nasuwa

Macron nie do końca zdaje sobie sprawę z rozmiaru i wagi kraju, którym kieruje. Francja jest dziś potęgą średniego szczebla i tyle.

nowego modelu obronnego dla Europy, ale znowu – czy tego już czasem Macron nie próbował? Czy nie temu służyły bilateralne rozmowy z innymi stolicami, podlane sosem obfitej oferty francuskiego przemysłu zbrojeniowego? Jeśli wszystko, co związane z europejską obronnością, miałyby się dziać w ramach EWP, po co było gardłować o powoływanie unijnych sił szybkiego reagowania? Trudno znaleźć na te wszystkie pytania choćby jedną sensowną odpowiedź.

Człowiek, który przeliczywał

Wygląda więc na to, że Macron, przynajmniej na tym etapie prezydentury, zwyczajnie przeliczywał. Chyba nie do końca zdaje sobie sprawę z rozmiaru i wagi kraju, którym kieruje. Francja jest dziś potęgą średniego szczebla i tyle. Ma wprawdzie stałe miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, ale to organ właściwie bezużyteczny, sparaliżowany, bezradny wobec takich konfliktów jak agresja na Ukrainę czy napaść Izraela na Strefę Gazy. Paryż traci też, ostatnio w zastraszającym tempie, wpływy w dawnych koloniach, czego najlepszym przykładem jest fala autorytarnych przewrotów w Sahelu. Nastąpiła ona albo po wycofaniu się

się pytanie, czy te wszystkie rzeczy są Macronowi, Francji i Europie potrzebne. I do czego mają prowadzić?

Francuski prezydent wygląda w tej chwili na człowieka, który przynajmniej częściowo funkcjonuje w świecie iluzji. Dotyczą one jednak bardziej jego kraju niż jego samego, chociaż to drugie jest konsekwencją pierwszego. Macron nie może zrealizować swojego największego marzenia: bycia liderem niekwestionowanej europejskiej potęgi, bo zwyczajnie nie stoi na czele takiej struktury. Jego Francja to nie Francja de Gaulle'a czy nawet Mitterranda, siłą rzeczy zatem jego realna pozycja wyjściowa była znacznie słabsza, niż mogło się wydawać.

Świat przywykł do tego, że ktokolwiek wprowadza się do Pałacu Elizejskiego, natychmiast zmienia układ sił na kontynentalnej, a może nawet światowej szachownicy. Nie do końca jest to dzisiaj prawdą, a przynajmniej francuska perspektywa jest w tym zakresie zaburzona. Używając więc języka typowego dla władzy nad Sekwaną, Emmanuel Macron nie jest delfinem. Nie obejmie tronu, bo tak naprawdę nie stoi do niego w kolejce. Przede wszystkim dlatego, że ten tron już nie istnieje.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Schabowy i ziemniaki

Kilku ministrów z obecnego rządu ma jechać do Brukseli, w tym Bartłomiej Sienkiewicz. Przychyłam się raczej do opinii tych, którzy pisali i mówili, że to niezręczny ruch Tuska. Wybieraliśmy tych ludzi do pracy w Polsce, nie poza nią. Argument, że są rozpoznawalni, więc mogą być lokomotywami list wyborczych do europarlamentu, jest przekonujący, ale mało. Szczególnie żał mi Sienkiewicza. Byłem wiele lat temu tym, który odkrył dla mediów jego talent krasomówczy, błyszczącą inteligencję, zapraszałem go do „Pegaza”, którego wtedy prowadziłem. Jako minister kultury rozpoczął czyszczenie stajni Augiasza, powinien teraz tę tytaniczną pracę dokończyć. Rozumiem, że to mało estetyczne zajęcie.

Tusk powołał na jego miejsce Hannę Wróblewską, to dobra nominacja. Szefowa Zachęty, usunięta przez Głińskiego, sprawna menedżerka sztuki. A może tak powinno być – politycy byli walcem drogowym, a teraz czas dla kulturalnych fachowców. Podobnie jest z innymi nominacjami, z wyjątkiem Siemoniaka, który zawsze wydawał mi się nieco mdły, ale to może tylko moje odczucie.

Idąc na przystanek autobusowy, spotykam wracających z manifestacji niby-rolników. Dzierżą zwinięte flagi. W dali głos z megafonów. Demonstracja antyunijna. To twardy elektorat PiS. Mieli być rolnicy, ale ich mało, więcej miejskich zwolenników PiS, też tych z Solidarności. Jakże to smutne, że Solidarność zesłała na psy, przepraszam psy. Twardy elektorat i twarde twarze prostych i ubogich ludzi. To jest lud. Prawdziwi Polacy. Ludzie, którzy mają poczucie krzywdy. Całe PiS jest zrobione z wielu krzywd, z krzywdy narodowej i krzywdy prywatnej, świat nas kiedyś skrzywdził, teraz krzywdzi Unia, krzywdzi Tusk, nawet za prąd trzeba będzie zaraz więcej płacić.

Niesiono powieszoną na szubienicy kukłę Tuska i jego portrety z doklejonymi wąsami, by wyglądał jak Hitler. Prezes na czele pochodu gada coraz większe głupstwa. Cały jego wysiłek idzie w zasilenie Wielkiej Krzywdy nowymi krzywdami, by krzywdy się krzywiły. I jak mantra powtarzane słowa: utracimy niepodległość na rzecz Unii. Oni chyba rzeczywiście nie wyciągnęli żadnych wniosków z przegranych wyborów. Swoją katastroficzną wizję i wyciąganiem Polski z Unii nie kuszą nowych wyborców. Zostanie im tylko lud, a ludu za mało i lud topnieje, bo wymiera. I jakby nie widzieli takiej alternatywy: albo oddamy trochę swojej suwerenności Unii, czyli Zachodowi, by być jego częścią, o czym marzyły

pokolenia Polaków, albo stracimy całą suwerenność na rzecz Rosji.

Pisząc przed chwilą o ludzie, strzegłem się pogardy, ale ona i tak wystaje z moich słów. Dzielę z polską inteligencją niechęć do polskiego chama, pogłos relacji chłop-szlachcic. Cham cały jest w bliznach i nie można nam, inteligencji, darować odwiecznych krzywd. Wie o tym Kaczyński, inteligent zanurzony jednak w słoiku z żółcią, i to wykorzystuje, walcząc z Polską liberalną, elitarną, czyli z tym, co w Polsce może neurotyczne, aroganckie, ale najlepsze. Czym byłaby Polska kiedyś i dzisiaj bez tej swojej ułomnej, wytrzebionej przez wojny i emigrację inteligencji? Kartoflem i schabowym. Jedno z haseł na proteście twardego elektoratu PiS: „Niech Bruksela żre robaki, my wolimy schabowego i ziemniaki”.

Spotkanie w pierwszą rocznicę śmierci poety Maćka Cisy, w słynnej sali Domu Literatury przy placu Zamkowym. Ta sala pamięta stalinowskie samokrytyki, Tuwima,

**Całe PiS jest zrobione z wielu krzywd,
z krzywdy narodowej i krzywdy prywatnej,
świat nas kiedyś skrzywdził, teraz krzywdzi Unia.**

który płakał z mównicy po śmierci Stalina. Ojciec dostał wtedy histerycznego ataku śmiechu. Matka wyprowadziła go z sali, on dłońmi gasił śmiech. Wybiegła za nimi słynna Jasia Broniewska, gorliwa stalinówka. – Czemu wychodzicie? – zapytała groźnie. – Mąż tak się wzruszył, że musieliśmy wyjść – powiedziała matka. Byłem w tej sali w różnych epokach mojego życia, pamiętam, jak siedzę obok Miłosza i piszę mu na kartce: „Czy zgodzi się pan wystąpić w moim »Pegazie« poświęconym Andrzejowi Bobkowskiemu?”. Odpisuje mi – mam tę kartkę – „Nie. Nie rozumiem tego człowieka”.

Minęło tyle lat, odeszły ciężkie od umarłych, a ja do-człapałem do tej sali dzisiaj, nadgryziony przez czas. Znamomi są w maskach, jakimi ten złośliwie nas obdarza. Jedni są do poznania, inni nie do poznania. Maciek, ciekawy awangardowy poeta, ekscentryk, osobiwy człowiek, niedoceniony jako pisarz. By zaświecić choćby przez chwilę w sztuce, trzeba mieć nie tylko talent, ale też szczęście. Idę potem na słynną nową pieszą kładkę przez Wisłę. Zachód słońca. Niebywały widok na wieżowce Warszawy i na Stare Miasto.



Stawka większa niż aborcja

Amerykanie walczą z duchami przeszłości
o prawo do przyszłości

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Temat aborcji zdominował tegoroczną kampanię wyborczą, ale nie chodzi wyłącznie o prawo do wyboru i zdrowie kobiet. To bitwa między dwiema wizjami Ameryki: tej w gorsecie przeszłości i tej równającej do współczesności, którą coraz trudniej gonić.

Arizona po raz pierwszy

Jesień jest chłodna i deszczowa, więc wizja obrad w chacie z bali, bez szyb w oknach i bez podłóg, w nikim nie wzbudza entuzjazmu. Gubernator nowo utworzonego Terytorium Arizony, John Goodwin, jest jednak nieustępliwy, nie chce dłużej czekać

i wyznacza rozpoczęcie pierwszej sesji zgromadzenia legislacyjnego na 26 września 1864 r. Jako miejsce wskazuje wioskę Prescott, gdzie pierwsi biali osadnicy, poszukiwawcy złota, w większości wciąż mieszkają w namiotach.

Terytorium utworzone przez Waszyngton rok wcześniej jest ogromne, ale słabo zaludnione. Obszar zbliżony wielkością do dzisiejszej Polski zamieszkuje ok. 12 tys. osób, w większości rdzenna ludność i Meksykanie nieposługujący się angielskim. Białych jest tu ok. 600, prawie sami mężczyźni skupieni wokół kopalni złota. 27-osobową delegaturę zebrałą w Prescott tworzą niemal wyłącznie biali, do tego bogaci mężczyźni. Tylko trzech ma korzenie meksykańskie. Ponieważ struktury organizacyjne terytorium jeszcze nie istnieją, na

stanowiska powołali ich biali sędziowie z trzech okręgów sądowych istniejących tu już wcześniej, gdy ziemie były jeszcze częścią Terytorium Nowego Meksyku.

Obrady, choć z przerwą na ewakuację do włości gubernatora, bo nieoczekiwanie spada pierwszy śnieg, trwają prawie półtora miesiąca. Wieńczy je przyjęcie 400-stronicowego kodeksu praw, nazywanego od imienia twórcy kodeksem Howella. Prawo wyborcze przyznane zostaje tylko białym mężczyznom, ale w kodeksie znajdują się również zapisy o legalności prostytucji, całkowitym zakazie aborcji, a także odebraniu ludności niebiałej prawa do zeznawania przeciwko osobie białej. Panowie nie widzą w postanowieniach żadnej sprzeczności. Mężczyźni potrzebują rozrywki, wiadomo, a że

Los Angeles, 2022 r., protest w związku ze sprawą Roe kontra Wade.

białych kobiet brak, to normalne, że będą jej szukać wśród tubylek. Trzeba ich jednak zabezpieczyć przed odpowiedzialnością.

Z zakazem aborcji sprawa ma się nieco inaczej. To pokłosie ogólnonarodowej kampanii, która rozlewa się po kraju od kilkunastu lat. Uruchoмили ją lekarze, zawód dostępny tylko mężczyznom, którzy w rosnących rzeszach akuserek dostrzegali rywalki odbierające im zarobek. Postanawiają więc wyeliminować je z gry, ale tak, by nie odfili się to na pacjentkach. Lobbują za ustawowym zakazem aborcji, ale karaniem tylko tych, którzy ją przeprowadzają. By zaś uwierzytelnić w oczach narodu sens zakazu, promują teorię „wielkiej wymiany”. Białe amerykańskie protestantki muszą dotrzymać kroku rodzącym na potęgę katolicyzmu z Irlandii, które w tym czasie masowo osiedlają się w Ameryce. W przeciwnym razie kraj czeka cywilizacyjna ruina.

Arizona po raz drugi

160 lat później konstytucyjne prawo głosu mają wszyscy mieszkańcy Arizony bez względu na płeć, kolor skóry i pochodzenie, a i skład osobowy organów władzy wygląda lepiej. W stanowej legislaturze kobiety zajmują 49% foteli, w siedmioosobowym Sądzie Najwyższym zasiada ich dwie.

9 kwietnia 2024 r. atmosfera jest napięta, bo tego dnia Sąd Najwyższy ma wydać orzeczenie w sprawie nowych przepisów antyaborcyjnych. Z tym że one wcale nie są nowe. Chodzi o zakaz przyjęty onegdaj w Prescott, gdy Arizona nie była nawet stanem, a kobiety i kolorowi zostali wykluczeni z życia publicznego. Prawo ma szansę znów obowiązować, bo odkąd w 2022 r. Sąd Najwyższy w Waszyngtonie obalił werdykt w sprawie Roe versus Wade (na jego mocy w 1973 r. prawo do aborcji zostało objęte ochroną federalną), decyzje w kwestii legalności aborcji znów należą do stanów.

Konserwatywny prokurator generalny stanu Mark Brnovich nie tracił w 2022 r. ani chwili. Natychmiast zwrócił się do sądu o przywrócenie zakazu. Wielkimi krokami zbliżały się przecież wybory uzupełniające, a on ubiegał się o mandat senatora w Waszyngtonie. Ruch Brnovicha został równie szybko zablokowany i ostatecznie sprawa zawędrowała do najwyższej instancji w stanie, ale ta potrzebowała aż dwóch lat, by ją rozpatrzyć.

Niestety, ponieważ znów mamy rok wyborów, a dwójka umiarkowanych sędziów ubiega się o reelekcję (w stanowych SN stanowiska nie są dożywotnie), dołączyli oni do frakcji konserwatywnej i stosunkiem głosów cztery do dwóch wnioskuje o reaktywację zakazu. Arizona staje się tym samym 21. stanem, gdzie w ostatnich dwóch

oferującym aborcję, np. z Miami na Florydzie do Wilmington w Karolinie Północnej, w Ameryce, w przeciwieństwie do Europy, nikt jej niczego nie zrefunduje. Przy obowiązujących w USA cenach za usługi medyczne koszt aborcji staje się często barierą nie do pokonania.

I wreszcie po trzecie – przykład z mojego podwórka, ze stanu Kolorado, gdzie aborcja jest legalna. Pacjentki spoza stanu, głównie z Teksasu, coraz częściej odchodzą z kwitkiem, bo obłożone kliniki nie mają możliwości przyjęcia wszystkich. „W 2019 r. mieliśmy 40 kobiet spoza stanu. W 2023 r. ponad 2,8 tys. Prosimy, żeby szukały pomocy w Las Vegas, bo my nie mamy dla nich terminów”, wyjaśnia Adrienne Mansanares, prezeska lokalnego oddziału sieci klinik Planned Parenthood of the Rocky Mountains.

Temat aborcji zdominował tegoroczną kampanię wyborczą, ale nie chodzi wyłącznie o prawo do wyboru i zdrowie kobiet.

latach wprowadzono zakaz aborcji lub jej ograniczenie. W trzech: na Florydzie, w Georgii oraz w Karolinie Południowej, zakaz jest totalny – obowiązuje od chwili poczęcia. A jednak Arizona wysuwa się na prowadzenie. Ustawa z 1864 r. zakazuje bowiem aborcji nawet w przypadku gwałtu i kazirodztwa.

Krajobraz po szoku

Rzesze Amerykanek doświadczają tego samego, co do niedawna przechodziły Polki. Zastraszeni lekarze wolą nie robić nic, niż narażać się na karę ze strony zmotywowanego politycznie sędziego, który uzna, że nie było przesłanek do zabiegu. „Policja poronieniowa” w postaci donosicieli. Wreszcie ograniczenie dostępu do badań prenatalnych i przymus rodzenia dzieci z ciężkimi wadami.

Ale mamy i zasadnicze różnice. Po pierwsze, zakazem aborcji objęta jest o wiele większa liczba osób – 56 mln dziewcząt i kobiet, w wieku 15-55 lat. Po drugie, nawet jeśli zdeterminowana Amerykanka pokona odległość do najbliższej kliniki aborcyjnej w stanie

Najnowszy rozdział w wojnie o aborcję to próby wycofania ze sprzedaży leku Mifepriston, popularnie nazywanego „pigułką dzień po”. W chwili gdy powstaje ten tekst, wciąż jest on legalny i dostępny, ale nie wiadomo do kiedy. O jego losie zadecyduje pod koniec czerwca Sąd Najwyższy. Spodziewana jest przy tej okazji także decyzja w sprawie aborcji na pogotowiu w nagłym przypadku zagrażającym życiu kobiety, w tym po zażyciu mifepristonu.

Odwwołanie decyzji w sprawie Roe v. Wade wprawiło Amerykanów w szok, tym większy, że niezmiennie od lat 63-65% społeczeństwa opowiada się za prawem do aborcji. Wyniki wyborów midterms z 2022 r., kiedy to demokratów nie zalała spodziewana czerwona fala, a republikanom z trudem udało się wywalczyć przewagę w Izbie Reprezentantów i stracili wiele foteli lokalnych w całym kraju, nie pozostawiły jednak wątpliwości. Aborcja staje się najważniejszą sprawą wyborczą, a walka toczy się już nie tylko o to, by Ameryka nie pozwoliła sobie odebrać tego, co osiągnęła, lecz by nie ▶

► wypadła z ligi państw określanych mianem wysokorozwiniętych.

Obawy są uzasadnione i wycho-
dzą od samych naukowców. Natio-
nal Academy of Sciences zaalarmo-
wała, że erozja postępu w różnych
sferach życia przekłada się na ros-
nącą śmiertelność i pogarszający się
stan zdrowia Amerykanów. „Od lat
30. do 50. w USA obserwowaliśmy
niższą, a w latach 60.-70. taką sa-
mą śmiertelność jak w innych kra-
jach rozwiniętych. Od początku lat
80. zaczął się jednak jej stopniowy
wzrost, by w 2019 r. osiągnąć liczbę
622 534 tzw. brakujących Ameryka-
nów. (...) Stoi za tym stagnacja płacy
minimalnej i erozja praw pracowni-
czych, które przyczyniły się do eska-
lacji nierówności ekonomicznych.
Kurczący się parasol socjalny i brak
powszechnego dostępu do opieki
medycznej sprawiły z kolei, że stan
zdrowia obywateli coraz bardziej
uzależniony jest od zasobności ich
portfela. Za rosnącą śmiertelność,
zwłaszcza wśród osób uboższych
i słabiej wykształconych, odpowiada
też słaba regulacja leków opioido-
wych i rynku broni, brak ochrony śro-
dowiska i bezpieczeństwa w miejscu
pracy, a także wszechobecność nie-
zdrowej żywności”, możemy przeczy-
tać w raporcie „Brakujący Ameryka-
nie” (PNAS Nexus, 6 czerwca 2023 r.).

Bez wolnych sądów – triumf Trumpa

Nie da się zrozumieć, dlaczego
Amerykanie dali sobie odebrać fe-
deralne prawo do aborcji i dlaczego
konserwatywna krucjata przeciwko
podstawowym w dzisiejszych cza-
sach prawom ludzkim i pracowni-
czym tylko przybiera na sile, bez
zrozumienia największego i wciąż
„niedocenianego” osiągnięcia kon-
serwatystów za czasów prezyden-
tury Trumpa. Jest nim upolitycz-
nienie i uprzącowienie systemu
sądowiczego, możliwe dzięki temu,
że w ciągu zaledwie czterech lat
Trump nominował rekordową liczbę
aż 220 sędziów na stanowiska
federalne. Akcja była ukartowana.
Ówczesny przewodniczący Senatu,
republikanin Mitch McConnell,
już od 2014 r. systemowo blokował

wszystkie nominacje sędziowskie Ba-
racka Obamy, by z pompą sprezen-
tować Trumpowi aż 108 wakatów,
gotowych do wypełnienia konser-
watywnymi ideologami, najchętniej
z legitymacją członkowską Związku
Federalistów, skrajnie prawicowego
i religijnego ugrupowania prawnego.

Jak wyjaśnia Mark Zubrensky,
zastępca prokuratora generalnego
za prezydentury Baracka Obamy,
„Trump de facto zlecił Związkowi
Federalistów wybór sędziów
w swoim imieniu. Dostawcą kadry
sądowiczej w Ameryce stała się
organizacja, która otwarcie stawia
sobie za cel obalenie prawnych

Zakazem aborcji objęte jest 56 mln dziewcząt i kobiet, w wieku 15-55 lat.

precedensów i ataki na administra-
cję państwową, by w ten sposób
utrudnić rządowi działanie w obro-
nie interesów obywateli”.

Parcie na realizację planu było tak
silne, że tradycyjni obrońcy „prawa
i porządku” bez mrugnienia okiem
przepychali kandydatów, których
kompetencje czy życiorys pozo-
stawiały wiele do życzenia. Nic nie
obrazuje tego proceduru lepiej niż
przypadek Neila Gorsucha, jedne-
go z trójki sędziów zainstalowanych
przez Trumpa w Sądzie Najwyższym.
Gorsuch to przestępca seksualny, co
wyszło na jaw podczas jego prze-
słuchań na Kapitolu. Kontrolowany
w tym czasie przez republikanów
Senat poparł jednak jego kandyda-
turę, a gdy w 2018 i 2020 r. dołączyli
do niego Brett Kavanaugh oraz Amy
Barrett, także „federaliści”, prawi-
ca mogła otworzyć szampana. Przy
składzie sześciu konserwatystów
kontra trójka liberałów trzecia władza
w Ameryce stała się najbardziej kon-
serwatywna od niemal 100 lat.

Pyrrusowe zwycięstwo?

Jeżeli przypadek Arizony może
być lekcją, jest nadzieja, że siłowe
ściskanie Ameryki konserwatywnym
gorsetem okaże się dla prawicy dzia-
łaniem autodestruktywnym. Oby-
watelskie protesty po werdykcie SN

w sprawie archaicznego prawa an-
tyaborcyjnego napędziły arizońskim
politykom takiego strachu, że obie
izby, choć kontrolowane przez repu-
blikanów, już 1 maja, a więc w eks-
presowym tempie zaledwie trzech
tygodni, zagłosowały za odwołaniem
prawa. Ochoczo dołączyła do nich
nawet największa stanowa misjonar-
ka MAGA Kari Lake, która przegrała
w 2022 r. fotel gubernatorki Arizony,
w tym roku zaś walczy o fotel sena-
torki w Waszyngtonie. Sam Trump,
choć do dziś lubi przypomnieć swo-
jej bazie, że to on zdemontował Roe
v. Wade, znacząco zdystansował się
w ostatnim czasie od tematu aborcji.

„Popelnia ogromny błąd”, skry-
tykował we wrześniu 2023 r. guber-
nator Florydy Rona DeSantis, gdy
ten podpisał ustawę o zakazie aborcji
po szóstym tygodniu ciąży. „Sąd Naj-
wyższy posunął się za daleko w swo-
im orzeczeniu o aborcji, popierając
niewłaściwe prawo z 1864 r.”, zganił
z kolei sędziów z Arizony w komen-
tarzu na swojej platformie społecz-
nościowej Truth Social.

Wszędzie zaś tam, gdzie w ostat-
nich dwóch latach prawo do abor-
cji pojawiło się jako konstytucyjna
inicjatywa ustawodawcza (pięć sta-
nów), Amerykanie zagłosowali za
jego wpisaniem do swojej stanowej
konstytucji. W dwóch stanach, Kan-
sas i Kentucky, gdzie głosowanie
dotyczyło jego definitywnego wy-
kluczenia z konstytucji, inicjatywa
nie przeszła.

Jak donosi think tank Family
Kaiser Foundation zajmujący się ob-
szarami polityki dotyczącymi zdrowia
i opieki medycznej, w listopadowych
wyborach podobne głosowania mo-
gą się odbyć w kolejnych 16 sta-
nach. Co ciekawe, tam, gdzie mamy
do czynienia z inicjatywą obywatel-
ską – jej umieszczenie na kartach
wyborczych zależy od uprzedniego
zebrania wymaganej liczby podpi-
sów pod wnioskiem – chodzi o ob-
jęcie aborcji ochroną konstytucyjną.
W czterech stanach, gdzie wniosek

jest inicjatywą legislacyjną (projekty ustaw mogą wychodzić wyłącznie od polityków), chodzi o konstytucyjny zakaz aborcji. Nikogo chyba nie zdziwi, że w tym drugim przypadku mówimy o stanach kontrolowanych przez republikanów.

Zła wiadomość dla amerykańskich wyborców jest taka, że tylko połowa stanów praktykuje demokrację bezpośrednią – czy to w formie referendum, czy prawa do wspomnianych inicjatyw ustawodawczych. Jeszcze gorsza, że zdominowane przez konserwatystów sądy najprawdopodobniej zrobią wszystko, by w razie odrzucenia przez wyborców konstytucyjnego zakazu aborcji podtrzymać te zakazy, które już obowiązują. I które stanowi politycy mogą modyfikować w obliczu braku konstytucyjnego określenia statusu aborcji. Najgorsza wreszcie, że ci sami konserwatywni sędziowie przewodzą jednocześnie rosnącym w siłę konserwatywnym krucjatom przeciwko demokracji bezpośredniej. „W 2017 r. śledziliśmy los tylko 33 wniosków atakujących proces obywatelskiego

wnioskowania ustawodawczego. W 2023 r. było ich 139. W 2024 r. jest ich już 108, a przecież minęło dopiero kilka pierwszych miesięcy roku”, donosili niedawno aktywiści z organizacji The Ballot Initiative Strategy Center w raporcie „Hot Sheet. What You Need To Know About the Ballot Measure Landscape Center Right Now” (10 maja 2024 r.).

progresywni niż pięć lat temu i o całe 40% bardziej progresywni niż przed dekadą. Williama Freya, uznanego eksperta z Instytutu Brookingsa w Waszyngtonie, który demograficzny i społeczny krajobraz Ameryki bada od ponad pół wieku, wyniki sondażu nie zaskakują. „Młodzi dorastają dziś w Ameryce XXI w., która jest bardziej zróżnicowana, inkluzywna

Odebranie federalnego prawa do aborcji stało się możliwe z powodu upolitycznienia systemu sądowniczego.

Ale jest i światełko w tunelu. W republice konstytucyjnej, jaką wciąż jest Ameryka, rządzą politycy, jednak o ich mandatach decydują wyborcy. Gronem zaś, które najbardziej sprzeciwia się powrotom do przeszłości, są młodzi. Jeśli uwzględnić ich opinie na temat praw człowieka, związków partnerskich, nierówności ekonomicznych, kryzysu klimatycznego oraz dostępu do broń, okazuje się, że ci z przedziału wiekowego 18-29 lat są nawet bardziej

i dużo silniej zespólna z resztą świata niż Ameryka z lat 50. i 60., za którą tęskni starzejąca się baza wyborcza GOP. Przewiduję, że za jakiś czas mogą Partii Republikańskiej w ogóle zatrasnąć drzwi przed nosem”.

Nadchodzące wybory na pewno dadzą nam przedsmak tego, gdzie te drzwi już zaczęły się zamykać i z jakimi przeszkodami trzeba będzie się uporać, by na dobre wyrwać Amerykę duchom przeszłości.

Eliza Sarnacka-Mahoney



DKMS
POKONAJMY NOWOTWORY KRWI

dkms.pl

Zostań dawcą szpiku!

» Otwórz usta, pobierz wymaz, to naprawdę proste!

Zamów pakiet rejestracyjny wchodząc na **dkms.pl** lub **zeskanuj kod QR**.



Dzikie pola polskiego filmu

Filmowcy wiedzą, jakie scenariusze przejdą,
i próbują trafić w oczekiwania władzy,
jednocześnie stosując autocenzurę i idąc na ustępstwa

Rozmawia Marek Książek

**Niedawno zamieściłeś na Facebooku wpis, że właśnie postawiłeś ostatnią kropkę w scenariuszu o losach Andrzeja Szalawskiego, wspa-
niałego aktora, jednocześnie nieszczęśliwego człowieka, ale i tak nie nakręcisz tego filmu. Internauci, w tym Feliks Falk, nie mogli zrozumieć, o co właściwie chodzi.**

– Zaczniemy od tego, kiedy o tym rozmawiamy – w momencie, gdy nie mamy ministra kultury, bo właśnie podał się do dymisji, nie mamy dyrektora Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, bo został wyrzucony, a nie wiadomo, kto będzie następny. Nawet Stowarzyszenie Filmowców Polskich, które wydawało się ostoją spokoju i zdrowego rozsądku, jest na skraju rozpadu, bo hordy puczystów postanowiły wyeliminować Jacka Bromskiego, który SFP postawił na nogi. W ogóle jesteśmy na „dzikich polach”, jeśli chodzi o kulturę. **Przywołujesz Sienkiewicza?**

– Raczej prawnuka autora Trylogii. Minister Bartłomiej Sienkiewicz, na którego bardzo liczyłem, nie okazał się ani Skrzetuskim, ani Kmicicem, ani Wołodyjowskim, a raczej Ketlingiem, żołnierzem zaciężnym... **...który chce wyjechać do Brukseli?**

– Po wykonaniu zadania, czyli zajęciu Zbaraża na placu Powstańców Warszawy, postanowił udać się na inne fronty. Dlatego tak napisałem na FB,



JANUSZ KIJOWSKI

– reżyser filmowy

Janusz Józef Kijowski – (ur. w 1948 r. w Szczecinie) były dyrektor Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie, reżyser sztuk teatralnych. Absolwent Wydziału Historycznego UW, twórca nurtu kina moralnego niepokoju, od 1983 r. wykładał w Institut National Supérieur des Arts du Spectacle w Brukseli, a od 1998 r. także w łódzkiej Filmówce. W 2004 r. uzyskał tytuł doktora habilitowanego nauki o sztukach pięknych. Wiceprezes Europejskiej Federacji Reżyserów Filmowych i Stowarzyszenia Filmowców Polskich, wieloletni dyrektor programowy, a obecnie szef komitetu organizacyjnego Koszalińskiego Festiwalu Debiutów Filmowych Młodzi i Film. Zrealizował takie filmy jak „Indeks”, „Kung-fu”, „Głosy”, „Maskarada”, „Stan strachu”, „Tragarz puchu” i „Kameleon”.

trochę prześmiewczo, że nie zrobię tego filmu, tak jak poprzednich, a mam już pokaźny zbiór swoich scenariuszy, które mógłbym wydać w formie opasłego tomu jako przykład filmów, których polscy kinomani nie zobaczą. Chociaż na każdym z tych scenariuszy bardzo mi zależy, ponieważ włożyłem w nie swoją duszę i wszystkie umiejętności.

Możesz przypomnieć, jakie podjąłeś w nich tematy?

– Nie chcę, żeby to wyglądało, że się skarżę, ale to ty jako dziennikarz PRZEGLĄDU poprosiłeś mnie o rozmowę.

Zgadza się, dlatego pytam o to bez żadnych podtekstów.

– Zaczęło się od takiego scenariusza, nad którym pracowałem ze 20 lat i który niebanalnie zwie się „Marzec 1968”...

Wspominałeś o nim niemal 13 lat temu w naszej rozmowie „Ciągłe kręcę ten sam film” (PRZEGLĄD, 11.09.2011). On już wtedy leżał w szufladzie.

– To jest scenariusz o moim pokoleniu, pokoleniu wariatów, którym wydawało się, że można dokonać rzeczy niemożliwych, tak jak buntownicy paryscy pisali w tamtejszym metrze. Nam też się wydawało, że możemy jako studenci w 1968 r. obalić ustrój i wprowadzić nowy ład. Jako student II roku historii sztuki Uniwersytetu Warszawskiego brałem udział „w czynnym przyjmowaniu milicyjnych pał na swoje plecy”. Powiedziałbym, że były to pały formacyjne, czyli te, które ukształtowały naszą formację. Wiedziałem już, po

której stronie jest zło, a po której dobro, co mi pozwoliło dokonywać wyborów przez resztę życia.

I nie zrealizowałeś tego scenariusza w nowej rzeczywistości?

– Czekałem na ten moment, pisałem scenariusz, cyzelowałem, a kiedy przyszła ta wolna Polska, pomyślałem sobie, że teraz już taki film nakręcę. Okazało się, że to po prostu niemożliwe.

Niemożliwe, że niemożliwe! Taki temat, walka z komuną?!

– Okazało się, że nie pasuje. Pytało mnie, dlaczego na wiecu w Auditorium Maximum naszej uczelni w noc strajkową 23 marca 1968 r. polska młodzież śpiewa „Między narodówkę”. Dlatego, że tak było. W tej pieśni odczytaliśmy przesłanie z oryginalnej wersji z 1871 r., związane z pragnieniem wolności, a nie słowa komunistów. No i zaczęły się propozycje w rodzaju:

Krytycznie oceniam współczesne polskie kino, bo widzę, że jest eskapistyczne i nijakie. Z małymi wyjątkami.

„A dlaczego nie mogliby zaśpiewać »Bogurodzicy«?”.

Nie było pola do racjonalnej dyskusji. Potem założyliśmy, przy moim współudziale, Polski Instytut Sztuki Filmowej, ale gdy od pierwszej szefowej PISF Agnieszki Odorowicz usłyszałem, że nie możemy sobie pozwolić na robienie antypolskiego filmu, opadły mi nie tylko ręce.

Zgłaszałeś też inne propozycje?

– Między innymi scenariusz, który napisałem pod wpływem wstrząsającego dzieła Mirosława Tryczyka „Miasta śmierci. Sąsiedzkie pogromy Żydów”, o pogromach polskich Żydów w 1941 r. w miasteczkach Podlasia, gdzie stanowili oni połowę mieszkańców. Uznałem, że pora na dobre rozpocząć proces rozliczenia się z tą gorką przeszłością. Trzeba zacząć mówić, jak było naprawdę, a nie powtarzać bogoojczyźniane mity. Wspólnie z autorem tej dokumentalnej książki napisaliśmy scenariusz, co nie było łatwe, ale zaraz spotkałem się z opiniami, że gdzie my się pchamy z takim obrazoburczym filmem, skoro w oficjalnej

historiografii Polacy są narodem wybranym, a Żydzi to sami się zamykali w gettach i skazywali na komory gazowe...

Cenzura polityczno-obyczajowa jak za PRL?

– Ależ dokładnie tak! Wspomnę tylko, jak to „za komuny” razem z Michałem Komarem napisaliśmy scenariusz kilkuodcinkowego serialu według „Płomieni” Stanisława Brzozowskiego, a więc biblii polskich socjalistów, przedwojennych PPS-owców. Ale w Naczelnym Zarządzie Kinematografii, poprzedniku PISF, usłyszeliśmy, że to powieść niezgodna z ideologią komunistyczną i nie możemy podważać sojuszu z bratnim narodem radzieckim.

Teraz napisałeś scenariusz o Andrzej Szalawskim, aktorze znanym z roli bezwzględного fabrykanta w „Ziemi obiecanej” oraz Juranda w „Krzyżakach”. Skąd pomysł?

– Andrzej Szalawski był aktorem wybitnym, co przyznają nawet jego wrogowie, głównie aktorem teatralnym. Marzył o tym, aby spełniać się na scenie. Chociaż w sumie był takim skromnym, może nawet zahakany, niezbyt ekspresyjnym dżentelmenem, gdy wychodził na scenę, stawał się wulkanem emocji! Prawdy scenicznej postaci, którą grał. Jego słynna rola Kordiana pamiętana jest do dziś jako wzorzec z Sèvres.

Ale ma kontrowersyjną biografię.

Jak poznałeś tę postać?

– Od lat przyjaźnię się z Marcinem Trońskim, który grał w kilku moich filmach, a prywatnie był pasierbem Szalawskiego. Opowiadał o ojczyźnie, który całe życie nosił na barkach brzemień pomówień o kolaborację z Niemcami podczas okupacji. Poruszyła mnie ta historia.

Ustaliłeś, jak było naprawdę?

– Były to złośliwe plotki rozsiewane przez mniej zdolnych kolegów, którzy zazdrościli mu talentu i wielkości. Zwłaszcza jeden, reżyser i krytyk literacki Bohdan Korzeniewski, który po wojnie był w komisji

weryfikującej aktorów grających w dozwolonym przez okupanta, a potępianym przez władze podziemia lekkim repertuarze teatralnym. Miłosz napisał o Korzeniewskim, że zajmował się „tropieniem czarownic”. I to on zadenuncjował Szalawskiego do władz AK, w wyniku czego aktor został skazany na haniebną karę ogolenia głowy, a po wojnie siedział w więzieniu i miał zakaz występowania na scenie, co dla aktora jest śmiercią cywilną. A on po prostu pracował w Die Deutsche Wochenschau z polecenia wywiadu Armii Krajowej i dostarczał polskiemu podziemiu fantastyczne materiały, dotyczące łapanek, rozstrzeliwań, wywózek do obozów śmierci itd. Według świadectwa Kazimierza Moczarskiego, szefa Biura Informacji i Propagandy ZWZ-AK, jego bezpośredniego przełożonego, Szalawski zachowywał się bohater-sko i dokonał dla Polski wielkich czynów!

W pisaniu scenariusza pomagał ci Marcin Troński?

– Oczywiście, wymienialiśmy się wiedzą i uwagami na ten temat. I niedawno postawiłem kropkę na końcu piątej wersji scenariusza, choć ideałem jest zakończenie całości na dziesiątej. No i tak przekornie napisałem na FB, że prawdopodobnie nie zrobię tego filmu, jak poprzednich.

Skomentował ten wpis Feliks Falk, namawiając cię, byś bez względu na przeszkody próbował sfinalizować ten projekt. Nie ma do tego klimatu w kraju? Nawet po odsunięciu PiS od władzy?

– Myślę, że jest odwrotnie. Bardzo krytycznie oceniam współczesne polskie kino, bo widzę, że jest eskapistyczne i nijakie. Z małymi wyjątkami. Najbardziej mnie boli, że młodzi reżyserzy boją się tematów gorących, kontrowersyjnych, odświeżających prawdę o nas, nie zawsze chlubną i bohaterską. I jest taka ucieczka w komercję, rozrywkę, świat fikcji.

Ale np. Piotr Domalewski, który korzysta również z dotacji Warmińsko-Mazurskiego Funduszu Filmowego, kręci filmy na tematy ważne społecznie.

► – Dlatego zastrzegłem, że są wyjątki, a Domalewskiego bardzo cenię i mam nadzieję, że osiągnie wielkie sukcesy w kinie światowym. Przypomnę, że 15 lat byłem dyrektorem programowym, a teraz jestem szefem komitetu organizacyjnego festiwalu Młodzi i Film w Koszalinie, więc siłą rzeczy oglądam mnóstwo filmów twórców młodego pokolenia, w tym

a potem Zanussi, te filmy by nie powstały. Bo co ja jako młody wtedy reżyser zdziałabym na forum NZK? Natomiast jak wchodzili tam Andrzej Wajda, Wojciech Jerzy Has albo Jerzy Kawalerowicz, otwierali z „kopa” drzwi do gabinetu i mówili: „Kijowski ma zrobić film!”, to ci biedni urzędnicy kładli uszy po sobie i składali odpowiednie podpisy.

Najbardziej mnie boli, że młodzi reżyserzy boją się tematów gorących, kontrowersyjnych, odślanających prawdę o nas, nie zawsze chlubną i bohaterską.

debiutów. Poza animacją, która jest naszym towarem eksportowym, widzę, że brakuje w tych filmach odwagi, świeżości spojrzenia, buntu pokoleniowego.

Uważasz, że reżyser filmowy – tak jak pisarz, przynajmniej kiedyś – ma misję do spełnienia?

– Tak uważam, ponieważ jestem reżyserem a) polskim, b) europejskim, a nie amerykańskim, dlatego jestem przekonany, że w naszej kulturze pisarstwo, ale także praca w teatrze, a w nowszych czasach – praca w filmie, zawsze były związane może nie tyle z misją, ile z ważnym społecznie przesłaniem. Przy czym, jak powiedział Witkacy, odwaga twórców powinna iść w parze z mądrością. Taką właśnie zasadą kierowaliśmy się w nurcie kina moralnego niepokoju...

...którego jesteś jednym z głównych twórców.

– Była nas mocna grupa, w tym Krzysztof Kieślowski, Agnieszka Holland, Feliks Falk czy Barbara Sass. Chodziło nam o to, by kręcić filmy o tematyce współczesnej, które demaskowały zwyrodnienia ówczesnego systemu, ale i dawały nam twórczą satysfakcję.

Skąd braliście pieniądze na produkcję filmów?

– Z Naczelnego Zarządu Kinematografii, z Ministerstwa Kultury.

I władza lekką ręką dawała kasę na filmy, wiedząc, że one mniej lub bardziej godzą w system PRL?

– A to dlatego, że stały za nami autorytety! Gdyby nie Has, Wajda, Kawalerowicz, Stanisław Różewicz,

Dzisiaj nie ma takich autorytetów, które mogłyby przebić te biurokratyczne zapory i powiedzieć: „Ten i ten ma zrobić film, bo ma coś do powiedzenia”. A co jest? O „żołnierzach wyklętych” – bardzo proszę, o zamachu smoleńskim też, ale już „Zielona granica” Agnieszki Holland jest za mało polska czy wręcz antypolska.

Początkowo także najnowszy film Holland o Franzu Kafce nie dostał dotacji z PISF.

– Potem Agnieszka dostała jakieś pieniądze, bo zrobiła awanturę i decydenci się przestraszyli. A to znaczy, że ten system jest chory.

Sami filmowcy nie mogą stworzyć jednolitego frontu, żeby wspierać najbardziej wartościowe produkcje,

coś takiego w ogóle jest możliwe. Ten system został wymyślony przez naszych starszych kolegów, głównie Jerzego Toeplitza i Jerzego Bossaka, w okresie odwilży gomułkowskiej 1956 r. Polegał na tym, że reżyserzy, scenarzyści i operatorzy grupują się w zespoły, kierowane przez wybitnych twórców. Takich jak Wajda, Kawalerowicz, Różewicz, Hoffman czy Has. Ci twórcy z niekwestionowanym autorytetem byli w stanie zdecydować, które scenariusze mają być realizowane, a które nie. A państwo dawało pieniądze na filmy, bo to było decydującym na rękę. Nie mówię, że tylko ze względów koniunkturalnych, ale także patriotycznych. Bo we władzach nie siedziały same tłumoki, np. minister kultury Józef Tejcma miał olej w głowie i zależało mu, żeby o Polsce mówiło się dobrze. Że to kraj, w którym powstaje wspaniała literatura, reżyserzy teatralni tworzą wspaniałe spektakle, a filmowi robią kino, które rozstawia nas na świecie. To był genialny system!

Ale w 1989 r. przyszyła moda na kapitalizm i zespoły filmowe straciły rację bytu?

– Zgodnie z kapitalistyczną filozofią zakładano, że i bez tego systemu przebiją się najlepsze filmy. Najlepsze, czyli najbardziej chodliwe. Czyli kto się przebije? Ten od „Pitbulla”, jak mu tam?

Odwaga twórców powinna iść w parze z mądrością. Taką zasadą kierowaliśmy się w nurcie kina moralnego niepokoju.

niezależnie od sympatii politycznych i estetycznych?

– O, tu dotknąłeś bardzo ważnego tematu, choć na ogół traktujemy ten rozdział jako żart historyczny. My w czasach tej paskudnej, niewydajnej PRL mieliśmy najlepszy na świecie system produkcji filmów. Tego systemu zazdrościli nam we Francji, w Niemczech, w całej Europie, bo sam to odczułem, gdy dwukrotnie byłem jurorem festiwalu w hiszpańskim San Sebastián. Gdy filmowcom z zagranicy opowiadałem o polskim systemie zespołów filmowych, łapali się za głowę, że

Patryk Vega.

– No właśnie, przebije się Vega, natomiast nie przebije się Domalewski, choć życzę mu jak najlepiej i mam nadzieję, że da sobie radę. Na razie dobrze mu idzie. Ci młodzi filmowcy nie mają jednak takiego zaplecza jak kiedyś. Podkreślę, że w zespołach filmowych istniała swego rodzaju hierarchia cechowa; był mistrz, byli rzemieślnicy i terminatorzy, czyli uczniowie. Oni mieli swój warsztat i taki system sprawdzał się od średniowiecza do dzisiaj. Także w sztuce. Tu dygresja: gdy będąc dyrektorem teatru w Olsztynie,

powiedziałem, że w teatrze najlepiej sprawdza się feudalizm, bo muszą być terminatorzy i muszą być uczniowie, to ci uczniowie postanowili zrobić rabację i wyrzucić Kijowskiego. A miał to być najbardziej demokratyczny i najwspanialszy teatr w kraju. Okazało się, że po 15 latach kierowania przeze mnie Jaraczem przyszedł dyrektor Zbigniew Brzoza, a cokolwiek by o nim powiedzieć, demokracją nie był. Również popadł w konflikt z zespołem i po jednej kadencji odszedł.

Tymczasem po zespołach filmowych pozostały tylko wspomnienia.

– Resztki tego systemu, zespoły Tor, Kadr i Zebra, rozwiązał liścioście nam panujący minister Piotr Gliński. Zlikwidował jako „relikty PRL”, a więc ze względów politycznych. Teraz jest tak, że minister mówi dyrektorowi PISF, które filmy trzeba robić, zgodnie z zasadą *cuius regio, eius religio*, dyrektor przekazuje dyspozycje urzędnikom i dalej toczy się to jak kamienie po lodzie w curlingu. Filmowcy wiedzą, jakie

scenariusze przejdą, i próbują trafić w oczekiwania władzy, jednocześnie stosując autocenzurę, idąc na ustępstwa.

W takim razie jaki wpływ na tę sytuację ma Stowarzyszenie Filmowców Polskich, które kiedyś było prężne w środowisku i z którym władza się liczyła?

– Było i nadal próbuje takie być, ale jego skuteczność zależy od siły

szefera SFP, ale to już bardziej korporacja filmowców i trzeba złożyć mu ukłon, że walczy jak lew o tantiemy z przychodów platform streamingowych w Polsce, które emitują polskie filmy. Mimo to grupa młodych filmowców w SFP chce Jacka wyrzucić z tej funkcji, choć pewnie im się nie uda. Gdyby jednak go wyrzucili, system tantiem już w ogóle by upadł.

W zespołach filmowych istniała swego rodzaju hierarchia cechowa; był mistrz, byli rzemieślnicy i terminatorzy, czyli uczniowie.

przebicia. Pierwszym szefem SFP był Jerzy Kawalerowicz – wielka postać, wielki twórca, a jednocześnie potrafiący dogadać się z władzą, zwłaszcza że był sekretarzem organizacji partyjnej przy Zespole Filmowym Kadr. Ale to był parasol, który w tamtych czasach rozpościł nad środowiskiem. Drugim szefem SFP był Andrzej Wajda, a trzecim Janusz Majewski, oni też sobie radzili. Jacek Bromski jest fantastycznym

Ukończenie scenariusza o Szalawskim świadczy o tym, że jesteś aktywny twórczo.

– Oczywiście. Już zabieram się do następnego. Ujawnię tylko, że bohaterem jest człowiek z małego miasteczka, który zrobił wielką karierę w świecie i po 25 latach od matury spotyka się z kolegami z dawnej klasy.

Marek Książek

NOWA KSIĄŻKA DR BEATY MICHALEC

Pełna i rzetelna publikacja dotycząca historii oraz działalności stowarzyszenia od momentu powstania w marcu 1963 roku aż do współczesności.

KSIEGARNIA

MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI

25 LAT SAMODZISTWY WYOWOŚCOWA MAZOWIECKIEGO

Towarzystwo Przyjaciół Warszawy w latach 1963–1991

Beata Michalec

Muzeum Historii Mazowsza

25 LAT SAMODZISTWY WYOWOŚCOWA MAZOWIECKIEGO

Wydawnictwo

WYDAWA

Zaczyna się od ciałopalenia Cezara, który przez lata stał na czele małp. A potem przenosimy się kilka dekad później, gdy Cezar funkcjonuje już wyłącznie jako mit, który skłócone klany małp naginają do swoich celów. Porozumienia między zwierzętami nie ma: jedne wybrały osiadły tryb życia i hodowlę orłów (jak Noah, główny bohater), drugim marzy się dominacja nad światem. Są jeszcze ludzie, a raczej ich niedobitki, którzy obstawiają tu drugi plan. To produkcja zwierzęcentryczna, jak „lo”, ujmująca widokami wieżowców, z których okien wyrastają

Królestwo Planety Małp

reż. Wes Ball, prod. USA,
już w kinach

drzewa i krzewy – świat, w którym natura odzyskała władzę. Twórcy jednak od ludzi nie uciekają zupełnie, bo w perypetiach małp łatwo zobaczyć metaforę współczesnej Ameryki, ideologicznie pękniętej na pół. Reżyser Wes Ball nie idzie jednak w stronę agitki, tylko zręcznie balansuje między spektakularną rozrywką a kinem refleksji. Scena spalenia



osady Noah imponuje rozmachem, a to dopiero preludium do kolejnych demolek, które koniecznie trzeba zobaczyć na dużym ekranie.

Artur Zaborski

KURTyna W GÓRĘ



„Serce ze szkła. Musical zen”, libretto Klaudia Hartung-Wójciak i Maria Peszek, reżyseria, ruch sceniczny Cezary Tomaszewski, koprodukcja Teatru Studio w Warszawie i Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie, premiera warszawska 19 kwietnia 2024

Serce ze szkła

Tytuł pasuje jak ulał. Trudno byłoby znaleźć lepszy dla tej opowieści o czymś tak kruchym jak teatr i jak miłość. Musical powstał bowiem ze skrzyżowania motywów zaczerpniętych z baśni Andersena oraz książki Marii Peszek. I z niepokojem wywoływanego dręczącymi artystów pytaniami. Czy aktor potrafi naprawdę kochać, czy można znaleźć spełnienie w sztuce?

Nalożenie baśniowej formy na intymne wspomnienia, często o charakterze manifestu, opisujące doświadczenia artystycznej rodziny Peszków, nadało wymiar poetycki szczerzej aż do bólu historii relacji. Prawdy, wiarygodności tego przekazu pilnują sami bohaterowie, występujący w głównych rolach – Maria i Jan Peszkowie odważnie mierzą się z przeszłością.

Czasem opowieść przeistacza się w deklarację ideową, kiedy dialogujący ze sobą Peszkowie wprost atakują skamieliny myślowe hierarchów katolickich i Jana Pawła II, wskazując ich jako głównych hamulcowych przemian myślowych i obyczajowych. Te wszystkie miejsca trudne, bolesne, a piekielnie ważne dla bohaterów (i Polski) okala warstwa muzyki i śpiewu – teren, na którym Maria Peszek czuje się królową. I tak się dzieje na scenie Studia, na której cały zespół pracuje na sukces bohaterów, odsłaniających prywatny świat, aby opowiedzieć, jak oczyszczającą siłą ma prawda i potrzeba bliskości. Piękne, czule przedstawienie.

Tomasz Miłkowski

Wszystko o Ewie

Kiedyś powieść Żeromskiego bułwersowała obyczajową śmiałością, dziś niepokoi raczej mizoginizmem autora opisującego postać Ewy Pobratyńskiej. „Dzieje grzechu” w reżyserii Wojtka Rodaka i dramaturgii Igi Gańczarczyk są nie tylko błyskotliwą grą z konwencją melodramatu, ale i polemiką z powieścią żerującą na pełnej hipokryzji moralności publicznej. Na tej scenie Starego Teatru, zmienionej za sprawą scenografii w efektowny buduar, rozgrywają się sceny z dziejów „moralnego upadku” bohaterki tragicznie zakończonej w niedoszłym rozwodniku Łukaszu Niepołomskim. Zręcznie przeplecione polemicznymi, metateatralnymi komentarzami aktorek i aktorów. Są w tym spektaklu trzy Ewy. Najmłodsza i najbardziej „niewinna” gra Karolina



Stefan Żeromski, „Dzieje grzechu”, reżyseria Wojtek Rodak, Narodowy Stary Teatr w Krakowie, premiera 19 kwietnia 2024

Staniec, starszą Magda Grąziowska, a tę dojrzałą, najbardziej, jak chciałby Żeromski, „zepsutą” – Małgorzata Gałkowska. Towarzyszą im m.in. Filip Perkowski jako Bodzanta i Szymon Czacki w roli Niepołomskiego. Choć cały zespół gra świetnie – balansując między pastiszem, teatrem psychologicznym i dekonstrukcją – gwiazdą wieczoru jest Gałkowska. Jej finałowy monolog o zmęczeniu ciągłym ściganiem wzorców kobiecości, o prawie do własnego ciała i dojrzałości jest wyzwajający i bardzo potrzebny, nie tylko kobietom.

I właśnie o toksycznych wzorcach męskości i kobiecości, na których wciąż ufundowana jest nasza zbiorowa wyobraźnia, a które zmyślnie ogrywają kostiumy Marty Szypulskiej, opowiada krakowski spektakl.

Michał Centkowski

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Dysharmonia wyższych sfer

Legendarna akustyka sali koncertowej NOSPR w Katowicach ma też złe strony – maniakalni audiofile ściągają tam bowiem ze swoich dźwiękoszczelnych kanciap i domagają się, by w tej przestrzeni nic nie stało na przeszkodzie między muzyką a ich nadwrażliwymi uszami. Tymczasem kiedy z górą półtora tysiąca melomanów się zgromadzi, nawet najbardziej zdyscyplinowanych, kaszlących tylko w przerwach między częściami utworu, szeleszczących programami tylko przed koncertem i porozumiewających się wyłącznie telepatycznie – audiofil i tak będzie nieszczęśliwy, bo komuś tam oddech zaświszcze o wysuszoną śluzówkę, innemu w płucach zafurkocze, w brzuchu zaburczy, a wszystko to słyszać doskonale, zatem żegnaj, nirwano.

Wybrałem się do NOSPR pomimo początków zapalenia oskrzeli, nafaszerowałem tabletkami, a już na sali, w oczekiwaniu na orkiestrę, profilaktycznie zadąłem w chusteczkę – ku własnej zgubie, bo natychmiast odwróciła się ku mnie maniakalna audiofilka, zerknęła na mój nieco opuchnięty kinol i już wiedziałem, że oto będę miał swoją prześladowczynię. Już ona wyteżyła słuch i wyczekiwała, aby mnie przytapać choć na stłumionym kichnięciu, przez co, zamiast dać się ponieść romantycznej *musica mundana*, jak określił Piątą Brucknera Marcin Trzęsiok z rady programowej katowickiego festiwalu Muzyka Sfer, przez prawie półtorej godziny pilnowałem się, aby broń Boże nie pociągnąć nosem zbyt głośno. A kiedy w poczuciu tryumfu dociągnąłem do finału i kichnąłem dopiero podczas *standing ovation*, pani odwróciła się ku mnie ponownie i wycedziła: „Przez cały koncert smarkał mi pan do ucha”.

Och, ja, smarkacz, łatwa ofiara upupień – żebym choć mógł się wytłumaczyć wzruszeniem, ale gdzie tam, Bruckner to stary nudziarz, którego symfonie przesypiałem zawsze w oczekiwaniu na drugą część koncertu, ale tym razem przyjechała go zagrać Royal Concertgebouw, lepiej już być nie mogło. Orkiestry ze światowego topu nie powinny grać utworów wybitnych, żeby się człowiek nie rozpraszał kompozytorskim geniuszem i mógł skupić wyłącznie na mistrzostwie wykonania.

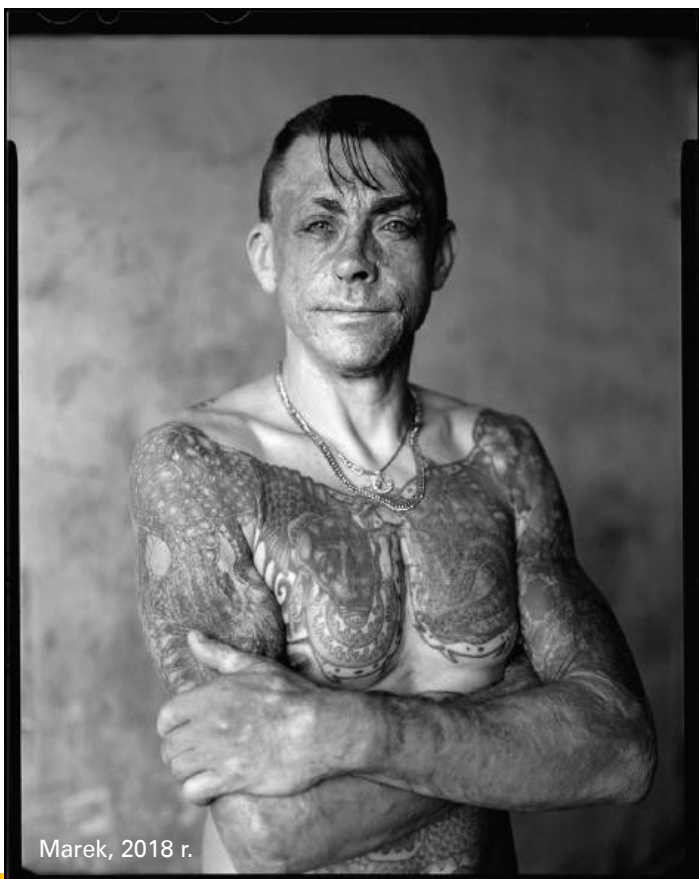
Piąta, najdłuższa z Brucknerowskich symfonii, nie kryje w sobie takiego błysku geniuszu jak choćby scherzo z Czwartej, gdzie typowe pitu-pitu żywcem z polowania wzięte nagle uwznioślają majestatyczne akordy i robi się z tego zaiste muzyka sfer. Klasyczni symfonicy komponowali dla książąt i magnatów, których ulubioną rozrywką było kładzenie pokotem zwierzyny, stąd mnogość tych tematów myśliwskich, echa rogów i sygnałówek – np. Czwartą Bruckner dedykował księciu Konstantynowi Hohenlohemu, a myśliwskie obsesje tego rodzaju są powszechnie znane – taki Christian szczycił się tym, że własnoręcznie ubił w Tatrach tysiąc kozic.

W Piątej też najciekawiej robi się w scherzu, gdzie Bruckner bawi się zmianami tempa i zderzeniem głównego tematu z protowalczykiem wiedeńskim ludowej proveniencji (miłośnicy postmodernizmu muzycznego budzą się na tę część ze snu i dziwią, że największy XIX-wieczny nudziarz symfoniczny takie sobie urządził

Orkiestry ze światowego topu nie powinny grać utworów wybitnych, żeby się człowiek nie rozpraszał kompozytorskim geniuszem i mógł skupić na mistrzostwie wykonania.

facecje). Tyle że ta zabawa powtarza się co najmniej raz za dużo, jakby kompozytor tak się zachłystnął jednym dowcipem wplecionym w 80 minut patosu. Bruckner pisał tę symfonię w czasie intensywnego rozmodlenia, a jak ktoś chce przez prawie półtorej godziny za pomocą wielkiej orkiestry symfonicznej oddać potęgę swojej wiary i bogobożności, to ja zwykle wychodzę chyłkiem zaraz po starcie. No chyba że przyszedłem dla samej orkiestry, jak w tym przypadku.

Amsterdamczycy, którymi dyrygował młody Klaus Mäkelä, brzmieć nieładnie, to była prawdziwie kosmiczna harmonia, głęboka symetria, z której byłby zadowolony prof. Krzysztof Meissner, badacz teorii strun i cząstek elementarnych, rozpylający się nad pięknem precyzji wzorów fizycznych podczas wykładu poprzedzającego koncert. Czuję, jakbym zwiedzał jakąś supernowoczesną fabrykę i podziwiał funkcjonalność maszyn – ale Bruckner tak się skupił na swojej religijności, że na Boga w tej muzyce miejsca zabrakło. ■



Marek, 2018 r.



Oliwia, 2022 r.

CREDO

Tożsamość / ludzie / miejsca

„Credo” to projekt, w którym opowiadam o miejscu urodzenia, o mojej ulicy, bliskich, przyjaciółach, znajomych. O tych, których podziwiam, którzy mnie inspirują, którym tak wiele zawdzięczam. To również opowieść o nieznajomych mijanych na ulicach miasta, w których twarze z nieustającą fascynacją się wpatruję.

Chciałbym to życie, które właśnie tak zwyczajnie się toczy, zatrzymać, sfotografować i jakoś ocalić, bo, jak pisał Roland Barthes, nie będzie się już ono mogło egzystencjalnie powtórzyć.

Przez sylwetki ludzkie, przez osobiste historie wplecione w historię Częstochowy chciałem stworzyć wielowymiarową opowieść o tożsamości, tej indywidualnej, ale i szerszej, wynikającej z poczucia przynależności i wspólnoty losów.



Klaudia i Krzysztof, 2022 r.

Jacenty Dędek
www.jacentydedek.pl



Polska Wietnamem Europy

Wietnamczycy pokochali Polskę,
ale czy Polska odwdzięcza się tym samym Wietnamczykom?



Przedstawiciele społeczności wietnamskiej uczestniczą w Świącie Flagi, Warszawa 2019 r.

Andrzej Sikorski

Pożar centrum handlowego Marywilska 44 w Warszawie pochłonął cały dobytek kilku tysięcy kupców, w większości Wietnamczyków. „Od pierwszych minut pożaru monitorujemy sytuację, bo jest ona związana z naszą społecznością. Nasi przedstawiciele są na miejscu, także kupcy marywilscy. Zgodnie z apelem służb odciągamy ludzi, którzy próbują dostać się na miejsce pożaru”, mówią dziennikarzom Karol Hoang, rzecznik prasowy Stowarzyszenia Wietnamczyków w Polsce.

Nie zawsze to się udawało, niektórzy zrozpaczeni, nie bacząc na zagrożenie, próbowali się dostać

do swoich sklepów, by cokolwiek uratować.

Stowarzyszenie powołało sztab kryzysowy. „Już teraz wiemy, że tysiące ludzi straciło dorobek życia w ciągu jednej nocy. Straty są tak ogromne, że ciężko zorganizować pomoc adekwatną do szkody, ale na pewno zrobimy wszystko, co w naszej mocy”, powiedział przedstawiciel społeczności wietnamskiej w Polsce.

Sztabu kryzysowego nie powołały polskie władze samorządowe ani centralne, co sprytnie wykorzystali politycy PiS, którzy zarzucili Rafałowi Trzaskowskiemu i jego kolegom z rządu znieczulicę. „Stawiamy pytania o działania premiera i rządu. I o to, co, zrobił prezydent Trzaskowski. Nie

zatroszczył się o los 1,4 tys. przedsiębiorców w momencie pozbawienia majątku, miejsc pracy. Nie ma sztabu kryzysowego, nie ma nawet obecności Rafała Trzaskowskiego i troski o to, co się wydarzyło”, mówiła w Sejmie posłanka PiS Małgorzata Gosiewska.

Rzeczywiście, prezydent stolicy nie odniósł się do tragicznego zdarzenia nawet w mediach społecznościowych, a na jego profilu na Facebooku w dniu pożaru widniało zaproszenie do rejestracji udziału w tegorocznej edycji cyklu wykładów Campus Polska Przyszłości w olsztyńskim Kortowie. Dopiero w poniedziałek, czyli dzień po pożarze, w późnych godzinach popołudniowych Rafał

Trzaskowski razem z wojewodą Mariuszem Frankowskim zorganizowali improwizowaną konferencję prasową, której przesłanie było takie, że za wiele nie mogą zrobić w kwestii pomocy poszkodowanym...

Od pucybuta do milionera

Szacuje się, że w Polsce mieszka ok. 50 tys. Wietnamczyków (nie wszyscy legalnie) – to jedna z największych społeczności tej narodowości w Europie. Pierwsi przybysze z Wietnamu pojawili się w Polsce w latach 60. i 70. Byli to studenci i doktoranci, którzy po zdobyciu wykształcenia mieli wrócić do Wietnamu. Część jednak została lub przyjechała ponownie. Wokół tych osób zaczęły się tworzyć

kupujących cieszyła się bielizna. Bawełniane koszule nocne sprzedawano po 6 zł, kolorowe szlafroki wyszywane w chińskie smoki po 10 zł. Komplet 12 fig dla pań kosztował 9 zł, slipki były o 2 zł droższe. Panie kupowały bawełniane koszulki i krótkie spodenki z szerokimi nogawkami za 8 zł. Powodzenie miały żorżetowe bluzki z haftowanymi kołnierzami za 10 zł, sweterki w pastelowe kwiaty i bawełniane bluzki z aplikacjami za 12 zł. Był duży wybór kolorowych podkoszulków. Zależnie od wzoru kosztowały ok. 5 zł”, donosiła w 1995 r. „Gazeta Stołeczna”.

Dziś po tamtych klimatach pozostało jedynie wspomnienie na pożółkłych stronach archiwalnych numerów. W ostatnich 30 latach status

Szacuje się, że w Polsce mieszka ok. 50 tys. Wietnamczyków (nie wszyscy legalnie). To jedna z największych społeczności tej narodowości w Europie.

wspólnoty, a po 1989 r. przybyła największa fala migrantów zarobkowych. Większość osiedliła się w Warszawie i okolicznych miejscowościach. Żyją na uboczu, zamknięci w swoim kręgu kulturowym, nie rzucają się w oczy. Są dobrze zorganizowani, życzliwi i solidarni. Mają swoje organizacje polityczne, stowarzyszenia, szkoły, przedszkola, prasę, a nawet świątynie.

Jeszcze w latach 90. Wietnamczycy kojarzyli się głównie ze straganami na Stadionie Dziesięciolecia i obskurnymi budami przypominającymi kioski Ruchu, w których serwowano kuchnię azjatycką cieszącą się wzięciem wśród Polaków.

„W alejkach prowadzących do schodów na trybuny Stadionu Dziesięciolecia handlują Polacy. Koronę Stadionu zajęli Rosjanie. Wiaty od strony dworca PKS Stadion niepodzielnie opanowali Wietnamczycy. W niedzielny poranek czynnych było prawie sto wietnamskich straganów. Ich właściciele handlują głównie odzieżą przywiezioną z Chin, Korei i Tajwanu. Chociaż ceny były nieco niższe niż u handlarzy w centrum miasta, większość klientów próbowała się targować. Dużym zainteresowaniem

materialny społeczności wietnamskiej znacznie się poprawił. Wielu imigrantom poszczęściło się w Polsce. Dzięki wrodzonej pracowitości i zaradności dorobili się majątków. Prowadzą hurtownie odzieży, żywności, restauracje i bary orientalne. Są lekarzami, profesorami, menedżerami w międzynarodowych koncernach i korporacjach. Przykładem wietnamskiego sukcesu w Polsce jest były student Politechniki Gdańskiej Tao Ngoc Tu, który w 1990 r. założył spółkę Tan-Viet zajmującą się importem artykułów spożywczych z Azji Wschodniej na rynek polski. To dzięki Tao Ngoc Tu popularne w Polsce stały się zupy błyskawiczne zwane chińskimi, a własnością Tan-Viet jest rozpoznawalna marka Vifon, pod szyldem której co roku sprzedaje się ponad 100 mln opakowań zupek. Tao Ngoc Tu z majątkiem wartym ok. 200 mln zł trafił na listę najbogatszych Polaków. Wielu wietnamskich imigrantów, szczególnie z lat 80. i 90., ma polskie obywatelstwo, a ich dzieci i wnuki, które uczą się w polskich szkołach, mówią perfekcyjną polszczyzną, bez śladu akcentu.

Szykany, rasizm i wyzysk

Ci, którzy przyjechali do Polski w ostatnich latach, nie mają już tak łatwo. Pracują po kilkanaście godzin dziennie, zajmując się głównie drobnym handlem i usługami w takich miejscach jak spalone centrum handlowe przy Marywilskiej albo w centrum handlowym w podwarszawskiej Wólce Kosowskiej, które też kilkakrotnie płonęło. Ostatni pożar wybuchł tam we wrześniu 2023 r. Mówiło się o porachunkach azjatyckich gangów.

Nie były to jedyne problemy wietnamskich kupców. W 2019 r. przed świętami Bożego Narodzenia skarbówka przez kilkanaście dni prowadziła zmasowaną akcję wymierzoną rzekomo w przestępców. Ponad 250 uzbrojonych funkcjonariuszy obstawiło centrum handlowe, przeszukując samochody dostarczające towar. Jak twierdzili przedstawiciele służb skarbowych, kontrole miały wyeliminować szarą strefę i nieprawidłowości w rozliczeniach podatkowych. Wystraszeni klienci zaczęli omijać Wólkę Kosowską, a Wietnamczycy stracili pewny zarobek. Pod adresem służb padły oskarżenia o celowe nękanie i rasizm. Sprawa stała się na tyle głośna, że interweniował poseł Ryszard Galla, wiceprzewodniczący sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych.

Nieprzyjemnie zrobiło się, gdy rzeczniczka nadwiślańskiego oddziału Straży Granicznej zasugerowała (nie pierwszy raz), że w Wólce Kosowskiej znaleziono tonę psiego mięsa, które było własnością Wietnamczyków i miało trafić do warszawskich restauracji. Polska opinia publiczna była wzburzona, a Wietnamczycy poczuli się pomówieni.

„Muszę przypomnieć, że nieodpowiedzialne słowa rzeczniczki SG oraz działania SG powodują nienawiść Polaków do Wietnamczyków, potęgują dyskryminację i rasizm w społeczeństwie polskim wobec Wietnamczyków. Kto popełnia przestępstwa, ten musi ponosić karę, ale nie można stosować odpowiedzialności zbiorowej i posługiwać się półprawdą w celu wywołania sensacji i nienawiści. Fakty bywają inne niż słowa pani rzeczniczki SG”, stwierdził Tuong Ngo Van, ►

► prezes Fundacji Transkultura i Dialog Międzykulturowy. Straż Graniczna wprowadziła przeprosiła za insynuacje, ale to nie oczyściło napiętej atmosfery.

Jest jeszcze ciemna strona pobytu wietnamskich imigrantów nad Wisłą, o której rzadko się wspomina. Polska to ważny punkt przelotowy na szlaku handlu ludźmi i nielegalnej imigracji. Wietnamczycy, którzy marzą o lepszej przyszłości w Europie Zachodniej, trafiają do naszego kraju przez Rosję, Białoruś i Ukrainę. W Polsce są zmuszani do niewolniczej pracy przy szyciu ubrań, pracują też przy uprawach marihuany. W ten sposób muszą spłacić dług wobec przemytników.

Swego czasu głośno było o przypadku Macieja P., polityka partii Polska Jest Najważniejsza, który w swojej szwalni zmuszał do niewolniczej pracy Wietnamczyków. Ci w końcu nie wytrzymali i uciekli od oprawcy. „Nie mamy wątpliwości, że byli zmuszani do pracy. Żeby wyjechać do Polski, musieli się zadłużyć, byli izolowani, straszeni deportacją, wycieńczeni. Takie postępowanie wypełnia znamiona pracy przymusowej”, mówiła Irena Dawid-Olczyk, prezeska Fundacji La Strada, która pomaga ofiarom współczesnego niewolnictwa. Jednak pobłażliwa prokuratura uznała, że Maciej P. tylko zabrał dokumenty swoim

pracownikom, a sąd wymierzył mu za to 5 tys. zł grzywny.

Dobre serce i solidarność

Wietnamczyków mimo wielu przeciwności losu cechują optymizm i naturalna skłonność do pomagania innym. Ma to związek z wyznawaną wiarą – buddyzmem. Buddyści wierzą, że poprzez dobre uczynki wytworzą dobrą karmę, która w konsekwencji doprowadzi ich w kolejnych wcieleniach do nirwany, a udzielona przez nich pomoc zostanie odwzajemniona.

Gdy Polskę nawiedziła pandemia COVID-19, społeczność wietnamska ruszyła z pomocą. Zakupiono i przekazano Ministerstwu Zdrowia sprzęt ochronny: ponad 1 tys. sztuk kombinezonów, ponad 4 tys. testów na obecność koronawirusa oraz kilka tysięcy par rękawiczek. Dary buddystów z pagody Thien Phuc, jednej z dwóch wietnamskich świątyń buddyjskich, zlokalizowanej w podwarszawskiej miejscowości Laszczki, zostały rozdyskrebowane pomiędzy kilkanaście szpitali, głównie w Warszawie, a także instytucje samorządowe w Wólce Kosowskiej i na Ochocie, najliczniej zamieszkaanej przez Wietnamczyków dzielnicy Warszawy.

Wietnamscy restauratorzy z Warszawy założyli Grupę Wsparcia Medyków, Lekarzy i Ofiar Wirusa COVID-19, w ramach której ufundowano medykamenty gorące posiłki. Do akcji przyłączyli się Wietnamczycy z innych miast: Zgierza, Bydgoszczy, Katowic, Bytomia, Sosnowca, Szczecina, Poznania i Wrocławia. Szacuje się, że ufundowano w ten sposób kilkadziesiąt tysięcy darmowych posiłków. W ramach działań zaprojektowano logo z czerwonym sercem i stetoskopem oraz napisem: „Dziękujemy bardzo. Jesteśmy z Wami. Wietnamczycy w Polsce”.

Pomoc charytatywna prowadzona jest nieustannie. Od wielu lat np. właścicielka baru Pitaya serwuje gorące posiłki osobom bezdomnym przy Dworcu Centralnym w Warszawie w ramach działań podejmowanych przez Fundację Daj Herbatę. Wietnamscy wolontariusze – kupcy i restauratorzy – prężnie działają w inicjatywie Smile Warsaw, dostarczając żywność i ubrania bezdomnym. Stowarzyszenie Wietnamczyków w Polsce co roku w okresie przedświątecznym przekazuje dary dla domów opieki nad osobami bezdomnymi, domów dziecka i świetlic środowiskowych z Warszawy i okolic. Wiele wietnamskich rodzin podejmuje własne inicjatywy w lokalnych środowiskach. Wietnamczycy wspierają ogólnopolskie akcje charytatywne, m.in. WOŚP i Szlachetną Paczkę. Można by tak wymieniać jeszcze długo.

Gdy w 2017 r. prezydent Andrzej Duda udał się do Wietnamu, jednym z punktów wizyty było wręczenie odznaczeń państwowych wietnamskim absolwentom polskich uczelni, którzy stanowią elitę polityczno-biznesową Wietnamu. Okazuje się, że wielu ministrów, wiceministrów, szefów państwowych urzędów doskonale mówi po polsku i dobrze wspomina lata spędzone w Polsce. „Polska na zawsze pozostanie w naszych sercach”, mówił wzruszony Pcha Khoi Nguyen, prezes Towarzystwa Przyjaźni Wietnamsko-Polskiej. Wzruszenia nie krył też prezydent Duda, który nie szczędził ciepłych słów wietnamskim przyjaciółom. Pytanie, czy Polska ma w sercach Wietnamczyków, którzy znaleźli swój dom nad Wisłą.

Andrzej Sikorski



www.wydawnictwomg.pl

FOKI Z WYSPY PRAŁÓW

W poszukiwaniu dzikich miejsc



Robert Macfarlane

Słabe wieczorne światło pobłyskiwało w fali dziobowej. Wiatr dął mocno, a łódź wychylała się o 20 st. od poziomu. Żagle były zwinięte, morze szare, wzburzone. Wszyscy troje na łódce przywiązaliśmy się do lin i belek, aby utrzymać się na przechylonym pokładzie. Stałem za sterem i próbowałem utrzymać kurs na wyspę. (...) Nad lądem wisiały dwie cienkie warstwy chmur, ciemne nad jasnymi: znak, że powietrze jest niespokojne. Był wczesny wieczór, początek lata, przy najdalej wysuniętym na zachód krańcu półwyspu Llyn. Wyszliśmy z przystani z opóźnieniem, wiedzieliśmy, że wiatr jest silny, a zmrok zapadnie najdalej za trzy godziny.

Łódź poruszała się z prędkością prawie ośmiu węzłów i huśtała na falach, kiedy rozległ się trzask i gwałtowny łopot, jakby tabędz zrywał się do lotu. Obróciła się gwałtownie do zawietrznej i zwolniła, jak gdyby woda nagle zgęstniała, a nami rzuciło do przodu. (...) John, szyper, rzucił krótkie i celne komendy. Przejął ster, ustawił łódź przodem do wiatru,

a potem kazał mi trzymać kurs. Fale zalewały pokład. Jan, żona Johna, przesunęła się wzdłuż uniesionej burty łodzi, złapała raksę i umocowała ją do relingu. Żagiel opadł, a my z trudem go ściągnęliśmy i zwinęliśmy – teraz leżał zabezpieczony na pokładzie. Ostatnia godzina minęła w ciszy, która nastąpiła po kryzysie.

Z mniejszą powierzchnią żagli poruszaliśmy się wolniej. Cztery węzły, z rzadka trochę więcej. Na południowym zachodzie przed nami na tle zachodzącego słońca rysowała się wyspa: wielka ściana klifu i urwisko, wyrastające na wysokość 500 stóp z morza, potem opadające łagodnie ku długiemu, płtykiemu ramieniu lądu, na którym wznosiła się wysoka latarnia. Jej opalizujące lustra migotały co parę sekund. W końcu wpłynęliśmy na wody osłonięte od wiatru przez klif, a samotny żagiel zwiast z masztu bez życia. Potem, jakby w ramach powitalnego cudu, chociaż oczywiście żadnego cudu w tym nie było, nisko położone już słońce przedarło się przez chmury i oblało fale srebrem, dokładnie w chwili, kiedy wpływalismy po tej rozjaśnionej wodzie na silniku do małej przystani.

Gdy znaleźliśmy się już blisko brzegu, powietrze wypełnił wysoki jęk, który narastał w miarę zbliżania się do lądu. Pomyślałem, że musi to być dźwięk wywołany przez wiatr – szybko przelatujące powietrze, śpiewające w napiętych linach łodzi – i obejrzałem się na towarzyszy, niepewny, czy tylko ja to słyszę. Kiedy dźwięk zrobił się jeszcze głośniejszy, uświadomiłem sobie, że nie jest to pojedynczy ton, lecz cała gama współbrzmiących nut, każda o nieco innej wysokości. I wtedy zrozumiałem. Foki! To foki robiły ten hałas, setki fok, które polegiwały na każdej skale i na każdym obwieśzonym wodorostami szkieście w zatoce oraz na jej wygiętym w łuk brzegu. Wydawały dźwięk bezwiednie, jak pszczoły albo woda. Były w różnych kolorach: szare, czarne, białe, płowe, lisiorude i skórzastobrązowe. Kiedy minęliśmy z bliska trzy mniejsze samice, zauważyłem, że ich futro jest elegancko pocętkowane.

Małym wiosłowym pontonem John dowiózł mnie w półmroku na kamienistą plażę. Ruszyłem samotnie przed siebie po wąskim południowo-zachodnim ramieniu wyspy, pośród foczego chorału, szukając miejsca na nocleg.

Wyspa nazywa się Ynys Enlli, co znaczy Wyspa Prądów. Nazwa nie wzięła się znikąd, ponieważ wokół Enlli ścierają się silne prądy pływowe. Prąd pływowy powstaje, kiedy przypływ lub odpływ gwałtownie wypycha wody w kanał. W prądach pływowych, szczególnie tam, gdzie zbiega się ich więcej, morze zachowuje się nieobliczalnie. W momencie przesilenia pływu jest gładkie i spokojne, ale kiedy zaczyna się odpływ, woda kipi i powstają podwodne skłębione prądy. Tam, gdzie na siebie wpadną, fale stają dęba jak płetwa rekina i wyrzucają strumienie bąbelków, jakby poruszone zostało samo dno morza. Prądy pływowe mogą sięgać również na otwarte wody. Gdy prąd trafi na cypel, jak dzieje się w przypadku półwyspu Lleyn, odbija się od niego i zmienia kierunek. To, jak daleko sięgnie, zależy od

Przed wyjazdem na Enlli zaznaczyłem na mapie znane trasy i miejsca lądowań tych migrantów i otrzymałem splątany wzór, który łączył najdalsze do dzisiaj obszary Wielkiej Brytanii i Irlandii. Celtycko-chrześcijańska kultura wycofywania się w odosobnienie wywodzi się z Irlandii V i VI w. Zapoczątkował ją św. Patryk w latach 30. V stulecia, a inspirowana ojcami pustyni z wcześniejszych czasów praktyka rozprzestrzeniła się na obecną zachodnią Szkocję i wybrzeża Walii: siła odśrodkowa wypychała ludzi na obrzeża Europy i jeszcze dalej.

Jest rzeczą zrozumiałą, że te odległe rejony odwzajemniały łagodność i ascetyzm peregrini. Ich podróże do dzikich miejsc odzwierciedlały tęsknotę za osiągnięciem harmonii między wiarą a miejscem, między krajobrazem wewnętrznym a zewnętrznym. (...)

horyzoncie nic nie przyciąga ani nie zatrzymuje oka, mnisi mogli bez przeszkód rozmyślać o wieczności.

We wrześniu 1910 r. Bernard Shaw przyptął na Skellig tódzią wiosłową. Podróż trwała dwie i pół godziny po spokojnym morzu. Powrót był dłuższy i bardziej nerwowy. W gęstej mgie i po ciemku, bez kompasu, bez księżyca, walcząc z prądami pływowymi, przewodnicy Shawa wiosłowali, polegając wyłącznie na instynkcie i znajomości akwenu. Następnego dnia wieczorem przy kominku w hotelu Parknasilla w Sneem Shaw napisał list do przyjaciela, Barry'ego Jacksona, o swoich przeżyciach na Skellig Michael. „Powiadam ci, że to miejsce nie należy w ogóle do świata, w którym ty i ja żyjemy i pracujemy: to świat ze snów, (...) jeszcze teraz trudno mi wrócić do rzeczywistości!”. Shaw, podobnie jak mnisi, którzy niegdyś tu mieszkali, uważał, że nigdzie indziej nie da się myśleć w taki sposób jak tu. Było to miejsce idealne do zatapania się w marzeniach.

Arcyciekawe okazuje

się bliższe zbadanie morskich podróży, które podejmowali peregrini. Mielśmy trudności z dopłynięciem do Ynys Enlli oceanicznym jachtem długim na 33 stopy. W drodze powrotnej ze Skellig Shaw bał się o swoje życie, mimo że płynął całkiem przyzwoitą łodzią. A jednak mnisi jakoś dostawali się na Skellig i wyruszali w dłuższe, bardziej ryzykowne podróże – na Islandię, Grenlandię, przez wzburzone wody północnego Atlantyku – w o wiele lichszych i bardziej chybottliwych łodziach. (...)

O zachodzie słońca, tuż przy wierzchołku południowego ramienia Enlli, przeszedłem przez pole uschniętego zawciągu, niedużej rośliny, która doskonale sobie radzi na zasolonym morskim brzegu. Po wodzie niesło się od południa krakanie odlatujących kormoranów. (...) Rzuciłem okiem na główny ląd. O zmierzchu rysował się tylko jako cienka kreska na horyzoncie. Mnisi mogli odpływać łodziami z zatoczek półwyspu. Nawet teraz, latem, w złą pogodę, trzeba czasem poczekać

Ynys Enlli, jak wiele innych wysp i bagien na wschodnich i zachodnich wybrzeżach Wielkiej Brytanii, jest azylem dla ptaków wędrownych.

szybkości prądu: szybki prąd może utworzyć groźną odnogę nawet długości kilku mil. (...)

Ynys Enlli należała do wielu odległych miejsc przy zachodnich i północno-zachodnich wybrzeżach Wielkiej Brytanii i Irlandii, zasiedlonych między 500 a 1000 r. n.e. W owym czasie dochodziło do niezwykle intensywnych migracji. Mnisi, pustelnicy, samotnicy i inni pobożni wędrowcy zaczęli przemieszczać się masowo do zatok, lasów, na przylądki, górskie szczyty i wyspy w przybrzeżnej strefie Atlantyku. W nędznych łodziach, bez doświadczenia w sztuce żeglowania wypływali na niebezpieczne wody w poszukiwaniu dzicy, jakbyśmy to dziś określili. Tam, dokąd ich poniosło, budowali klasztory, pustelnie i oratoria, zakładali cmentarze dla zmarłych i wznosili kamienne krzyże dla swojego Boga. Tacy wędrowcy znani byli jako peregrini: nazwa pochodzi od łacińskiego słowa *peregrinus* i przekazuje ideę przemieszczania się na duże odległości. Stąd wzięło się nasze słowo „pielgrzym”.

Od samych początków celtyckiego chrześcijaństwa Ynys Enlli była znanym celem peregrini i przypuszcza się, że pierwszy klasztor zbudowano tu w V w. Mimo trudnego dostępu wyspa zalicza się do najmniej odległych mnisich siedlisk. Trzeba się zastanowić, jak mnisi docierali do miejsc takich jak Garvellochs – wyspy u wybrzeży Argyll, gdzie ponad 1000 lat ludzie mieszkali w skupiskach kamiennych chat w kształcie uli, stawianych bez zaprawy – czy też Skellig Michael – skalistym zębie, który na 700 stóp wyrasta z Atlantyku dziewięć mil na zachód od wybrzeża Kerry. Do najwyższych zboczy Skellig Michael uczeplone zostały cele zbudowane na skale przez mnichów, którzy wyładowali tu w szóstym stuleciu. Cele, przeznaczone do pokuty i medytacji, zwrócone są frontem do Atlantyku. Niżej skała opada tak gwałtownie i stromo, że patrzącemu trudno sobie wyobrazić, że stoi na lądzie, a nie unosi się w powietrzu nad morzem. Tutaj, z widokiem na rozpościerający się ocean, gdzie na pustym

dwa, trzy dni, zanim pojawi się możliwość przedostania na wyspę. Zimą, kiedy szaleją sztormy, Enlli może być niedostępna całymi tygodniami. Mnisi musieli mieć doskonałe wy-czucie czasu. (...)

100 jardów od czarnych skał cypla, który wyznaczał koniec półwyspu, zacząłem szukać miejsca na nocleg. Nocne powietrze dźwięczało fłażoletami ostrzygojadów i zawrotem mew. Czułem podekscytowanie przebywaniem tu, w ciemności, pośród ptaków i z morzem, które falowało i chlupało dookoła. Teren był nierówny i opadał do grupki skał, porożrywanych szczelinami, które wydrążyły wielkie fale. W końcu znalazłem miejsce, gdzie mogłem się przespać: długi na wysokość człowieka spłachetek trawy na tarasowym brzegu, nad głęboką gardzielią wąskiej zatoczki. Brzeg opadał lekko do wewnątrz, więc nie było niebezpieczeństwa, że się stoczę we śnie. Rozpoznawałem sylwetki fok pływających w wodzie. Nade mną przesunął się snop reflektorów latarni, długie cienie pasma światła biegnące w ciemność w powolnym, powtarzalnym żółtym obrocie. Było dość ciepło, więc nie potrzebowałem worka biwakowego, który miałem ze sobą, wystarczyło rozłożyć matę i spiwór na trawie.

Hałas zaczął się o północy, albo przynajmniej wtedy mnie obudził. Ptaki opadały z nieba nade mną, krzyczały przy tym wniebogłosy i zostawiały za sobą podczas tego opadania zakrzywioną trajektorię dźwięku. Słyszałem, jak z głuchym łupnięciem lądują wokół mnie. Co parę sekund jeden z gwałtownie opadających ptaków wpadał w snop światła obracającej się latarni, pionowe przecinało poziome. Zaczynałem je dostrzegać, tu i tam, podświetlony na mgnienie oka kontur – ptaki o wąskich i ostro zakończonych skrzydłach, wyrastających z masy kulistych korpusów, tak że nawet gdy znikły, moje oko zachowywało obraz ich rozmytych sylwetek.

Burzyki. Oczywiście, to były burzyki. Długodystansowi i długowieczni wędrowcy, budują gniazda w norach i wylatują z nich dopiero pod

osłoną zmroku. Ich nazwa wywodzi się od niskiego lotu w zaburzonym powietrzu nad falami, przez co często pojawiają się w obszarach złej pogody. Najdłuższy zarejestrowany przelot ślizgowy burzyki z Man wynosił 1,5 mili. Imponujące są również odległości, na jakie pielgrzymują. W ciągu jednego dnia potrafią pokonać 200 mil. Kiedy kończy się pora lęgowa, kierując się odruchem, który pozostaje poza zasięgiem naszego pojmowania, burzyki z Enlli pokonują tysiące mil, żeby resztę roku spędzić na południowym Atlantyku.

Ynys Enlli, jak wiele innych wysp i bagien na wschodnich i zachodnich wybrzeżach Wielkiej Brytanii, jest azylem dla ptaków wędrownych. Setki gatunków zatrzymują się tu podczas poszukiwania spokojnych żerowisk. Fale i strumienie ptaków przemieszczają się sezonowo na północ i południe, rozpraszają i wracają, łącząc ze sobą jedno odległe miejsce z drugim.

Około drugiej w nocy burzyki przycichły. Leżałem w spokojnej ciemności i patrzyłem na milcząco krążący w górze snop światła, aż znów zapadłem w sen.

Obudziłem się o świcie. Morze oddychało kojąco na południe ode mnie. Było perłowe, z nisko unoszącą się nad powierzchnią lekką mgłą. Niebo było blade, z prześwitami błękitu. Chlupot wywoływany przez czarnogrzebiete, nurkujące 50 jardów dalej mewy brzmiał jak odgłos kamieni wrzucanych do wody. Usiadłem i zobaczyłem, że kilkadziesiąt małych, szarobrazowych ptaków rozlokowało się na skałach wokół mnie i wypełniło powietrze wysokim piskiem rodem z placu zabaw. Świergotki. Zerwały się do lotu, kiedy się poruszyłem. (...)

Dwie wielkie foki wylazły na skały w najodleglejszym miejscu gardzieli. Obserwowały mnie, a kiedy się do nich zbliżyłem, zaczęły spełzać ze swoich grzęd. Potem ześlizgnęły się do morza, obróciły na plecy i popłynęły przez wylot zatoczki, gapiąc się na mnie. Obie zanurkowały. Jedna zniknęła, druga wynurzyła się obok mnie, gruba głowa wychynęła

z wody jak peryskop. Wielkie błyszczące oczy spoczęły na moich, wpatrywała się we mnie ze skupieniem. Patrzyliśmy tak na siebie przez jakieś dziesięć sekund. Potem zwierzę zanurzyło z pluskiem głowę, jakby chciało ją optukać, i znikło.

Foki od dawna występują w folklorze obrzeży Atlantyku jako posiadaczki niezwyklej podwójnej natury: stworzenia pośrednie, pół ludzkie, pół morskie. W latach 40. XX w. pisarz David Thomson podróżował po nadmorskich społecznościach zachodniej Irlandii i Szkocji i zbierał przekazy na temat fok. Gdziekolwiek trafił, słyszał identyczne historie: o tym, że foka może spojrzeniem rzucić na kogoś urok i zatrzymać przy sobie taką osobę; o tym, że foki wychodzą z morza i stają się ludźmi, a ludzie wślizgują się w skóry fok. Foka była żywym przypomnieniem, jak blisko jest człowiekowi do zwierząt i naszych wodnych przodków. „Łądowe zwierzęta mogą odgrywać swoje role w legendach – podsumował Thomson w książce, którą napisał o podróży – ale żadne z nich, nawet zając, nie wywiera takiego dziwnego wpływu na ludzki umysł jak foka”.

Wiele się zmieniło od czasów peregrini. Plastikowe śmieci pływają w zatoczkach i wyłobieniach Enlli. Motorówki z rykiem przecinają wody obok wyspy. Były problemy ze ściekami zrzucanymi do Morza Irlandzkiego z walijskich miast przybrzeżnych oraz z zanieczyszczeniem chemicznym, sprawiającym w niektóre dni, że woda pieniała się na skałach jak szampon. I ja nie przetrwałbym na wyspie mnichów, nie wytrzymałbym zapewne nawet miesiąca – zew miasta, mojej codzienności, potrzeba biblioteki, luksusu, komunikacji, różnorodności. Coś jednak zostało z tego, co przyciągało tu peregrini przed wiekami i wydawało mi się słuszne, by zacząć moje podróże w miejscu, gdzie w przeszłości ludzie żyli w zgodzie z dziką naturą.



Fragmenty książki Roberta Macfarlane'a *Dziki Miejsca*, przeł. Katarzyna Bażyńska-Chojnacka, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2024



Co cię nie zabije, to cię urodzi

Kiedy robi się naprawdę ciężko, szukamy sposobów na ucieczkę od tego, co boli – uciekamy od żałoby, lęku czy złości

Joanna Chmura

Są takie powiedzenia, które niepostrzeżenie stają się dla nas obowiązującym paradygmatem, według którego zaczynamy żyć. Czasem mogą być wspierające, a czasem blokujące. Które będzie nam służyło, a które nie, zależy już od tego, kto nam to powie, jak to w nas wyląduje i z czym się skojarzy. Jednym z takich powiedzeń, które mogą być rozumiane dwojako, jest słynne: co cię nie zabije, to cię wzmocni. W skrócie mówi tyle, że każde wyzwanie, z którym się zmierzmy, może nam dodać sił. Jeśli przeżyjemy jakąś trudność, małego czy wielkiego kalibru, to znaczy, że nie umarliśmy. A to sprawia, że dzięki tej sytuacji staliśmy się mocniejsi.

Czyżby? Zgadzam się z tym, że wszystko, co nam się przydarza, ma na nas wpływ. Wszystko ma też potencjał, żeby nas wzmocnić, jednak najpierw coś nieuchronnie będzie musiało umrzeć, skończyć się, domknąć.

Metaforycznie rzecz ujmując, wierzę, że jakaś forma naszej śmierci jest niezbędna do rozwoju, do zmiany, do wzrostu. Bo np. jeśli chcemy się nauczyć stawiać granice, to musimy się pożegnać z taką częścią nas, która bardzo chciała zadowalać wszystkich i zawsze – właśnie o takiej śmierci mówię. Na podstawie moich własnych przeżyć, ale i opowieści osób, z którymi pracuję, wiem, że każde trudne doświadczenie sprawia, że dzieje się to jednocześnie. W sytuacjach zmiany, wyzwań, trudności jednocześnie umieramy i rodzimy się nowi.

Kiedy ktoś zwalnia nas z pracy, to ta część nas, która marzyła o poczuciu bezpieczeństwa i spokoju, musi teraz umrzeć, a na jej miejsce potrzebuje się narodzić nowa, która niezależnie od biegu wydarzeń sprawi, że damy sobie radę. Kiedy przeżyjemy zdradę, to część w nas ufająca bezgranicznie musi umrzeć, żeby narodziła się ta, która po takim doświadczeniu będzie umiała wybaczyć albo odejść z tej relacji. Kiedy zachorujemy my albo ktoś nam

bliski, musi umrzeć w nas ta część, która wierzyła w wieczne zdrowie i „nieśmiertelność”. A w jej miejsce musi się narodzić ta część, która akceptuje przejściową albo stałą niedoskonałość ludzkiego ciała oraz to, w jaki sposób trzeba się z nim teraz obchodzić. (...)

W tym procesie trudne jest to, że czasem musimy pożegnać te części siebie, które kochamy całym sercem i których śmierci wcale nie chcemy. (...) Jak pisze Edith Eger: „Każda trudna historia niesie za sobą wybór”. Ona wie, co mówi, bo przeżyła Holocaust, jedną z największych zbrodni w historii ludzkości. W książce „Wybór” wyjaśnia, że do nas należy decyzja, w jaki sposób i z jaką postawą spędzimy życie po przeżytej traumie. „Albo możemy kierować naszą uwagę na to, co straciliśmy, albo na to, co wciąż mamy”. Po naszej stronie jest więc decyzja, czy kroczyć przez życie, trzymając się kurczowo historii, czy puszczamy wyobrażenia tego, czego już nie ma, i otwieramy się na to, co wciąż jest możliwe.

Niestety, łatwiej przychodzi nam skupianie się na braku, pustce, deficycie. Prędzej kierujemy umysł tam, gdzie boli, niż tam, gdzie jest dobrze. Dlaczego? Robimy tak z wielu powodów. Z jednej strony to ewolucyjnie uzasadnione, bo musimy być czujni wobec potencjalnych zagrożeń. Nic więc dziwnego, że wytyżamy wzrok i słuch. Czasem robimy tak dlatego, że to jedyny stan, jaki znamy – bezpieczniej czujemy się w bólu niż szczęściu. Przykładem takiego sposobu na życie jest ciągłe narzekanie i widzenie samych deficytów. Nie jest to życie szczęśliwe, ale przynajmniej nic złego mnie nie zaskakuje, bo nie spodziewam się niczego dobrego.

Czasem robimy to dlatego, że bycie w tej niewygodzie daje nam możliwość bycia jednocześnie w centrum uwagi, bo perspektywa „ofiary” niesie pewne korzyści. Kiedy jesteśmy „tacy biedni”, to częściej otrzymujemy wsparcie, zaangażowanie i pomoc innych. To są te sytuacje, gdy ktoś w rodzinie ma wyraźnie gorzej, potrzebuje pomocy i jest niezaradny, a wtedy cała reszta mobilizuje się do pomagania jemu czy jej. I jednorazowo jest to niegroźne, a nawet korzystne, gorzej, gdy staje się sposobem na życie. Zdarzają się wśród nas osoby, którym ciągle będzie trudno, ciągle pod górkę, ciągle źle, a wtedy ta pomoc ma charakter stały, a oczekiwanie na nią jest sposobem funkcjonowania, a nie wyjątkiem od niego.

Prędzej kierujemy umysł tam, gdzie boli, niż tam, gdzie jest dobrze.

Ciągłe patrzeć i „kontaktowanie się” z tym, co nas boli, co jest trudne, niewygodne, na dłuższą metę bywa wykańczające. Kiedy robi się naprawdę ciężko, szukamy sposobów na ucieczkę od tego, co boli – uciekamy od żałoby, lęku czy złości. Naszym schronieniem stają się wtedy używki, relacje, seks, pracoholizm, ciągłe pomaganie innym itd. Mamy całą baterię sposobów na to, żeby odciąć się od uczucia. Znamy te historie? Kiedy robi się trudno w relacji, to zaczynamy nagle więcej pracować. Albo kiedy

mamy problem ze złością, to zaczynamy więcej jeść. (...)

Problem polega na tym, że kiedy przestaniemy jeść, pić albo pracować 100 godzin tygodniowo, to i tak spotkamy się oko w oko z tym, przed czym uciekaliśmy/uciekałyśmy. Czyli niewygodnymi i konfrontującymi nas ze status quo emocjami: żalobą, lękiem czy złością. Może w efekcie tej refleksji trzeba będzie popatrzeć na relację, w której jesteśmy, i zobaczyć, czy ona mi służy, albo czy praca, której oddaliśmy 20 lat życia,

Po naszej stronie jest decyzja, czy kroczyć przez życie, trzymając się kurczowo historii, czy otwieramy się na to, co wciaż jest możliwe.

nas nie wykańcza. Tyle że to pociągałoby konieczność zmiany, a tej się często boimy w naszym poukładanym życiu, więc próbujemy odwracać wzrok.

Co ciekawe, świadomość tego, że nie da się od tych trudności uciec, bo alkohol nie zabierze problemów, praca nie da mi miłości, a jedzenie nie uśmierzy bólu, wcale nie przeszkadza nam marzyć o tym, że być może istnieje ktoś lub coś, co uleczy ten ból przeszłości raz na zawsze. Wierzymy, że robi to jakaś osoba, używka albo działanie. Na krótką metę być może to nawet jest możliwe, ale na dłuższą – z pewnością doprowadzi do jakiejś formy uzależnienia. (...) Niestety, ani uciekanie

od konieczności konfrontacji nie ma sensu, ani tkwienie w tym nie przyniesie ulgi. Co w takim razie robić? Do zdrowienia poprowadzą nas trzy kroki.

- Pierwszy krok to **dostrzeżenie i zaopiekowanie rany**. Chodzi o zobaczenie tego, co się wydarzyło. Uświadomienie sobie sytuacji, kontekstu, zasobów, osób, które są tego częścią. Na przykład dostrzeżenie, że poziom stresu wynikający z odpowiedzialności w tej nowej roli jest większy niż moja zdolność radzenia sobie z nim, i pogodzenie się z tym,

że może sobie już z tym nie radzę i potrzebuję pomocy.

- Drugi krok to **zaakceptowanie, że dokładnie takie to jest/było**. Oznaczałoby to zrozumienie, że to, jak na to reaguję, nie jest ani dobre, ani złe, i powiedzenie sobie wprost: nie radzę sobie, boję się, nie umiem nad tym zapanować.

- Ostatni, trzeci krok to **wyciągnięcie lekcji z tych doświadczeń i pójście z nimi w przyszłość**. Ten krok zakłada autorefleksję – zastanowienie się, z czego to wynika, czego

mi brakuje i czego potrzebuję. Bo może potrzebuję zmiany pracy, a może wcale nie, tylko potrzebuję zmienić swoje podejście do niej. Jedno i drugie to krok do potężnej zmiany. Z kolei brak odpowiedzi na pytanie: czego mnie to uczy?, nie zaprowadzi nas w miejsce zdrowienia.

(...) Skupienie się na tym, jak możemy wyciągnąć lekcje z trudnych doświadczeń, i nietkwienie w nich to kompetencje na wagę złota.

Zdaję sobie sprawę, że łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Sama sobie to mruczę pod nosem, pisząc te słowa. Mruczę nie tylko dlatego, że pięć lat studiów i niezliczone godziny szkoleń potwierdzały, że te trzy kroki to jedyna droga. Mruczę też jako dziewczyna, która uwierzyła, że jedzeniem uśmierzy w sobie ten ból niewygody, napięcia, lęku. Wierzyłam w to przez długie 10 lat.

Brené Brown mówi, że w procesie pracy wewnętrznej trzeba uważać na coś, co nazywamy *comparative suffering*, czyli porównywaniem cierpienia. To taka pułapka w stylu „kto miał gorzej”, która nikomu i niczemu nie służy, bo zestawianie ze sobą trudnych historii nie przynosi ulgi żadnemu z bohaterów tych historii. Są tu dwie opcje, bo albo będziemy mówić o swojej ścieżce, jakby ta była najtrudniejsza, i nikomu nie damy prawa do przeżywania swojej. Myślimy wtedy: nic tak nie boli jak moja historia. Nikt nie wie, jak to jest ▶

► ciężko, bo nikt nie ma tak jak ja. Albo wpadamy w takie myślenie: to ja się nie będę odzywać i mówić, bo moje doświadczenie w obliczu innych to przecież nic takiego.

Jedno i drugie jest blokujące dla prawdy, która potrzebuje wyjść na zewnątrz, żeby mogła zostać uleczone. Skoro coś kogoś zraniło i bolało, to znaczy, że zraniło i bolało. Twierdzenie, że nie powinno było aż tak boleć, bo czyjaś historia jest bardziej bolesna, naprawdę nie ma sensu. Tragedii, traum, rozpacz nie ma sensu porównywać.

Bezpieczniej czujemy się w bólu niż w szczęściu. Przykładem takiego sposobu na życie jest ciągle narzekanie i widzenie samych deficytów.

Chodzi o to, żeby nie robić jak w tej piosence Kazika Staszewskiego „Twój ból jest lepszy niż mój”. Każdy ma jakieś swoje „piekło” i każdy ma swoje „niebo”, uszanujmy to.

A skoro o piekło mowa, to nie wiadomo dokładnie, skąd się biorą, jak zaczynają i co jest dokładnie przyczyną zaburzeń odżywiania. W procesach terapeutycznych czasem można wskazać ich prawdopodobne źródła, ale próżno szukać tego jednego. Myślę, że przyczyn pojawienia się akurat tej choroby w moim życiu można się dopatrywać w wyśrubowanych oczekiwaniach społecznych co do kobiecego ciała, w poczuciu niskiej wartości, zmianie szkoły, zmieniającym się ciele, niezintegrowanej kobiecości, wyznawanej religii, relacjach w domu i tych w szkole.

Moja droga przez anoreksję i bulimię prawdopodobnie zaczęła się na obozie tanecznym w Krynicy-Zdroju w 1997 r. Trenowałam wtedy taniec towarzyski, który kochałam. (...) Co roku w wakacje mieliśmy wyjazdowy obóz taneczny. Wyjeżdżały na niego zazwyczaj dwie grupy: początkująca i zaawansowana, czyli młodszy i starsi. Mieliśmy więc okazję, my początkujący, obserwować treningi tych bardziej doświadczonych. Pamiętam, że fascynowały mnie dziewczyny ze starszej grupy. Wydawały mi się takie piękne, smukłe, zdolne. (...) Podczas wspólnych posiłków w stołówce

przyglądałam się, co robią, co jedzą, jak jedzą. Ku mojemu zdziwieniu zauważyłam, że jedzą zdecydowanie mniej niż ja, a nawet część swoich porcji oddawały chłopakom. Nigdy wcześniej nie zwracałam na to uwagi, bo po prostu jadłam tyle, ile chciałam. A ponieważ chciałam wyglądać jak one i odnosić sukcesy w tańcu jak one, to naśladowałam je także przy stole. To był moment, w którym zaczęłam jeść mniej.

Po powrocie z obozu zauważyłam, że ubrania, w których chodziłam, zrobiły się trochę luźniejsze,

co mnie ucieszyło. Otoczenie również dostrzegło spadek tych 2-3 kg i posypały się w moim kierunku komplementy. Co rusz ktoś mówił, że super wyglądam. Zdziwiło mnie, że tak wiele osób zwróciło na mnie uwagę, i jednocześnie muszę przyznać, że spodobało mi się to. Dostawałam dużo pochwał, sygnałów akceptacji i podziwu – w języku analizy transakcyjnej doświadczałam tak zwanych znaków rozpoznania. Ktoś mnie widział i chwalił – a to bardzo słodki koktajl. Szybko złapałam haczyk,

dla rodziców patrzeć na powolną i w jakimś sensie dobrowolną śmierć własnego dziecka. Ta bezsilność musi być nie do zniesienia. (...) Rodzice radzą sobie, jak potrafią. Wiem, że są tacy, którzy złością się na dzieci. Są tacy, którzy chcą bardzo pomóc i próbują je karmić, niektórzy wręcz wmuśzając jedzenie. Moi spytali mnie, co mogą zrobić. Przyszedł mi do głowy zupełnie odjechany pomysł. Powiedziałam, zupełnie nie wierząc, że to możliwe, że chciałabym wyjechać do USA i pomieszkać tam. (...)

Kilka miesięcy później wyjechałam do USA, do Kalifornii. Był to międzynarodowy program nauki języka angielskiego. Miałam chodzić do amerykańskiej szkoły i mieszkać u rodziny amerykańskiej. Trafiłam do cudownych ludzi. Nikt się nie martwił, że jestem za chuda, nie kazał mi niczego jeść ani nie kontrolował tego, co znikam albo nie z mojego talerza. Mogłam po prostu być sobą. To był moment, w którym umarła ta część mnie, która wierzyła, że poczucie własnej wartości, akceptację i życzliwość zdobywa się przez utratę kilogramów, a zaczęła się rodzic ta, która – choć miała jeszcze bardzo długą drogę przed sobą – już wiedziała, że istnieje świat, w którym jest uważność, czułość i akceptacja niezależnie od tego, ile ważysz i jak wyglądasz.

Skoro coś kogoś zraniło i bolało, to znaczy, że zraniło i bolało. Twierdzenie, że nie powinno było aż tak boleć, nie ma sensu.

którego potem długo nie mogłam, a właściwie nie chciałam puścić. Wyrobiłam w sobie przekonanie, że kiedy chudnę, to mnie dostrzegają, więc jeśli jeszcze trochę schudnę, to tej uwagi będzie jeszcze więcej. (...) Wzięłam sobie to tak bardzo do serca, że w ciągu 12 miesięcy z początkowej wagi 60 kg zeszałam do 39 kg. Obsesja na punkcie kilogramów, wyglądu i jedzenia, a raczej niejedzenia, sprawiła, że anoreksja chwyciła mnie w swoje szpony. Wtedy oczywiście tego nie rozumiałam. (...)

Z perspektywy dorosłej osoby, którą jestem dzisiaj, trudno mi sobie wyobrazić, jakie to jest przeżycie

Pamiętam, że któreś nocy długo nie mogłam zasnąć. Wstałam więc z łóżka i poszłam do salonu. Włączyłam cichutko telewizor i gapiałam się w ekran, przerzucając dziesiątki kanałów telewizyjnych. Nagle poczułam głód, co było u mnie stałym uczuciem. Ale tym razem nie zrobiłam tego, co zawsze, czyli go nie stłumiłam, wciskając rękami żołądek do środka i badając dłońmi obwód pasa – żeby się upewnić, że nadal jestem szczupła. Wstałam i poszłam do lodówki, a z niej wyciągnęłam lody. Jadłam je najpierw powoli, a potem coraz szybciej i szybciej. Pochłaniałam je tak łapczywie, że mnie samą

to przeraziło. Miałam wrażenie, że jedząc kolejne łyżki lodów, chcę się nakarmić tym, czego tam doświadczałam. Obecnością fajnych dorosłych, uważnością i ciepłem, akceptacją. Tamta pierwsza noc z lodami była jedną z ważniejszych w moim życiu, bo wtedy zaczęła się moja 10-letnia walka z bulimią. (...)

Bulimia to podstępna choroba, która zabiera poczucie kontroli, sprawstwa, zaufania do siebie. Kradnie wiarę w to, że kiedyś uwolnisz się od jedzenia, które kontroluje twoje życie. Bulimia z czasem doprowadziła mi swoją przyjaciółkę – depresję. Rozregulowany system neuroprzekazników zaowocował spadkiem nastroju do tego stopnia, że mój świat zrobił się czarny. W którymś momencie trzymały mnie w kleszczach już dwie siły: bulimia i depresja. Zdrowienie trwało przez całe liceum, całe studia i kilka lat życia dorosłego. Długo czas pracowałam terapeutycznie, odzyskując stopniowo wewnętrzną wolność, normalną relację z jedzeniem i budując akceptację siebie. Zrozumiałam, że to poważna choroba i ignorowanie jej nie pomoże mi wyzdrowieć. Doszło do mnie, że jest mechanizmem zastępczym, którym próbuję sobie poradzić między innymi z najtrudniejszymi dla mnie emocjami: złością, smutkiem, żalem. I że, choć potworna, była moim sposobem na poradzenie sobie z trudnością wyznaczania granic i dbania o siebie. (...)

Dziś już wiem, że obydwie te choroby były wołaniem o pomoc. Używając tych zgubnych narzędzi, próbowałam radzić sobie z moim życiem. Zabierały mi wolność, jednocześnie dając iluzję kontroli nad rzeczywistością. (...)

Co cię nie zabije, to cię wzmocni? Moja własna metaforyczna śmierć, śmierć tej części mnie, która chorowała, która nie widziała nadziei, wymusiła narodziny tej, która już wie, że można inaczej. Narodziła się osoba, która ma pewność, że cokolwiek by mnie spotkało, to sobie poradzę, a jak sobie nie poradzę, to poszukam wsparcia. I która w momentach słabości już się nie chowa, nie wstydzi i nie udaje z lęku przed oceną, tylko staje przed drugim człowiekiem

i mówi: potrzebuję pomocy, potrzebuję pogadać, potrzebuję popłakać.

W procesie zdrowienia bardzo istotne jest otaczanie się osobami, którym ufamy, z którymi czujemy się bezpiecznie i które w razie potrzeby dadzą nam pomocną dłoń. To często wymaga od nas przetasowania naszej aktualnej społeczności, bo nie ze wszystkimi będzie nam po drodze. Chodzi również o to, żeby wśród swoich mieć ludzi, którzy będą dla nas inspiracją do własnej zmiany, że ich droga jest dla nas podpowiedzią i paliwem nadziei, że zmiana jest nie tylko możliwa, ale też wcale nie taka odległa.(...)

Jeśli chcemy się nauczyć stawiać granice, to musimy się pożegnać z taką częścią nas, która bardzo chciała zadowalać wszystkich i zawsze.

Nasze śmierci i narodziny mogą wynikać z wielu różnych doświadczeń. Mogą być chciane i niechciane. Mogą być takie, na które jesteśmy gotowi, i takie, które nie są dla nas najprzyjemniejsze. Jakiegokolwiek by one były, opór wobec nich sprawia, że trwają dłużej niż to konieczne do dalszego rozwoju. (...)

W mojej historii musiałam doświadczyć dwóch śmierci. Jedną oznaczała pochowanie tej części mnie, która tak bardzo chciała być akceptowana i lubiana przez wszystkich. A na jej miejsce musiała się narodzić ta, która wie, że nie wszyscy będą się z nią zgadzać, lubić ją i akceptować – i to też jest okej, da się z tym żyć. Dlatego ta nowa część uczyła mnie, jak radzić sobie z rozczarowaniem, żalem czy złością innych. To taka część, która mówi: okej, ta osoba ma prawo czuć złość, a ty masz prawo odmawiać i nie musisz nikogo uszczęśliwiać. (...)

Kolejna śmierć, którą przeszedłam, to była śmierć tej części mnie, która próbowała radzić sobie z niewygodnymi emocjami w niezdrowy sposób. Ja używałam do tego jedzenia, ale używki mogą być też inne. Możecie sięgać po alkohol, seks, internet, leki, pracoholizm, a nawet sport

i religię. Wszystkiego możemy używać do otepiania uczucia i do unikania spotkania z tym, co dla nas trudne, niewygodne, czy zwyczajnie z tym, z czym nie nauczyliśmy się radzić sobie inaczej. Musiałam tej części mnie pozwolić odejść. (...)

Moja wewnętrzna obrończyni próbowała mnie chronić przed odczuwaniem złości w obliczu naruszanych granic emocjonalnych i fizycznych. Wykształciła dla mnie niezdrowy, ale bezpieczny dla kontekstu, w którym wtedy żyłam, sposób radzenia sobie z tym, z czym nie umiałam sobie poradzić inaczej. Nasze mechanizmy obronne, choćby

były nie wiadomo jak szkodliwe dla nas, jak sama nazwa wskazuje powstały, żeby nas bronić, żebyśmy mogli w tych warunkach, w których przyszło nam żyć, przetrwać. (...)

To, co musiałam zrobić, to zrozumieć, że anoreksja, a potem bulimia wykształciły się we mnie, żeby mnie chronić. Dla innych osób na przykład zamrażanie uczuć albo niewchodzenie w relacje również mogło przez lata stanowić znakomitą strategię chroniącą przed bólem, zranieniem czy zdradą. Ale w dorosłości te strategie są już często szkodliwe dla naszych marzeń, potrzeb i tęsknot. W procesach terapeutycznych chodzi więc o to, żeby rozpoznać, jak ta część chciała mnie chronić, przed czym i czy nadal spełnia swoją funkcję. Jeśli nie, a w moim wypadku zaburzenia odżywiania już mi nie „służyły”, potrzebowałam się nauczyć radzić sobie inaczej. Powolutku odstawiałam tę obronną część na bok, w zamian zyskując dostęp do części, która wiedziała, że poradzimy sobie z emocjami, ale już nie za pomocą jedzenia.



Fragmenty książki Joanny Chmury
To nawet lepiej. Jak obracać trudności w szansę, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2024

Znów poczuć zapach kawy

W czasie wizyt kontrolnych pacjenci podkreślali, że nareszcie mogą oddychać przez nos, wrócił im węch

Panie profesorze, czy mówiąc o polipach nosa, używamy nazwy zwyczajowej czy medycznej?

– To nazwa medyczna. Polipy nosa to bardzo dokuczliwa dolegliwość, występująca stosunkowo często, bo prawie u 4% populacji, najczęściej u osób w wieku ok. 40 lat.

Skąd się bierze ta choroba?

– Mechanizm jej powstawania nie jest jeszcze do końca dokładnie poznany. Na pewno wiemy, że są to zaburzenia immunologiczne, pewne mechanizmy alergiczne bądź nieprawidłowa reakcja na przebyte infekcje bakteryjne. Znamy trzy takie mechanizmy zapalenia i wszystkie mogą odpowiadać za występowanie przewlekłego zapalenia błony śluzowej nosa i zatok przynosowych z polipami.

Teraz powinno chyba się pojawić słowo eozynofile...

– Zgadza się. Astma, alergiczny nieżyt nosa czy atopowe zapalenie skóry – wszędzie tam mamy do czynienia z nadmiarem eozynofili.

Z jakimi objawami muszą się mierzyć pacjenci chorujący na polipy nosa?

– Polipy nosa dają bardzo przykre dolegliwości, znacznie obniżające jakość życia. Przede wszystkim blokują nos, co utrudnia oddychanie. Do tego dochodzą zaburzenia, a nawet całkowita utrata węchu, czasem także smaku. Okazuje się, że polipy nosa bardziej negatywnie wpływają na komfort życia niż cukrzyca lub nadciśnienie.

Gdy lekarze mówią o polipach nosa, bardzo często w tle pojawiają się alergię, astmę i astmę ciężką.

Skąd bierze się ta zależność?

– Jedną z podstawowych przyczyn wielu chorób zapalnych w drogach oddechowych, w tym rozwoju astmy oskrzelowej, jest zapalenie immunologiczne, zapalenie typu drugiego. Występuje w niemal 80% jej przypadków. W przypadku polipów to może być

PROF. DR HAB. N. MED. RADOŚLAW GAWLIK

– kierownik Katedry i Kliniki Chorób Wewnętrznych, Alergologii, Immunologii Klinicznej SUM w Katowicach, prezydent elekt Polskiego Towarzystwa Alergologicznego.

nawet 85%. Ten mechanizm jest też zaangażowany w rozwój atopowego zapalenia skóry, więc mamy do czynienia z chorobami najróżniejszych specjalności. I tu pojawia się alergologia, która wkracza w każdy z tych działów, bo to właśnie do nas trafiają przede wszystkim pacjenci z astmą, atopowym zapaleniem skóry, alergicznym nieżytem nosa i polipami.

Pora zapytać o metody leczenia polipów nosa.

– Pacjent z polipami nosa zgłasza się do laryngologa, a jeśli leczy się z powodu alergicznego nieżytu nosa i astmy, to do alergologa. Lekarze tych dwóch specjalności ściśle współpracują i uzupełniają się w swojej wiedzy i w interwencjach. W pierwszym etapie terapii często stosowane są leki obkurczające śluzówkę, poprawiające drożność nosa. Z ich skutecznością jednak różnie bywa. Wykonuje się również płukanie nosa, stosowane są wziewne sterydy donosowe, których zadaniem jest zmniejszenie nasilenia procesu zapalnego.

A jeśli nie ma efektu?

– Jeśli to nie przynosi pożądanego efektu, stosujemy sterydy w tabletkach lub w zastrzykach. Niestety, tu już zaczyna się robić groźniej, bo mamy dowody badawcze, że nawet kilkudniowe stosowanie doustnych sterydów wiąże się z występowaniem objawów ubocznych. Jeśli stan pacjenta nadal się nie poprawia, laryngolog wykonuje badania diagnostyczne oceniające drożność nosa i w razie potrzeby proponowane jest wykonanie zabiegu operacyjnego w postaci usunięcia polipów.

To dotyczy wszystkich pacjentów?

– Nie. Trzeba wspomnieć o jeszcze jednym typie polipów, który towarzyszy nadwrażliwości na niesterydowe leki przeciwzapalne, czyli na aspirynę. Jedna czwarta lub nawet jedna trzecia chorych z polipami nosa cierpi właśnie na tzw. triadę aspirynową: astmę, polipy nosa i nadwrażliwość na aspirynę. Są to pacjenci, u których w 90% operacja nie przyniesie efektu i z pewnością zaobserwujemy nawrót polipów! Zresztą u 40% operowanych z powodu polipów nosa możemy obserwować ich nawrót już po dwóch latach.

Na szczęście sytuacja tych pacjentów nie jest beznadziejna, są do dyspozycji nowoczesne terapie.

– Tak, mamy nowoczesne terapie, a ich skuteczność odkryto właściwie przez przypadek. Stosując terapię biologiczną w celowanym leczeniu astmy, zaobserwowaliśmy jej równoczesny wpływ na leczenie polipów nosa. Jak wiemy, polipy nosa często współistnieją z astmą. Nawrotowość tych polipów też wtedy jest większa niż tylko przy samych zmianach polipowatych w nosie. I właśnie u tych naszych pacjentów po rozpoczęciu terapii biologicznej astmy ciężkiej zaobserwowaliśmy zmniejszenie polipów. W czasie wizyt kontrolnych pacjenci podkreślali z radością, że nareszcie mogą oddychać przez nos, wrócił im węch i po wielu latach znów czują zapach kawy.

Kiedy to się wydarzyło?

– Takie obserwacje poczyniono na początku badań z zastosowaniem leczenia biologicznego, mniej więcej przed 15 laty. Właśnie dlatego dzisiaj



**Polipy nosa
bardziej negatywnie
wpływają na komfort
życia niż cukrzyca
czy nadciśnienie.**

terapia biologiczna jest stosowana również u pacjentów z przewlekłym zapaleniem zatok z polipami nosa. W ten sposób rozszerzyliśmy grupę chorych, których dotychczas leczylismo na astmę oskrzelową.

Wiemy już, że terapia biologiczna jest skuteczna. A jak z jej bezpieczeństwem, kwalifikacją do leczenia i dostępnością?

– Bezpieczeństwo terapii biologicznej jest bardzo duże. Przez sześć lat jej stosowania w naszej klinice nie zanotowaliśmy żadnych poważnych objawów ubocznych. Bardzo wysoka jest także jej skuteczność, uzyskujemy znaczną redukcję wielkości polipów. Są również badania, które wiążą terapię biologiczną z zastosowaniem leczenia chirurgicznego i nawrotem polipów. Zastosowanie terapii biologicznej zmniejszyło prawie o 50% ryzyko ponownego wystąpienia polipów. Szczególnie cenimy sobie to u chorych na astmę uczulonych na aspirynę.

A kto kwalifikuje do tego leczenia?

– Kwalifikacji do leczenia dokonują dotychczas alergolodzy oraz pulmonolodzy leczący chorych na astmę ciężką. Zawsze odbywa się to w kontakcie z laryngologami, którzy oceniają wielkość zmian. Do leczenia kwalifikowali w ramach ratunkowego dostępu do technologii lekowych (RDTL) laryngolodzy, alergolodzy i pulmonolodzy. Musimy wszyscy spełnić pewne ściśle medyczne

kryteria, obowiązujące przed przystąpieniem do tego leczenia. Odpowiadają nam one m.in. na pytanie o prawdopodobieństwo odniesienia sukcesu dzięki zastosowaniu tej konkretnej formy terapii. Decyzja zależy także od rodzaju zapalenia i wielkości zmian polipowatych, bo nie każde zmiany polipowate poddają się leczeniu. Można powiedzieć, że poza markerami zapalenia typu 2 głównym wskazaniem do tej celowanej, bardzo zindywidualizowanej terapii u chorych jest całkowita blokada nosa.

Czy uważa pan, że wiedza lekarzy i pacjentów na temat terapii biologicznej w leczeniu polipów nosa jest wystarczająca?

– To jeszcze nowość, ale jestem przekonany, że będzie się upowszechniała. Nowość dlatego, że dopiero od 1 kwietnia 2024 r. jest dostępny jeden preparat w ramach programu lekowego, czekamy na udostępnienie pacjentom drugiego leku. Terapia biologiczna jest obwarowana określonymi wskazaniami, ale jestem przekonany, że dzięki swojej skuteczności zyska zwolenników. To z kolei przełoży się na rozwój wiedzy wśród lekarzy i pacjentów.

Czy w przypadku leczenia astmy ciężkiej jest podobnie jak z polipami nosa? Wiemy, że Polskie Towarzystwo Alergologiczne stara się o pewne zmiany. O jakie nowe rozwiązania chodzi?

– Program lekowy leczenia astmy ciężkiej z zastosowaniem leków biologicznych istnieje od dawna i bardzo dobrze funkcjonuje w ośrodkach, które prowadzą to leczenie. Tych ośrodków nie jest wiele, ponieważ leczenie nie jest proste. Pacjentów potrzebujących tego leczenia jest zdecydowanie więcej, ośrodków jest zbyt mało i są oddalone często o kilkadziesiąt kilometrów od miejsca zamieszkania pacjentów. Wizyty z kolei odbywają się co najmniej raz w miesiącu. Kolejnym elementem jest obudowa administracyjna programów, która pochłania olbrzymią ilość czasu. Dokumentacja pacjentów jest dublowana. Wzorem innych krajów można by nieco udrożnić ten system opieki, edukując pacjentów i przekazując im lek, który sami mogliby we własnych domach podawać sobie raz na miesiąc. A na kontrolne wizyty zgłaszać się co trzy-cztery miesiące do ośrodka. Lek mógłby też być podawany pod nadzorem lekarza pierwszego kontaktu. Problem polega jednak na różnym finansowaniu usługi w warunkach szpitalnych lub w przypadku wydania pacjentowi leku do domu. Polskie Towarzystwo Alergologiczne podjęło już rozmowy z płatnikiem i widzimy dobrą wolę uregulowania i ułatwienia rozwiązania tego problemu.

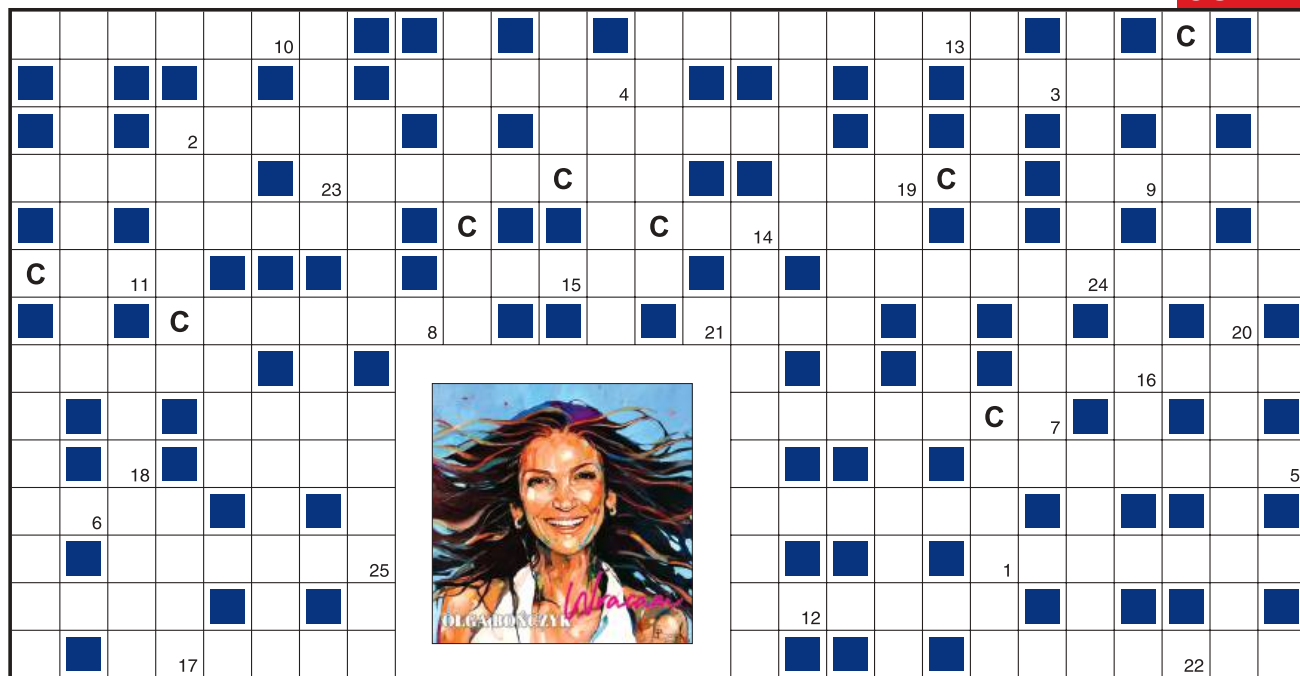
Czy szczepienia przeciw chorobom zakaźnym, np. grypie, covidowi czy RSV mogą obniżyć ryzyko rozwoju polipów?

– Zdecydowanie tak. Szczepienia na grypę lub RSV mogą obniżyć ryzyko wystąpienia infekcji, a tym samym rozwoju polipów.

Jeśli podejrzewamy u siebie polipy nosa, do jakiego specjalisty powinniśmy się udać? A może trzeba zacząć od lekarza rodzinnego?

– Jeżeli oddychanie nosem jest utrudnione, trzeba się zgłosić do laryngologa. On oceni stan śluzówki nosa czy zatok. To bardzo ważne, bo trzeba pamiętać, że nie wszystko, co przytyka nam nos, to są polipy.

Autoryzowany wywiad prasowy przygotowany przez Stowarzyszenie Dziennikarzy dla Zdrowia w związku z warsztatami z cyklu „Quo vadis medicina?”, pt. „Edukacja w astmie – niezbędny element leczenia”, które odbyły się 25 kwietnia 2024 r.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery C ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- trunek z obrazu Degasa
- filia, oddział lub terminar
- dawna dzierzawa np. karczmy
- sznur z pętlą do łapania koni
- wylewana czarna nawierzchnia
- coś, co przyciąga, bawi i ciekawi
- ...wieku – ograniczenie w prawie wyborczym
- stan wymagający leczenia
- coś pięknego, nadzwyczajnego
- siwe lub nadobne wśród ptaków brodzących
- nie rozróżnia kolorów
- osobowe chronione zgodnie z RODO
- waluta Algierii
- za stworzenie Myszk Miki dostał Oscara
- odrażający z piosenki Starszych Panów
- szybki pociąg lub przesyłka
- wydzielanie z siebie, promieniowanie
- grupa samolotów bojowych
- zbity materiał z wełny, sierści
- wyraz czci, przysięga wierności
- marynowany – dodatek do sushi
- Eden Golan jego eurowizyjną reprezentantką
- prosiła je kura: „Bądź głupsze!”
- koniec, kraniec
- nicpoń, gałgan
- dolna część ściany na olejno
- barwa pogodnego nieba
- herb Tarnowskich i Słowackiego
- listwa do kreślenia prostych
- kryty balkon w postaci wnęki
- każda ma kaliber
- płowa zwierząt królowa
- dawać w nią – przekupywać
- wyspa z La Vallettą
- lekka, przezroczysta tkanina
- uśpienie do operacji
- sąsiaduje ze Stalową Wolą
- cios eliminujący przeciwnika
- topór i herb szlachecki
- czarno-białe agat
- skąpy strój plażowiczki
- tam w willi Lala mieszkał Reymont
- lud, pospółstwo
- podarunek, upominek
- pieśń starotestamentowa
- opowieść świadka, sprawozdanie
- diabelska wierzba
- ciekła kopalina
- autor libretta do „Sprzedanej narzeczonej”
- szkic, plan lub szablon działania
- błady odcień zieleni
- wodę nim czerpał Gabrys u Tuwima
- ...dzikich koni to tabun
- stos, kopiec
- beanem zwany nowy na uczelni
- malarski stojak
- wyciszanie emocji, łagodzenie
- partnerka basiora
- kwarciane utworzone przez Zygmunta II Augusta
- hasło prawicy: ruda orla nie pokona
- sucha w sporcie
- sprzedaż towarów

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1170”. Do rozlosowania CD „Wracam” ufundowane przez ARTMUSIC Olga Bończyk. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 26 maja 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1167” z nr. 18: *Milczenie jest pokojem duszy.*
Nagrody otrzymują: Teresa Cićko z Elku, Ewa Nasadowska z Golubia-
-Dobrzynia, Józef Żuchowski z Sanoka.

Powrót Chłonia

Doczekaliśmy się, Tomasz Chłoń został przywrócony do żywych. Jego historia jest klasycznym przykładem mściwości PiS – i jednocześnie głupoty. Ale otwiera się w niej lepszy rozdział, bo właśnie Radosław Sikorski powołał go na swojego pełnomocnika ds. przeciwdziałania dezinformacji międzynarodowej.

To nie jest pusta funkcja, Chłoń będzie odpowiedzialny za koordynację działań w zakresie identyfikowania, monitorowania i zwalczania obcej dezinformacji. Będzie też współpracował z międzynarodowymi partnerami oraz krajowymi urzędami i instytucjami. Czyli – jak sobie tę robotę ułoży, tak będzie miał. A zaznaczmy, że dobrze na tym się zna. Razem z Robertem Kupieckim i Filipem Bryjką jest autorem książki „Dezinformacja międzynarodowa” opublikowanej przez Wydawnictwo Naukowe Scholar.

Wróćmy jednak do mściwości i głupoty PiS. Otóż Chłoń przez lata cieszył się w MSZ bardzo dobrą opinią. Rozpoczął tu pracę w 1987 r. Potem, od 1991 do 1997 r., był sekretarzem ambasady RP w Helsinkach. W latach 1998-2003 pracował w stałym przedstawicielstwie RP przy NATO w Brukseli. Był też ambasadorem w Estonii (2005-2010) i na Słowacji (2013-2015). W centrali pracował w Departamencie Polityki Bezpieczeństwa i Departamencie Systemu Narodów Zjednoczonych.

W kwietniu 2015 r., w randze pełnomocnika ministra, został wyznaczony do kierowania zespołem przygotowującym szczyt NATO w Warszawie, który miał się odbyć 8-9 lipca 2016 r. I wszystko było pięknie, tylko PiS wygrało wybory, a szefem MSZ został Witold Waszczykowski. No i wyszło gorzej, niż można było się spodziewać. Cztery miesiące przed szczytem Chłoń został odwołany ze stanowiska.

Wepchnięty do kadrowej zamrażarki zgłosił swoją kandydaturę na stanowisko szefa Biura Informacyjnego NATO

w Moskwie. Stanął do konkursu, przeszedł kilka etapów i wygrał. Przy czym wiadomo – bez zgody Amerykanów tak by się nie stało.

Wtedy Waszczykowski zaczął szaleć. Ogłosił, że nic o jego kandydowaniu nie wiedział, że stracił zaufanie do kierownictwa Departamentu Polityki Bezpieczeństwa, i odwołał jego szefową Beatę Pęksę oraz jej dwóch zastępców. Uznał, że wiedzieli o staraniach ich kolegi o stanowisko w NATO, ale nic nie robili. To znaczy nie blokowali tych starań.

Minister zadeklarował też, że Polska jest przeciwna temu, by Chłoń pełnił natowską funkcję. I cóż się zdarzyło? W czasie spotkania ministrów spraw zagranicznych w Brukseli sekretarz generalny NATO stanowczo zażądał akredytacji Chłonia. Innymi słowy, powiedział polskiemu ministrowi, by się nie wygłupiał.

Pewne światło na tamtą awanturę rzuca niedawny wpis Waszczykowskiego na platformie X. Czytamy w nim: „Pan Chłoń wyznał mi w 2017 r., iż w końcu lat 80. pracował w MSZ dla służb bezpieczeństwa PRL. Uznałem, że nie powinien reprezentować NATO w Moskwie. Szczególnie tam, gdyż Rosjanie mogli znać jego przeszłość. Służby wywiadu PRL podlegały Sowietom”.

Te argumenty dziś, w czasach sędziego Szmydta, brzmią śmiesznie, zresztą śmiesznie musiały brzmieć i w roku 2017, 27 lat po operacji Samum. I innych, w czasach późniejszych. Nic więc dziwnego, że Chłoń, wbrew PiS, został szefem przedstawicielstwa NATO w Moskwie i był nim do roku 2020. Tak Amerykanie potraktowali PiS.

Teraz Chłoń wraca do MSZ. Na stanowisko wojownika, bo przecież będzie musiał identyfikować i zwalczać. Ciekawe, od kogo zacznie.

Attaché

Król Karol III i królowa Kamila uczestniczyli w specjalnej mszy w katedrze św. Pawła dla odznaczonych Orderem Imperium Brytyjskiego. Londyn, 15 maja 2024 r.



PENETRACJE

Press **ANDRZEJ SKWORZ,** REDAKTOR NACZELNY

Za nami wysyp afer z dziennikarzami w roli głównej. Piotr Głuchowski, reporter „Gazety Wyborczej”, okazał się bajkopisarzem, co wykazał Krzysztof Stanowski. Onet doniósł, że RMF FM był toksycznym miejscem pracy, a Wirtualna Polska mierzy się z krytyką internautów, którzy przypomnieli, że koncern nigdy nie ujawnił, kim był redaktor Suwart, którego nazwiskiem podpisywano teksty opłacane przez Fundusz Sprawiedliwości, chwaleńcze działania Zbigniewa Ziobry i jego partyjnych towarzyszy. (...) Jestem pewien, że nowa ekipa reporterów, którzy pojawili się po aferze Machały i Suwarta, nigdy nie brałaby udziału w pisaniu tekstów na zlecenie polityków. Ale wiem też, że mądrzej było zapytać wydawcę, docisnąć go o rozliczenie z przeszłością, niż na ślepo atakować odbiorców i podważać ich prawo do zadawania pytań.



TYGODNIK POWSZECHNY **O. MACIEJ BISKUP,** DOMINIKANIN

Atmosfera narzucania czegokolwiek w przygotowaniach do komunii, brak dialogu, sztywne schematy nie sprzyjają temu, o co w tym wszystkim chodzi. Ja zawsze zachęcałem do jak najprostszych strojów, ale zostawiałem wolną rękę. Różne szczegóły przygotowań konsultowałem z rodzicami, np. miałem pomysł, żeby podczas uroczystości rodzice siedzieli razem z dziećmi w ławkach. Wydawało mi się, że to bardziej wyraża rodzinny wymiar komunii niż upchnięcie ubranych na biało dzieci na przodzie kościoła. Ale rodzice w Szczecinie i Łodzi byli przeciwni: było tam wiele rodzin patchworkowych, które czułyby się w takiej sytuacji niekomfortowo.

PANI **DOROTA SEGDA,** AKTORKA, REKTOR AKADEMII SZTUK TEATRALNYCH W KRAKOWIE

Czego dowiedziałaś się o sobie przez lata?

– Dowiedziałam się, że w najtrudniejszych momentach dostaję turbo-dodałowania i jeśli jakąś katastrofę uda mi się zmienić na końcu w coś dobrego, czuję megasatysfakcję. Dowiedziałam się, że żyjemy w świecie miłości, ale również nienawiści. Świat czasami bywa tak podły, że łatwo można stracić wiarę w ludzi. Dowiedziałam się, że mam wokół siebie ekipę – sama ją stworzyłam – która mi we wszystkim pomaga. Słucham ich, szanuję, podziwiam. Zginęłabym bez nich. Dowiedziałam się, że umiem podejmować trudne decyzje. Nie umiem tylko podjąć decyzji, co mam sobie zamówić w restauracji. Zawsze wołam kelnera i zmieniam zdanie.

STYL **EWA WOYDYŁO,** PSYCHOŁOŻKA I PSYCHOTERAPEUTKA

Buntuję się, gdy słyszę wciąż o przypisywaniu kobietom lęku przed czymś. Z moich doświadczeń wynika, że w różnych działaniach częściej hamuje je przerost odpowiedzialności niż strach „czy podołam?”. Nadodpowiedzialność obciąża ambitne kobiety również w taki sposób, że jako szefowe stają się zbyt skrupulatne, za mało delegują. Trudniej im też uwolnić się od instynktów opiekuńczych. Kobiетom, które mają ochotę być liderkami, pomogłoby nie redukowanie lęku, lecz bardziej partnerski podział obowiązków, trening delegowania zadań i refleksja nad granicami empatii w miejscu pracy.

ZMIKSOWANE LITERY

Ułóż litery w każdym rzędzie, dodając jedną z podanych obok, tak by otrzymać wyrazy odpowiadające objaśnieniom.

* nie lada lada	A	K	N	O	R	U	
	—	—	—	—	—	—	
mierzy to, co ciągle płynie	A	E	E	K	R	Z	
	—	—	—	—	—	—	
sprawnie posługuje się maczugami	E	G	N	O	R	Ż	
	—	—	—	—	—	—	
ma kosmiczny zasięg	A	E	I	K	R	T	
	—	—	—	—	—	—	



ROZWIĄZANIA: KONTUAR, ZONGLER, ZEGAREK, RAKIETA



Aby język giętki...

ADAM MICHNIK O OPTYMIZMIE

Ja optymistą jestem dlatego, że nie miałem innego wyjścia przez całe życie. Musiałem być optymistą.

PAWEŁ DERESZ O ANTONIM MACIEREWICZU

Jest postacią żalną. Wszystko, co zrobił w sprawie wyjaśnienia przyczyn katastrofy, to było jedno wielkie kłamstwo. Stanie za to przed sądem.

WIESŁAW WŁADYKA O JERZYM BACZYŃSKIM

W 1994 r., gdy wybierano naczelnego, nie było żadnego innego pomysłu niż Baczyński. Lider wyłonił się naturalnie.

KRZYSZTOF VARGA O SZYMONIE HOŁOWNI

Jak by nie bajerował, to zawsze wyłazi z niego przekonanie o własnej wyższości moralnej oraz deficyt chrześcijańskiej pokory.

JERZY STUHR O POLITYKACH

Politycy mnie śmieszą, jest w nich jakieś zadęcie. Te udawane komisje jednych, to święte oburzenie drugich. Farsa.

NINA KOWALEWSKA-MOTLIK O PERFUMACH

Gdy patrzę na człowieka, wiem, jaki zapach będzie do niego pasował. Podpowiadam. I zawsze trafiam.

ILONA WRÓŃSKA

O ZWIĄZKU Z LESZKIEM LICHOTĄ

Dla nas bardzo ważna jest wolność. Dlatego od wielu lat szukamy swojej drogi w systemach, w które zostaliśmy uwikłani.

JOANNA MORO O SOBIE

Najbardziej lubię w sobie silną wolę i zdolność do wyrażania emocji.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz,
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek,
Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,
Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta,
Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczała

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,
Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPPLP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Różany wianek



Kobiety Kongres Kosmologiczny

Katarzyna Karpowicz

RÓŻANY WIANEK

Cykl 19 obrazów olejnych poświęcony relacji matka-córka-siostra opowiada różne historie w metaforyczny sposób. Motyw wianka jest głęboko zakorzeniony w różnych kulturach, choćby w słowiańskiej mitologii, a także w odwiecznych dziewczęcych i kobiecych relacjach, rytuałach. Róża z kolei zachwyca formami, kolorami, zapachami, ale przecież ma kolce. Wianek z róż jest piękny, można jednak się pokłuć. Taka też jest relacja najbliższych sobie kobiet w rodzinie – cudowna, wyjątkowa, chociaż czasami kłuje jak kolec róży.

Artemis – Galeria Sztuki Współczesnej
Kraków, ul. Poselska 15
od 23 maja do 15 czerwca



Czerwień ust



Lénienie

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI W WARSZAWIE

WŁOCHY – GOŚĆ HONOROWY

targiksiazkiwarszawa.pl



MIĘDZYNARODOWE
TARGI KSIĄŻKI
W WARSZAWIE

WŁOCHY GOŚĆ HONOROWY 2024

23-26 maja 2024 r.
PKiN i plac Defilad

Organizator



madeinitaly.gov.it



Gość Honorowy

Patronat honorowy



MARSZAŁEK SENATU
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Małgorzata Kidawa-Błońska



Minister Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Minister
Spraw Zagranicznych



Prezydent
miasta stołecznego
Warszawy

Patronat honorowy



Wydarzenia towarzyszące



Patronat medialny



• TEATR CAPITOL •

NAJLEPSZE KOMEDIE • PIKANTNE FARSY • GWIAZDORSKIE OBSADY

**DŁUGI WEEKEND
Z NAJLEPSZYM
KOMEDIAMI**

**30 MAJA - 2 CZERWCA
CZEKAMY NA WAS!**



**ŚWIĘTUJCIE DZIEŃ DZIECKA
RAZEM Z NAMI**

31 MAJA - 2 CZERWCA

• KUP **BILET**
TEATR CAPITOL •

• www.teatrcapitol.pl •

Patroni Medialni



Partnerzy Teatru